

MIESIĘCZNIK
Kurjera Polskiego



Zeszyt XII,
za
GRUDZIEN
1900.



TREŚĆ:

- I. U wrót nowego stulecia.
- II. Pierwsze kroki genjuszu *Ferdynand Hoesick*.
- III. Biała gwardja.
- IV. Tajemnice wulkanów. *D. L.*
- V. Bohater „Merimac’a”.
- VI. Sprawy bieżące.
- VII. Serce Islamu.
- VIII. Korsarz Triplex.
- IX. Ze świata kobiecego *E. Żmijewska*.
- X. Rozmaitości.
- XI. Miecz i łokieć (powieść) *W. Gomulicki*

Adres Redakcji: Marszałkowska 141.

WARSZAWA.

Druk M. Lewińskiego i S-ki
Marszałkowska № 141.

SKŁADY FABRYCZNE ŻYRARDOWSKIE

Krakowskie Przedmieście № 55 i Nowy Świat № 36

polecają

PLÓTNA. WYROBY POŃCZOSZNICZE. BIELIZNĘ.

Najnowsze wydawnictwa Teodora Paprockiego i S-ki w Warszawie, Nowy-Świat №. 41.

- Bert Paweł.** Pierwsze wiadomości z geometrii doświadczalnej w zastosowaniu do mierzenia odcinków powierzchni i objętości. Ze 141 drzeworytami w tekście. Spolszczył S. Srebrny. — kop. 90
W kartonie Rb. 1 kop. 10
- Breits dr** 100 rad dla nerwowych ze szczególnem uwzględnieniem neurastenji i hysterji. Wydanie drugie. — kop. 25
- Brownsford Antoni.** Podręcznik dla racjonalnego żywienia zwierząt gospodarskich. Drugie nowo opracowane wydanie Rb. 1 kop. 50
- Buckley B Arabella.** Przez szkła czarodzieja. Przełożył z angielskiego J. K. Potocki. Z licznymi rycinami w tekście Rb. 1 kop. —
W kartonie Rb. 1 kop. 20, w oprawie Rb. 1 kop. 70
- Choński-Jeske Teodor.** W pętlach. Powieść współczesna Rb. 1 kop. 50
- Corell Marja** Romans dwóch światów. Tłumaczenie z angielskiego przez Marję Wentzl. 2 tomy. Rb. 1 kop. 80
- Dąbrowski Ignacy.** Felka. Nowella. Rb. 1 kop. —
- Dygański Adolf.** Garstka. Zbiór nowel, obrazków i studjów. Rb. 1 kop. 50
- Flaum M. dr.** Alkohol i alkoholizm. kop. 50
O wódec, piwie i winie. Odczyt. kop. 8
O życiu i śmierci. Odczyt popularno-naukowy. — kop. 35
- Flinzer T** Metoda nauki rysunku, oparta na zasadach naukowych, z 42 rysunkami w tekście i 36 litografowanymi tablicami. Przekład dokonany staraniem Redakcji „Przeglądu Pedagogicznego”. Rb. 1 kop. 50
- Gliński Kazimierz.** Budownicy szczęścia. Powieść. Rb. 1 kop. 20
Czarodziejka. Romans. Rb. 1 kop. 20
Splątane nici. Szkice i obrazki. Rb. 1 kop. 50
Z życia i fantazji. Rb. 1 kop. 20
- Gomulicki Wiktor.** Do niej i do niego. Pogadanki na temat małżeństwa. — kop. 40
Obrazki prawdziwe. Rb. 1 kop. —
Obrazki weneckie. Rb. 1 kop. —
Pieśń o Gdańsku. — kop. 75
Wybór wierszy. Z portretem autora, wydanie
wytworne. Rb. 1 kop. W ozdobnej oprawie Rb. 1 kop. 75
Złote ogniwa. Powieść 2 tomy. Rb. 2 kop. —
- Grot Bęczkowska W** Bez woli. Powieść. Rb. 2 kop. 50
- Gruszecki Artur.** Rugiwojscy. Powieść współczesna. Rb. 1 kop. 20
- Gulraud Paweł.** Opowiadania historyczne Grecja. Życie domowe i publiczne Greków. Przełożył J. L. Popławski. Rb. 1 kop. 50
Opowiadanie historyczne Grecja II. Instytucje publiczne. Przełożył J. L. Popławski. Rb. 1 kop. 50
Opowiadanie historyczne Rzym. Życie prywatne i publiczne Rzymian. Przełożył J. L. Popławski. Rb. 1 kop. 80
- Gutenberg Bertold dr** Nerwowość i małżeństwo. Z 2-go wydania przełożył dr. med. Ludwik Wolberg. — kop. 30
- Haufe E. dr** Dziecko i rodzina. Wskazówki kształcenia domowego dla matek. Wolny przekład z niemieckiego Rb. 1 kop. —
- Hajota** Ich syn. Powieść współczesna w 2 tomach. Rb. 2 kop. —
- Hellpern M** Tajemnice przyrody. Część II. Jak żyją rośliny, jak się odżywiają, rosną, rozmnażają i poruszają. (Kurs popularny morfologii, fizjologii roślin). Z 282 rysunkami w tekście. Rb. 2 kop. —

Miesięcznik KURJERA POLSKIEGO

pod redakcją

Ludwika Straszewicza.

Tom IV

r. 1900.



WARSZAWA

Druk M. Lewińskiego i S-ki, Marszałkowska 141.

1900.

Дозволено Цензурою
Варшава 23 Декабря 1900 г.

S P I S R Z E C Z Y

zawartych w tomie IV za r. 1900 „Miesięcznika Kurjera Polskiego“.

Strona.

Sprawy społeczne.

Dom a szkoła	577
Nasz patron	590
Szerokie projekty	609
Sienkiewicz. <i>Ludwika Straszewicza.</i>	753
U wrót nowego stulecia.	913

H i s t o r j a.

Przeobrażenie Chin w świetle nauki. <i>J Hessa</i>	640, 795
Pierwsze kroki genjuszu. <i>Ferdynanda Hoesicka</i>	769, 919
Bohater „Merrimac'a“	965

Z dziedziny nauki.

Wąż morski	627
Co widzą ślepi?	820
Tajemnice wulkanów. <i>D. L.</i>	953

Artykuły różne.

Rower na usługach wojny. <i>D. L.</i>	661
Bohaterowie Niagary. <i>M. U.</i>	671
Serce Islamu	1012

Sprawy bieżące.

W każdym zeszytcie.

P o w i e ś c i .

Miecz i Łokieć. <i>Wiktora Gomulickiego</i> (w każdym numerze).	
Korsarz Triplex (w każdym numerze).	
Kromka chleba. <i>F. Coppègo</i>	602
Walka ze śmiercią. <i>Pelle Molina</i>	786
Biała gwardja	946

Ze świata kobiecego.

Mody, rady i wskazówki ze wszystkich dziedzin życia domowego,
przepisy praktyczne i t. d. (w każdym zeszytcie).

Rozmaitości.

Naukowe, społeczne. Zadania, łamigłówki i t. d. (w każdym zeszytcie).

U wrót nowego stulecia.

Przed rokiem posypały się w prasie całego świata artykuły i rozprawy na temat kończącego się dziewiętnastego wieku. Nadchodził wtedy ostatni rok naszego stulecia; niekórzy nawet — oczywiście niezbyt biegli w prostym rachunku — powitać go chcieli jako początek nowego. Dzisiaj, gdy z rokiem 1901 poczyna się istotnie wiek dwudziesty, który nadzieja i wyobraźnia ludzka przybiera już naprzód w nadzwyczajne szaty, spodziewa się odkryć cudownych, niezwykłych przewrotów społecznych i politycznych, dzisiaj tembardziej nie od rzeczy będzie ogarnąć spuściznę tej znamiennej epoki.

Kładąc się codziennie do spoczynku, któż z ludzi czynnych nie pomyśli, co tego dnia uczynił i co go jutro czeka? Przy nadchodzącym roku nowym któż nie sięgnie myślą w najbliższą przeszłość, nie planuje, nie stara się przewidzieć najbliższej przyszłości? Czemże są w istocie nasze tradycyjne powinszowania, jak nie wspomnieniem takim, obok życzenia? Każdy dzień w roku, każdy rok w życiu przynosi coś zawsze: czasem bardzo mało, czasem bardzo wiele, zależnie od zrzędzenia losu i... od nas samych. Jakież tedy zmiany daje ludzkości całe stulecie, *sto lat okrągłe!* Ludz-

kość myśli i waży, bo rzecz to godna zastanowienia.

Co przyniósł nam ubiegły wiek dziewiętnasty? Czy mamy wyliczać tu wiekopomne odkrycia naukowe, czy zdobycze przemysłu i techniki, czy urządzenia społeczne i ekonomiczne, jakie zrodziły się w ciągu tej lat seciny? Oto pytania, których dokładne wyświetlenie stworzyłoby całą encyklopedję wiedzy.

Gdybyśmy ograniczyli się na zaznaczeniu najważniejszych tylko dzieł ostatniego wieku, czemuż wypadłoby oddać pierwszeństwo? Co większe przysługi oddaje ludziom: czy machina, mknąca z szybkością 120 kilometrów na godzinę, czy parowiec, przepływający w pięć dni Atlantyk; czy kanał Sueski, łączący Europę z dalekim Wschodem, czy największy w świecie most ponad morzem (Forth), czy dwumilowy tunel S. Gotharda, przebity przez jądro gór Alpejskich; czy telegraf, pozwalający ludziom porozumiewać się po przez lądy i morza, czy telefon, ten poseł mowy, najcenniejszego daru człowieka; czy fotografia, uwieczniająca rysy drogiej osoby, odtwarzająca widoki i zdarzenia całego świata, czy fonograf, uwieczniający głos ludzki; czy pancerze ochronne, czy działa szybkostrzelne?..

Nie o to nam tutaj chodzi. Najpożyteczniejszym wynalazkiem nie jest ten, co imponuje wielkością, czy nadzwyczajnością, lecz taki, z którego korzysta najwięcej ludzi. Najważniejszym odkryciem naukowem nie jest to, co w podziw wprawia ogół nieświadomy, lecz takie, które prowadzi myśl człowieka na nowe tory, otwiera nowe badań obszary. Największym czynem społecznym nie jest ofiara bodaj życia własnego w chwili bohaterskiego zapału, lecz spokojne, wytrwałe poświęcenie sił wszelkich zwalczaniu złego, szerzeniu światła, niesieniu pomocy nieszczęśliwym i cierpiącym.

Wiek nasz, wiek pary i elektryczności, szczyści się tyłu odkryciami i wynalazkami, iż żaden z po-

przednich porównać się z nim nie może; niesłychany sprawił on przewrót w dziejach wiedzy i jej zastosowań. Są to rzeczy wielkie i wielce ciekawe; słusznie się też nad nimi unoszą i przed rokiem, jeszcze na schyłku stulecia, z dumą je przypominano. Postęp nadzwyczajny we wszystkim, rozwój cywilizacji—oto cechy zasadnicze dziewiętnastego wieku.

Wiek XVIII zostawił po sobie w spuściźnie wielkie hasła równości powszechnej, praw człowieka. Przemawiał i działał w imię myśli dumnej i chciał uszczęśliwić ludność, narzucając jej z góry prawa i obowiązki, których winna była słuchać jako prawdy. W wieku naszym wzięto się do wcielania ideałów pracą mozolną, poświęceniem. Zawrzała walka z nędzą, z ciemnotą, z występkiem. Powstawały coraz nowe postacie szkół, ludzie łączyli się w grupy, aby bliźnich ratować od głodu i zimna, budowano przytułki, zakładano kasy, majątek publiczny i fortuny prywatne siły na pomoc dla słabszych, dla uboższych bliźnich. Nikt nie przeliczy pomysłów, nikt nie przeliczy faktów. I rezultaty objąć nie łatwo. A bodźcem była miłość. Rostała ona, stawała się obowiązkiem i zaszczytem, wciąż większa liczba ludzi znajdowała w niej cel życia. Obejmowała kręgi coraz szersze. Pogardzony niegdyś plebs, tłum, stał się przedmiotem szczególnej troski jednostek wybitnych i państw. Szukano nor, gdzie się gnieździła niedola, aby je oświetlić i ogrzać, wrywano rodziny, wrywano warstwy całe społeczeństwa z objęć występków lub złych nałogów.

Ale nie bądźmy dumni. Myśmy tylko od praoców szczęśliwsi, nie zaś zasłużeni. Oni orali i sieli—my spożywamy zdrowe owoce ich cnoty, ich mądrości, ich pracy, ich poświęcenia. Wiek dziewiętnasty mógł dojść do tego, co dziś mamy, jedynie jako spadkobierca przeszłych, dzięki temu, że Ludzkość od początku wśród dzieci swoich miała mędrców i świętych.

Przeszłość rzuciła ziarna, które teraz wzrosły i dojrzewać poczęły.

I dla przyszłości została praca wielka jeszcze — niestety. Obok miłości bliźniego dużo jeszcze zostało obojętności i nienawiści dużo.

To też na równi z uznaniem dla pożytecznych owoców tego postępu, rozlega się szmer niezadowolenia, nawet głośne oburzenie. Postęp, powiadają, zabija ideały, przytłumia wszelkie szlachetniejsze popędy, materjalizuje ludzi, ukazuje im tylko osobiste korzyści, sprowadza bezwzględną walkę o byt, gdzie żywoły szlachetniejsze, bezinteresowne, jako mniej odporne i słabsze, padają ofiarą. Prorocy „zmaterjalizowania świata“ i „bankructwa umysłowego“, biadają z góry nad smutną przyszłością ludzi, gdy dalej trwać będzie gorączka współczesnego naszego postępu, gdy rozwijać się będzie duch współczesnej naszej cywilizacji.

— Patrzcie—powiadają,—co się dzieje w tej dobie wysokiej cywilizacji. Najbardziej oświecony i uspołeczniony naród, anglicy, posiadacze obszarów i miliardów, jaką wojnę toczą! Potężną armją gnębią garstkę ludzi, po to, aby im zabrać złoto i kamienie, których dobrowolnie oddać nie chcieli. Europa na to patrzy i milczy. Czyż to cywilizacja?

— Patrzcie, co humanitarna Europa czyni na Wschodzie. Krzewiciele oświaty mordują tysiącami chińczyków za to, że im bronią wstępu do swej ojczyzny, że nie chcą z nimi mieć stosunków, wzdragają się uznać ich wyższość intelektualną. Czy to cywilizacja?

Mają słuszość ci, którzy tak wołają, ale tylko pozornie. Nie cywilizacja tu winna, ale jednostki i gromady ludzi, których idea prawdziwej cywilizacji nie przesiąkła naprawdę. Jeżeli między sędziami znajdzie się człek okrutny czy sprzedajny, czyż wina spada na stan prawniczy i prawodawstwo? Jeżeli między duchownymi znajdzie się chciwiec lub niegodziwiec, czyż to jest grzechem całego stanu i kapłaństwa?

Jeżeli między anglikami, niemcami, francuzami są

nikczemnicy, albo i pewna partja wyznawców tyranji, czyż winna cała Anglja, Niemcy, Francja, cała cywilizacja?

Anglicy biją boerów, to prawda; biją, bo prowadzą wojnę, a są mocniejsi. Niektórzy oficerowie i żołnierze pewnie i obchodzą się z jeńcami niezbyt czule. Ale ci sami boerowie niedawno wtargnęli na ziemię zulusów prawem silniejszego, a obeszlili się z nimi jeszcze mniej ludzko. Kto czem wojuje...

Miljony ludzi we wszystkich krajach oburzają się na czyny anglików, piętnują chciwość osób, stojących nawet u steru rządu angielskiego. W samej Anglji potężna jest partja przeciw wojnie, bądź co bądź niesprawiedliwej.

Czyż te już same fakty nie świadczą o uszlachetnieniu ducha ludzkiego w całych masach? Dziś dużo jeszcze zostało złego, ale jednak jest lepiej niż kiedykolwiek w przeszłości.

Nietakt pewnego grona misjonarzy angielskich, ich widoki materialne w Chinach wywołały zamieszki, rzezie, powstanie bokserów. Europa upomniała się za swemi oflarami, żąda odwetu i odszkodowania, ten i ów chce przy tym ogniu pieczeń swą upiec, — ot i wojna dzisiejsza. Czyż nie podnoszą się wciąż głosy w różnych krajach Europy i Ameryki, potępiające zemstę białych na chińczykach, żądające nawet zaniechania wojny? Wojska Niemiec, Anglji, Rosji biją chińczyków; niemcy, anglicy, rosjanie wołają w prasie coraz częściej: dajcie pokój, to niesprawiedliwe!

Ajenci belgijscy i urzędnicy okrutnie obchodzili się z murzynami w Kongo, prusacy w Kamerunie. Wyrzutek tych społeczeństwa, niegodnych imienia ludzi cywilizowanych, usunięto i ukarano. Smutny to objaw, że są takie jednostki, nie może jednak być policzkiem cywilizacji europejskiej.

Uprzytomnij sobie, czytelniku, nie tak dawne czasy, gdy człowieka sprzedawano, jak rzecz martwą, odbierano syna matce, ojca rodzinie, zaprzęgano do

robót ciężkich u pana i władcy, bito i katowano. Uprzymnij czasy tortur straszliwych, uznanych literą prawa za środki legalne badania osób tylko podejrzanych, że już nie mówmy o wbijaniu na pal, ćwiartowaniu, paleniu żywcem winowajców. Pomyśl o ludożerstwie, powszechnem wśród dzikich, o ofiarach z ludzi, pieczonych na ruszcie na cześć bałwanów, co wszystko ustaje w miarę cywilizacji tych ludów. Spójrzj choćby na rycinę, wyobrażającą karę na przestępców w Afryce, praktykowaną przez murzynów, a polegającą na wystawieniu człowieka żywego na pożarcie ptaków, — na tę scenę, której sam widok pozbawił zmysłów przypadkowego widza-myśliciwa. Zestaw, czytelniku, te kilka przykładów, te zapatrywania ludów dzisiejszych na wojnę, te ligi pokoju nasze, tę bezustanną, bezinteresowną, świętą pracę nad zmniejszeniem cierpień, nad udoskonaleniem życia, a uznasz niezawodnie, że cywilizacja i postęp nasz ogólny uszlachetnił, podniósł ducha ludzkiego.

Ten postęp duchowy, taka cywilizacja — oto największe zdobycze naszego stulecia, wobec których błędą wszelkie odkrycia i wynalazki, chociaż są olbrzymie i wielce użyteczne.

Ferdynand Hoesick.

Pierwsze kroki genjuszu.

(Luźne kartki z książki o Chopinie).

II.

W pałacu Saskim.

(1810 — 1817).

Liceum Warszawskie.—Pensjonat Mikołaja Chopina.—Fryderyka Chopina „dzieciństwo sielskie anielskie.” — Pierwsze objawy talentu. — Pierwsze wrażenia muzyczne.—Pierwsze nauki. — Powinszowania dla rodziców.— Ostatnie lata Księstwa Warszawskiego i początki Królestwa Kongresowego.—Wojciech Żywny.—Nauka muzyki.—Zaczątki twórczości, „Nowy Mozart.” — W pałacu Kazimierowskim. — Requiem Mozarta.—Dalszy ciąg studjów nad fortepianem.—Inne nauki.

„W roku 1804 — pisze Fryderyk Skarbek w swych pamiętnikach—założył rząd pruski Liceum Warszawskie, w zamiarze zrównoważenia wpływu szkół pijarskich, wyłącznie polskich, szkołą głównie niemiecką, której dobre urządzenie i gruntowne w niej nauczanie mogło by z czasem zjednać wziętość, a przez to doprowadzić do tego, aby Liceum przysposabiało uczniów do akademji niemieckich. Lubo sprawa-

dzono do tej szkoły znakomitych profesorów niemieckich, nie chciano jednak ograniczyć wykładu nauk w języku, o którego upowszechnienie starano się; lecz, czując to dobrze, że szkoła, w której tylko w języku obcym nauki wykładano, nie mogłaby mieć wziętości i powodzenia, dla braku dostatecznej liczby uczniów do słuchania nauk w języku niemieckim, zaprowadzono przeto w Liceum podwójne klasy, jedne niemieckie, drugie polskie, i powierzono w nich nauczanie, obok Niemców, profesorom miejscowym. Do powodzenia tej szkoły niemało przyczynił się trafny wybór rektora, w osobie Samuela Bogumiła Lindego, uczonego, rodem z Torunia, niemieckiego pochodzenia, ale dla stosunku ze znakomitemi literatami polskimi i z powodu zajmowania się ułożeniem słownika tego narzecza, powszechną wziętość i dobre imię w kraju mającego. Liceum zostało oddane pod zwierzchni nadzór oddzielnej władzy, „eforatem“ zwanej, a z ludzi naukowych w Warszawie osiadłych złożonej, która tak starannie nauczanie w tej szkole zaprowadziła i tak odpowiednio godziła zamiary rządu z wymaganiami obywateli krajowych, iż Liceum, początkowo w gmachu pojezuickim zaprowadzone, przeniesione być musiało w rok potem do obszerniejszego lokalu w pałacu Saskim i że niektóre klasy dla zbyt wielkiej liczby uczniów podwojone zostały. Nauczanie było gruntowne i bez dążności politycznych. Profesorowie-Niemcy nauczali języków starożytnych i niemieckiego, tudzież historii powszechnej i geografji, a Polacy wykładali nauki matematyczne i przyrodzone, historję i literaturę, a to z zupełną niepodległością, nie podnosząc, ani nie upokarzając jednej narodowości dla drugiej. Tym sposobem osiągnęli cel główny usiłowań swoich, to jest, że wzbudzili chęć i upodobanie w naukach i że ocucili w młodzieży niejaką czynność umysłową, która zapowiadała nastanie lepszej epoki rozwoju zdolności polskich. To, co u Pijarów świadczył Konwikt, to zastąpione było przy Liceum pensjami prywatnemi dla młodzieży, utrzymywanemi przez samych profesorów tej szkoły, które się mieściły w budowlach, do pałacu Saskiego należących.“

Tego to Liceum został Mikołaj Chopin w październiku

roku 1810 profesorem języka francuzkiego w klasach niższych, a że zwyczajem było, iż wykładający w niem nauczyciele mieszkali w gmachu szkolnym, więc i on wprowadził się wraz z rodziną do jednej z „budowli do Pałacu Saskiego należących,“ pałac ten bowiem — odtworzony w swej ówczesnej postaci na znanym *Przełądzie wojska na Placu Saskim* Rosena — jako dawniejsza siedziba Morsztynów, „składał się z mnóstwa zabudowań wpuszczanych w ogród, a ogród sam, o wiele mniejszy, dokoła był otoczony drewnianemi przeważnie domami, z bramą żelazną pośrodku.“ Zajął tu Mikołaj Chopin — według wszelkiego prawdopodobieństwa — opróżniony lokal po swym poprzedniku, ś. p. profesorze Méhu, a jeszcze, zanim się rozkwaterować zdołał, rozpoczął, zaraz po przyjeździe do Warszawy, starania o uzyskanie u władz szkolnych pozwolenia na otwarcie w domu swym pensjonatu, podobnie, jak je utrzymywali inni sąsiadujący z nim koledzy-pedagodzy, co, przy szczupłej i niezawsze regularnie wypłacanej pensji profesorskiej, znakomicie przyczyniało się do zwiększenia dochodów. Dzięki życzliwości Lindego, który odrazu stał się protektorem byłego guwernera dzieci swej dawnej uczennicy, udało się Chopinowi pozwolenie takie niezwłocznie uzyskać, tak, iż niebawem po wprowadzeniu się do swej nowej siedziby mógł w niej przyjąć na stancję kilku uczniów, a tymi w pierwszym rzędzie byli młodsi bracia Fryderyka Skarbkka...

Niebawem, dzięki poparciu Lindego i stosunkom z wielu domami polskimi, mianowicie ze znajomymi i krewnymi Łączyńskich, Skarbków i innych, w których niegdyś dawał lekcje i pozostawił po sobie jaknajlepsze wspomnienie, świeżo założony pensjonat Mikołaja Chopina stał się modnym, oraz najdroższym ze wszystkich, stał się pensjonatem dla paniczów z arystokracji i zamożnego ziemiaństwa, przyczem zasłynął z prawdziwie rodzicielskiej opieki, jaką tu mieli pensjonarze, z dobrych warunków higienicznych, jakie w nim znajdowali, z dobrego wpływu moralnego, jakiemu tu ulegali. Oto, co o pensjonacie tym pisze dobrze pamiętający go autor *Kilku wspomnień o Chopinie*: „Szopenowie trzymali pensję mężką; o pomieszczenie w niej dla synów swoich do-

bijali się ojcowie najpierwszych rodzin kraju, pomimo olbrzymiej jak na owe czasy opłaty, bo do czterech tysięcy złotych na rok od jednego ucznia wynoszącej. Mniej zamożnym folgowano niekiedy. Przyczyną wziętości tej pensji była niezmierna pieczołowitość i dbałość o zdrowie chłopców, dobre ich odżywianie, czystość i moralność, a przytem dobry kierunek i nadzór naukowy. Szczególniej ustaloną była opinja, że być u Szopena na pensji znaczyło to samo, co być wyżej cywilizowanym, czyli lepiej wychowanym od innych, człowiekiem, o co daleko więcej dbano, niż o zyskanie specjalności jakiej, zdobycie medali i t. p. Wyznawano wówczas to, może zacofane zdanie, iż niczem są medale, jeśli ich nie nosi człowiek, czyli istota prawdziwie godna noszenia na swojej skroni wieńca godności ogólnie ludzkiej.“ Stosunek [Mikołaja Chopina i jego żony do pensjonarzy był wymarzony. „Nie mogę bez wdzięczności wspomnieć o tych zacnych ludziach (pisze w swych pamiętnikach Eustachy Marylski, który do roku 1823 mieszkał przez parę lat u Chopinów na stacji): rodzice tylko mogą być z równą troskliwością dla dzieci swoich.“ Pani Chopinowa, poza swemi zajęciami gospodarskimi i rodzinnymi, była im prawdziwą matką, jej małżonek zaś, rozmawiający z nimi tylko po francuzku—bo głównie dla wprawienia się w tym języku mieszkali u niego — trzymał ich krótko, co mu swoją drogą nie przeszkadzało cieszyć się prawie synowskimi przywiązaniem wszystkich bez wyjątku. Tryb życia w pensjonacie był taki. Wstawano o 7-ej rano. Po modlitwie, którą jeden z „dozorców“ odmawiał na głos, i po przepowiedzeniu lekcji, co się odbywało w obecności gospodarza, udawano się do sali jadalnej na śniadanie. Potem wszyscy szli do Liceum. Z Liceum wracano na obiad. Do stołu siadano wspólnie, pensjonarze, (których było zawsze sześciu), guwerner i cała rodzina Chopinów. Po obiedzie wychodzono na spacer, najczęściej za miasto, a spacery zawsze się odbywały pod przewodem Mikołaja Chopina i guwenera. Nikomu nie było wolno wychodzić na ulicę. Po spacerze odrabiano lekcje, a wieczorami bawiono się w gry towarzyskie. Następnie udawano się na spoczynek: pani Chopinowa i dzieci szli do swoich pokoi,

a pensjonarze; którzy po trzech zajmowali dwa pokoje, do swoich. Mikołaj Chopin i guwerner sypiali z nimi: każdy w innym pokoju, z trzema pensjonarzami. Co się tycze Mikołaja Chopina, to miał on — opowiada Eustachy Marylski — tabakierkę srebrną, wyobrażającą lewka, którą zawsze, przed położeniem się do łóżka, zostawiał na biurku. Otóż stało się zwyczajem pensjonarzy pana Mikołaja, iż w nocy, gdy usnął, lub raniutko, gdy się jeszcze nie zbudził, biegli boso do tego srebrnego lewka i zażywali z niego tabakę. Tabakierka ta znana też była i innym uczniom Liceum, bo gdy zbyt hałasowali w klasie, Mikołaj Chopin stukał nią w katedrę, co zawsze sprowadzało pożądaną ciszę. W niedziele i święta udawano się na nabożeństwo do Wizytek, a po południu przychodził pan Casorti, słynny mistrz sztuki choreograficznej, i odbywały się lekcje tańców. Pani Chopinowa zasiadała do fortepianu, a młodzież hulała. W tańcach tych brały także udział i córki niektórych znajomych gospodarstwa, którzy także zabawom tym się przyglądali. Na muzykę także był położony pewien nacisk: wszyscy pensjonarze, mieszkający u państwa Mikołajów, musieli się uczyć grać na klawikordzie. Jednym udzielała lekcji sama pani Chopin, inni, już bardziej zaawansowani, brali lekcje od zaprzyjaźnionego z domem Chopinów, Wojciecha Żywnego. Dom cały, pomimo że w nim, ze względu na pensjonarzy, przeważnie mówiono po francuzku, miał charakter czysto polski, nad czem czuwała nie tylko pani Justyna, ale i jej mąż, który mową polską także władał już zupełnie dobrze. Wprawdzie pensjonarze, jak i wogóle uczniowie licealni, „wyśmiewali się po cichu z jego cudzoziemskiej akcentacji, zanadto dobitnej, gdy mówił po polsku,“ ale nie znaczyło to wcale, iżby go nie kochali i szanowali. Że sobie zeń żartowali „po cichu,“ to im za złe brać nie można, bo młodzież zawsze bywa swawolną i do żartów skłonną, zwłaszcza wobec osób starszych, które darzy sympatją. Jakoż śmieli się z Mikołaja Chopina „po cichu“ i jego uczniowie i pensjonarze, a śmieli się nie tylko z jego zbyt poprawnie wymawianej polszczyzny, ale „jeszcze więcej z groźb jego i przypowiastek o *madame różga*

i z przepowiedni, które przy znanej jego łagodności i wyrozumiałości nigdy się nie sprawdzały.“

Wspomniana tu „madame różga“ grała wogóle w ówczesnej pedagogice rolę bardzo wybitną; słynna teoria jezuitcka, że „ruższczką duch święty dziateczki bić każe“, wcale nie była jeszcze uznana za przestarzałą. Kara chłosty cieszyła się popularnością w świecie pedagogicznym większą, niż na to zasługiwała. Stosowano ją przy lada okazji. „Klasyczna dyscyplina, zdawało się przyrosła do ręki nauczycieli i nauczycielek elementarnych: nosili ją przy sobie, nie szczędząc jej, niższego stopnia pedagogicy, bo do klasy czwartej każdy z uczących się podlegał jej, jeżeli co zawinił, bez żadnej apelacji. Wisiała na ścianie wszędzie, gdzie uczono tak zwanych żaków, jako ciągła dla nich groźba, *po stacjach, gdzie utrzymywano uczniów, bo tak utrzymującemu, jak utrzymującej, jak i dyrektorom, czuwającym nad uczniami, służyło doradne prawo wymierzenia porządnej piątki*, po ukaranie zaś surowsze trzeba było odnieść się do rodziców lub władzy szkolnej. Z poniżającym tym a bolesnym środkiem niektórzy swawolnicy prędko się oswajali. Żadnego przewinienia nie darowano wtedy, a tak za nieuctwo, jak za niedbałe przepisanie, czy za spóźnienie się do klasy, czy za niezdjęcie czapki przed profesorem, bądź za jakie uchybienie pani domu lub służącej nawet, czekała przykra rozprawa na stołku; ztąd i uczeń, który tej kary nie kosztował, był rodzajem fenomenu.“

Mikołaj Chopin, dzięki swemu dobremu sercu, uciekał się do *madame różga* nadzwyczaj rzadko; ale zdarzało się niekiedy, że i on stracił cierpliwość (o co zresztą przy jego żywym usposobieniu było nietrudno), a wtedy ten, co zbyt przeskrobał, musiał spuszczać spodnie... Że jednak te, nader rzadkie, uciekania się do pomocy „madame różga“ nie psuły błogiej harmonji pomiędzy Mikołajem Chopinem a jego pensjonarzami, o tem wymownie świadczy list jednego z takich pensjonarzów, żywo ilustrujący stosunek, jaki łączył młodych chłopców z całą rodziną Mikołaja Chopina i z nim samym. Jest to list Kazimierza Wodzińskiego do Fryderyka Chopina, pisany w roku 1835, w lat kilka po wyj-

ściu z pensjonatu państwa Mikołajów, a odnośny w nim wyjątek brzmi, jak następuje: „Lecz próżne teraz żale, lepiej i co więcej interesować Cię będzie donieść Ci o Twoich rodzicach i Twych siostrach, których przed wyjazdem widziałem w Warszawie. Ojciec Twój, którego ja wcale zmienionym nie zastałem, tak samo i dobrze wygląda, jak w te czasy, kiedy łąjał, klęczeć kazał i czasem w skórę dał. Matka Twoja, prócz ócz, na które czasem cierpi, jest całkiem dobrze. Pani Jędrzejewicz zawsze ładniutka, milutka dobrziutka, car c'est ainsi qu'il faut le dire. Przypomniały mi się te dobre czasy, où je venais réciter ma leçon et où je faisais tant le gamin. Dzieci ładne i zgodne, chłopczyk jeździ na koniku drewnianym i wybiera się chez mon oncle Mr Frédéric Chopin à Paris. Pani Barcińska także zdrowa; on strasznie zmieniony so dą charakteru; cichy, ponury, mało mówiący, nie ten sam wcale, jak był dawniej. Enfin, będąc we czwartki, kiedy wszyscy są razem, j'ai cru me trouver encore en pension; j'ai raconté mon voyage à M-me Jędrzejewicz, comme si j'avais une leçon a reciter, j'ai tremblé en parlant à Barciński et j'ai eu bien peur, quand ton père m'appelaît.“ List ten daje najlepsze wyobrażenie o stosunkach, jakie panowały w domu Chopinów, o ich pożyciu z pensjonarzami. Wogóle nastrój, panujący w tym domu, był mieszczański (w dobrem znaczeniu tego wyrazu): oszczędność, pracowitość, skromność, pełne zawsze „czerstwego zdrowia narodowego,“ unosiły się ponad wszystkim, a natomiast nie miały tu przystępu ani filozofja Woltera, której zasadom hołdowały wyższe warstwy społeczeństwa, ani obyczaj cudzoziemski, ani marnotrawstwo. Za to nie brakło poczucia wykwintności.

W takiej to atmosferze, skromnej, ale kulturalnej i inteligentnej, wzrastał i chował się przyszły twórca *Nokturnów*. „Ciche cnoty, pobożne nawyknięcia, miłosierne uczynki, zamiłowanie obowiązków, wczesnie owionęły go czystem, ciepłym tchnieniem, wpośród którego wyobraźnia jego porosła jakby w ten nieskalany puch, jaki się zdarza spotykać u roślin, których nigdy nie dosięgła kurzawa zbyt uczęszczanych gościńców. Było to dziecko delikatne niezmiernie, wątłe,

słabowite. Blady, spokojny, usypiany rzewnym śpiewem matki, która mu swemi dumkami, nad kołyską śpiewanemi, dostarczała pierwszych słodkich i kojących wzruszeń melodyjnych, przyszły twórca cudnej *Berceuse'y*—która niezawodnie jest poetycznym wspomnieniem tych matczynych kołysanek—okazywał dziwną wrażliwość czy drażliwość na dźwięki muzyczne. Gdy z drugiego pokoju usłyszał głos fortepianu, natychmiast zanosił się od płaczu, który niełatwo dawał się ukoić. Nie wiedziano, czem sobie wytłumaczyć te łzy, i obawiano się, czy to nie jakiś wrodzony wstręt do muzyki. Pani Justyna nawet martwiła się z tego powodu, bo sama, rozmiłowana w muzyce, żywiła przekonanie, że muzykalność najczęściej zwykła chodzić w parze z dobrocią i subtelnością uczuć, gdy tymczasem natury popolszysze, gruboskórniejsze, zazwyczaj bywają także i niemuzyczne... Na szczęście przekonała się niebawem, iż z małym Fryciem miało się całkiem przeciwnie, że owe łzy dowodziły tylko silnego wzruszenia, którego chłopiec nie umiał wyrazić inaczej. Gdy się zdarzyło, że pani Chopin, słysząc płacz swego jedynaczka, przestawała grać, a wzięwszy go na rękę, starała się uspokajać, on, wprawdzie przestawał płakać, lecz patrzył na nią jakimś dziwnie błagalnym wzrokiem, a rączkami wskazywał w stronę fortepianu, jakby prosił, by znowu zasiadła do instrumentu. Po niejakiem czasie wreszcie, gdy spostrzegł, iż sobie mylnie tłómaczono wrażenie, jakie na nim czyniła muzyka, zaczął się hamować, tak, iż nie kał więcej. Któregoś dnia ujrzano go siedzącego pod fortepianem: wsłuchiwał się w ciche brzęczenie strun na odgłos kroków i rozmowy w sąsiednim pokoju. Następnie, kiedy widział, że matka jakoś długo nie otwierała fortepianu, sam ją zaciągał do instrumentu, a kiedy usiadła przed klawiaturą, ze szczególnem zajęciem przypatrywał się białym i czarnym klawiszom. W czasie lekcji tańca, gdy inni dawali się porywać wirowi zabawy, on—kiedy miał jakieś trzy lata—nie podzielał ogólnej wesołości, lecz z główką opartą o kolana matki, wsłuchiwał się w jej grę, rozmarzony skocznemi melodjami, które tymczasem płynęły z pod jej biegłych palców. Cóż dopiero, gdy pani Justyna nie grała do tańca,

lecz dla siebie, gdy znalazłszy chwilę wolną, grała i śpiewała smętne romanse lub wyjątki z oper, gdy śpiewała rzewne piosenki polskie, o *Zosi w ogródku*, o smętnej *Pasterce*, o sennej *Filis*, o sentymentalnym *Filonie*, gdy zawodziła rzewną melodję: *Już miesiąc zaszedł, psy się uspiły*, lub gdy pochyłona nad kołyską swej młodszej córeczki, Izabelli, urodzonej dnia 9 lipca 1811 roku, nuciła z cicha: *Śpij dziecinko już*. Mały Frycek słuchał tej muzyki, tonął w niej, zamyśliwał się nad nią, jego zwykle wesoła jasnowłosa twarzyczka o piwnych oczach z ciemnymi rzęsami—śliczna twarzyczka Cherubinka—smętniała, przyoblekała się jakby welonem zadumy, a oczy, zachodząc łzami, świata zdawały się nie widzieć: dusza jego, rozmarzona melodją, błędziła „na skrzydłach pieśni“ daleko od rzeczywistości. Zauważono również, że gdy nikogo nie było w salonie, sam lubił bawić się fortepianem, naciskać klawisze, przysłuchiwać się dźwiękom, jakie wydawały pod jego drobnymi paluszkami, dobierać dźwięcznie brzmiące akordy, pieścić się ich harmoniami, a unikać dysonansów. Którejś nocy nareszcie ujrzała służąca, że nagle wstał ze swego łóżeczka, i boso, w jednej koszulince, pospieszył do salonu. Ujęta ciekawością, poszła za nim, i jakież było jej zdumienie, gdy ujrzała chłopca przy fortepianie, wygrywającego kolejno te same taneczne melodje, które grywała jego matka. Przestraszona, w przekonaniu, że paniczyk zwarzjował lub jest opętany, poczciwa dziewczyna pobiegnęła zbudzić państwa. Najpierw pani Justyna, potem jej małżonek, a w końcu i dwie siostry Fryderyka, na palcach zbliżyli się do salonu i, zatrzymawszy się na progu, zaczęli słuchać. Chłopiec nie zauważył ich i zdawał się być pogrążonym w ekstazie. Ponieważ było to w zimie, więc matka, niespokojna, by się nie zaziębił, podeszła do niego i wzruszona rzekła: „Chodź już, aniołku, zimno jest w pokoju, posłuchamy cię jutro.“ „Ach, mamusiu, odrzekł mały nituor, zarzucając jej obie rączki na szyję, gdy go wzięła na rękę, nie gniewaj się na mnie, ale grałem te rzeczy, by cię mózdz zastąpić czasami, gdy się zmęczysz.“ Tymczasem przybyła mu w końcu roku 1813 jeszcze trzecia siostrzyczka, Emilja, tak, iż znowu miał sposobność przysłuchiwania się rzewnym ko-

lyśankom, które matka nuciła nad kołyską dzieciny. Równocześnie bawił się z jej starszemi siostrami, a szczególnie lubił towarzystwo swej najstarszej siostry, Ludwisi, która, starsza od niego o trzy lata, a bardzo już rozwinięta duchowo, zdolna i żywa, wielki nań miała wpływ pod każdym względem. Ona też była jego pierwszą nauczycielką. Choć sama ledwo zdążyła się nauczyć czytać i pisać, zaraz i jemu zaczęła udzielać swych wiadomości, a że pojętnym był nad wszelki wyraz, w nauce zaś, do której go jeszcze nie nagłono, widział zabawkę, więc ani się spostrzegł nawet, jak zaczął i czytać i pisać, i to odrazu w dwóch językach, po polsku i po francuzku, gdyż temi dwoma językami zaczął mówić od najwcześniejszego dzieciństwa, od chwili, gdy zaczął mówić i rozumieć dźwięki mowy ludzkiej. Ludwisia też, podobnie jak i on muzykalna, zaczęła mu udzielać piewszych nauk gry na fortepianie... Jednocześnie z ogromnem upodobaniem rysował, do czego także okazywał zadziwiające zdolności. Już to w ogóle, w miarę, jak podrastał, nadzwyczaj szybko postępował pod względem rozwoju intelektualnego. Dość powiedzieć, że nie tylko nauczył się grać na fortepianie, tak, iż już grał łatwiejsze kawałki z repertuaru matki, a nawet zaczynał układać nowe melodie i warjacje, ale i w literackim zakresie posunął się tak daleko, że pisywał... wierszyki, prawda, szwankujące pod względem formy, i bardzo, lecz bądź co bądź zadziwiające, jak na 5-letniego malca. Oczywiście, iż te niepowszednie zdolności nie uszły baczności rodziców: ubolewano tylko nad niesłychanie delikatnem zdrowiem genialnego dziecka, zdrowiem, które wciąż bardzo wiele pozostawiało do życzenia. Mimo to, cierpliwy i uśmiechnięty w dolegliwościach, gdy się czuł zdrów zupełnie, odznaczał się zawsze wybornym humorem, wrodzoną wesołością, figlarnością, dowcipem, sprytem, przytomnością umysłu, a nadewszystko inteligencją i dojrzałością, zdumiewającemi w jego wieku. Równorzędnie z temi przymiotami, tak szczerze mu użyczonemi przez naturę, posiadał niewysłowiony wdzięk w całym zachowaniu się, jakąś poezję, która się malowała w jego każdym ruchu, w każdym spojrzeniu; był dzieckiem miłym nadzwyczaj, grzecznem, pełnem uszanowania dla sta-

szych, z niezwykłym taktem i dystynkcją, dzieckiem, którego chwilami trzymały się najzabawniejsze figle, a które chwilami umiało być dziwnie poważnem, nad wiek rozsądnem i spokojnem. To też wszyscy, co bywali u jego rodziców, przepadali za małym Fryckiem — jak go nazywano — a do ich liczby należał między innymi i młody hrabia Fryderyk Skarbek (który już od roku 1811 bawił z powrotem w kraju), i bracia jego, i siostry, i hrabina Skarbkowa, (która, ile razy bawiła w Warszawie, nigdy nie omieszkiała odwiedzić domu Chopinów), i rektor Linde, słowem, wszyscy, co mieli możność podziwiania genialnej organizacji tego naprawdę cudownego dziecka. A przytem było to dziecko dobre niezmiernie, czułe, przywiązujące się do ludzi: kochane od wszystkich, począwszy od służby, a kończąc na zatabaczonych profesorach Liceum, bywających w domu Mikołaja Chopina, za miłość odplącało miłością. Matkę swą, z której mlekiem wysłał najlepsze instynkty, która go—zwyczajem matek Polek—pierwsza uczyła pacierza—polskiego—i której zawdzięczał swe pierwsze wrażenia muzyczne, matkę swą, o której powiedziano z czasem, że była jego „jedyną miłością“, kochał nad życie, a niemniej był przywiązany do ojca.

O przywiązaniu tem jego dla rodziców świadczą między innymi układane przezeń powinszowania na ich imieniny, powinszowania, z których pierwsze—z dochowanych—napisał, nie mając jeszcze lat sześciu skończonych. Okazuje się zeń, że mały Frycek nietylko już umiał pisać kaligraficznie, lecz i rysował już niezgorzej, jak o tem świadczy okazały wieniec z dębowych i laurowych liści, przewiązanych wstążką u dołu, wieniec, który, narysowany ołówkiem, okala cały tekst powinszowania, a zamyka się nad efektownym monogramem, złożonym z liter N. C. Samo powinszowanie, ułożone na dzień imienin Mikołaja Chopina — był to w domu Chopinów jeden z najuroczystszych dni w roku — brzmiało, jak następuje:

Gdy świat Imienin uroczystość głosi
Twoich, mój Papo, wszak i mnie przynosi
Radość z powodem uczuć złozenia:

Byś żył szczęśliwie, nie znał przykrych ciosów,
 Być zawsze sprzyjał Bóg pomyślnych losów:
 Te Ci z pragnieniem ogłaszam życzenia.

Dnia 6 grudnia 1816 r.

F. Chopin

Drugą niemniejszą uroczystością rodzinną w domu rodziców Frycka były imieniny jego matki, które obchodziła w czerwcu. W r. 1817 wystąpił na nie sześciolatek jedynak pani Justyny z następującym powinszowaniem, kaligraficznie wypisanem na pięknej laurce:

Imienin Twoich, Mamo, Ci winszuję!
 Niech ziszczą nieba, co w mem sercu czuję:
 Obyś zawsze zdrową wraz szczęśliwą była,
 Jaknajdłuższe życie pomyślnie pędziła.

Dnia 16 czerwca 1817 roku.

F. Chopin.

Gdy po upływie pół roku przyszedł znowu dzień imienin Mikołaja Chopina, syn jego wygotował dlań na tę uroczystość rodzinną takie wierszowane „powinszowanie“:

Jak wielką radość w sercu mojem czuję!
 Gdy tak przyjemny, drogi i wspaniały
 Dzień się zaczyna, którego winszuję,
 Życząc, by w szczęściu lata długie trwały
 W zdrowiu, czerstwości, pomyślnie spokojnie:
 Niech niebios dary spłyną na Cię hojnie!

Dnia 6 grudnia 1817 roku.

F. Chopin.

Myliłby się jednak, ktoby przypuszczał, że epoka, na którą przypadało to „dzieciństwo sielskie anielskie“, przyszłego Ariela fortepianu, odznaczała się równie sielską anielską

ską atmosferą. Miało się całkiem przeciwnie. Były to czasy wojenne, schyłek sławy Napoleońskiej, czasy, których najjaskrawszym symbolem był olbrzymi kometa, świecący na gwiazdzistym niebie w r. 1811.

Był to kometa pierwszej wielkości i mocy:
Zjawił się na zachodzie, leciał ku północy...

Kometa ten, który swą ognistą miotłą „część nieba trzecią obwinął i gwiazd krocie zagarnął jak siecią“, był ponurym zwiastunem roku 1812, owego „roku wojny“, słodkich nadziei i rozczarowań gorzkich. Dla Mikołaja Chopina zaczął się rok ten pomyślnie, albowiem dnia 1 stycznia otrzymał dwie nowe nominacje: jedną na profesora języka francuzkiego w szkole wojskowej aplikacyjnej warszawskiej, i drugą na nauczyciela tegoż przedmiotu w elementarnej szkole artylerji i inżynierów. Ale niebawem nadciągnęły chmury wojenne: Napoleon wypowiedział wojnę Rosji, „wojnę Polską“, a Warszawa była gościńcem, gdzie wojska rozmaitych narodów, na Moskwę ciągnących, przechodziły lub przebywały. Od kwietnia począwszy, po ulicach stolicy włoczyły się kupy wieśniaków-rekrutów, ciągnęły bez przerwy wojska francuzkie i niemieckie rozmaite, a poprzedzili je, jak jaskółki przed wiosną, wyżsi wojskowi francuzcy, to adjutanci, to komisarze wojenni. Nawala ta wojsk wyniszczała do ostatka i tak już wyniszczony kraj, wszystkie stodoły były puste. Chłopi puchli z głodu, gwałty kobiet, bicia mężczyzn, pożary i rabunki stały się chlebem powszednim. W mieście, we wszystkich domach, kobiety skubały szarpie, co stało się „zabawą wszystkich zgromadzeń“, a 2 maja przybył do Warszawy król westfalski, Hieronim Bonaparte, i zaraz zaczął w Ogrodzie Saskim musztrowanie swych westfalczyków. Z okien mieszkania Chopinów można się było doskonale ćwiczeniom tym przyglądać... Dnia 21 maja wyszły z Warszawy trzy ostatnie pułki wojska narodowego, którego wogóle pociągnęło do Rosji blisko sto tysięcy. Zaczął się krótko trwający okres najwybujałszych nadziei, ale już w październiku spadła trwoga na gród mazowiecki:

krażyły pogłoski, że nieprzyjaciel zbliża się ku Warszawie. W mieście zapanowało pomieszanie: rząd się zaczął pakować, wywieziono skarb i bank, nastąpiła panika powszechna.

„Całe miasto—notował Niemcewicz w swym dzienniku—napełnione powozami i brykami obywateli, uciekających od Siedlec. Mieszkańcy Warszawy stoją po ulicach, jeden drugiego pyta o nowiny. Cała ludność, lękając się, by nieprzyjaciel nie spalił stolicy, chce uciekać. Rząd odmówił pozwolenia na wyjazd...”

Dnia 10 grudnia, niepoznany przez nikogo, przejechał przez Warszawę Napoleon, śpieszący do Paryża. Już w parę tygodni później „różnorodne niedobitki wielkiej armji, wychudzone, przemarzłe, obdarte, napełniały miasta prowincjonalne, wsie i samą Warszawę, a litość brała na ich widok, bo ledwo wlec się mogli, podobniejsi do tułających się żebraków, niż do żołnierzy. W styczniu 1813 r., zapełniła się Warszawa wojskami saskimi i austriackimi. „Żołnierze wiodą z sobą woły, krowy, cielęta, konie, świeżo biednym chłopom wydarte, i bezczelnie sprzedają je Żydom na ulicy... W domach po trzydziestu i czterdziestu ludzi postawiono”.

Rząd, po opuszczeniu miasta przez Austriaków, chroniąc się przed zemstą wojsk rosyjskich, wyjechał do Dreżna. Dnia 13 lutego zajęły stolicę księstwa Warszawskiego wojska rosyjskie. Dla Warszawy, jak wogóle dla kraju całego, nastąpiły strasznie ciężkie czasy, czasy ogólnej nędzy, czasy, gdzie nawet najwyższa szlachta opuszczała Warszawę, bo nie miała środków utrzymania. Chopinowie podzielali ogólny niedostatek, ale Opatrzność miała ich jakoś w swojej opiece. Z powodu śmierci profesora Rousseau'a w r. 1813, objął Mikołaj Chopin po nim wykłady języka i literatury francuzkiej w klasach wyższych Liceum, co szło oczywiście w parze z uzyskaniem wyższej płacy nauczycielskiej. Śmierć ta starszego kolegi, który „trudniąc się od lat 30 dobrem wychowaniem młodzieży kraju, który sobie za drugą obrał ojczyznę“, nie pozostała bez wpływu i na rozwój pensjonatu Mikołaja Chopina, albowiem ubył wzięty pensjonat dla uczniów, utrzymywany przez profesora Rous-

seau'a. Tymczasem, w październiku r. 1813, Napoleon przegrał pamiętną „bitwę ludów“ pod Lipskiem, podczas której książę Józef Poniatowski utonął w nurtach Elstery, a w następstwie tych wypadków, gdy nastał rok 1814, w Warszawie zapanował nowy porządek rzeczy: rozpoczęły się rządy rosyjskie. „Tłumy prowadzonych tędy upadających z wyczerpania niewolników francuzkich,—notuje w swym dzienniku Niemcewicz,—tłumy naszych żołnierzy, także powracających z pojmania, ich nędza, ich członki wybladłe, te są widowiska, na które teraz patrzy mieszkaniec Warszawy. Wszędzie składki i pomoc... Żołnierze usiłują podpalić miasto, a to jest pozorem bronienia się, by tem łatwiej kraść i łupić. Warszawa, wyznaczona na główną kwaterę, napelniła się bez miary: samych generałów 96, a cóż dopiero innych sztabowych, połowych oficerów i cywilnych oficjalistów“. Zabierano mieszkania i domy całe, tak, że właściciele po gościnnych domach schronienia szukać musieli. Marszałek Barclay de Tolly zajął wszystkie gmachy publiczne, a polskie wojsko koczowało w polu pod Marymontem, bo dlań w mieście zbrakło miejsca...

Tymczasem Napoleon przebywał na wyspie Elbie, a w Wiedniu toczyły się obrady słynnego kongresu monarchów, rozstrzygały się losy Polaków, gdyż Aleksander I pragnął wskrzesić Królestwo Polskie i sam się królem jego ogłosić. W takich warunkach odbył się w Warszawie dnia 10 września uroczysty pogrzeb księcia Józefa Poniatowskiego. Gdy wracające z Paryża wojsko stanęło ze zwłokami swego naczelnego wodza pod Warszawą, wysypało się na jego spotkanie całe miasto, „radość ze łzami mieszącą“. Przy odgłosie żałobnej muzyki, przy biciu we wszystkie dzwony kościelne, kondukt wyruszył z Woli. Otoczony starymi wiarusami w wysokich niedźwiedzich bermycach, z okrytymi krepą orłami i bronią, wielki wspaniały karawan, za którym prowadzono konia po wojowniku, ciągnął ponad ruchliwą masą obnażonych głów ludzkich, wśród powszechnego łkania i smutku. Całe duchowieństwo, zakonnicy, rząd cały, gubernator, feldmarszałek i generałowie szli piechotą za trumną, która, przykryta czarnym kirem z herbami zmar-

tego, stała na ogromnym wozie. Żołnierze polscy wyprzęgli konie i zwłoki zmarłego wodza ciągnęli piersiami własnymi. Przez cały pochód od rogatek biły działa minutne, w mieście i za miastem wystawione. Gdy karawan zajechał przed kościół Św. Krzyża, ponieśli trumnę oficerowie i na katafalk wprowadzili. Na ten czas wojsko z ręcznej strzelby i artylerja z dział wszystkich zarazem wydała *vale* ostatnie“. „Ten odgłos ponury dzwonów, i ten płacz jękliwy, co się mieszał z żalobnym śpiewem kapłanów, hukiem dział i dymem kadzideł“, na wszystkich, co byli świadkami tego smutnego obchodu, wywarł niezatarte wrażenie. Przyszły twórca *Mar-sza pogrzebowego* miał wtedy cztery lata... W miesiąc potem, w nocy 8 października, przybył z Petersburga do Warszawy Wielki Książę Konstanty, brat Aleksandra I, i zamieszkał w pałacu Brühlowskim, w najbliższem sąsiedztwie Chopinów, a jego przybycie miało się stać początkiem nowej epoki dla Warszawy. Tymczasem z nadejściem roku 1815, gdy cała Warszawa rozczytywała się w świeżo wyszłej Malwinie księżny Wittemberskiej, w Europie, a zwłaszcza wśród obradujących w Wiedniu monarchów i członków kongresu, zapanaował popłoch: dnia 1 marca uciekł z Elby Napoleon, wylądował w Cannes, i na czele wiernych mu wojsk w parę tygodni później stanął znów, jako cesarz, w Paryżu. Rozpoczęły się pamiętne „sto dni“, ale bitwa pod Waterloo, stoczona przez wielkiego Korsykanina z wojskami skoalizowanych mocarstw, położyła koniec wielkości Bonapartego. Musiał się rzec korony „i znów go widywano w Paryżu w skromnym ubiorze, idącego na obiad do restauracji, na teatrach siedzącego w parterze...“ Podobny epilog bohater-skiej epopei napoleońskiej nie pozostał bez wpływu na losy Polski.

Dnia 20 czerwca, wskutek uchwały kongresu wiedeńskiego, „przywrócono“ Królestwo Polskie, Aleksander I został królem Polskim, miasto zajaśniało iluminacjami, od mieszkańców odebrano przysięgę, od której poprzednio król Saski, jako książę Warszawski, był ich uwolnił. Dnia 12 listopada, otoczony wojskami obu narodów, mając obok siebie Wielkiego Księcia Konstantego, Aleksander I odbył uro-

czysty wjazd do Warszawy. Konno, w mundurze generała wojsk polskich, ze wstęgą „Orla Białego“ na piersiach, przejechał pod bramę tryumfalną w Alejach Ujazdowskich, poczem Nowym-Światem, przy odgłosie wszystkich dzwonów kościelnych, wśród rozentuzjasmowanych tłumów, pomiędzy domami z oknami i balkonami ozdobionymi makatami, wieńcami laurów i kwiatów, a pełnemi kobiet, udał się na Plac Saski do zebranego tam wojska... „Widok monarchy, najpiękniejszej postaci, ubiór jego wojsk polskich, ozdoba Orła Białego, a nadewszystko myśl, iż to jest Aleksander, któremuśmy winni imię i ojczyznę naszą, podniosły serca Polaków do najtkliwszych uczuć...“ Po *Te Deum* w katedrze za-grzmiały działa, wieczorem przyszła kolej na wspaniałą iluminację. Po 20-dniowym pobycie „wskrzesiciela Polski“, który, odjechawszy do Petersburga, „pozostawił wszystkich ujętych nadzwyczajną dobrocią i łaskawością swoją“, społeczeństwo zaczęło się cucić do życia politycznego, rozpoczął się ruch na wszystkich polach. Z ogłoszeniem konstytucji w dniu 24 grudnia skończyła się trzechletnia „epoka przejścia i tymczasowości, ster kraju przeszedł w ręce Rządu Konstytucyjnego, zanosilo się na pomyślniejszy bieg rzeczy.“ Wszystkie serca były otuchą, nie podobało się tylko, że w Warszawie zbyt wiele nagromadzono wojska, bo prócz wojska polskiego, które Wielki Książę Konstanty gorliwie musztrował na Placu Saskim, zatrzymały się tu jeszcze — w powrocie z Francji—wojska rosyjskie, co było strasznym ciężarem dla i tak już wyniszczonego kraju. Wogóle utyskiwano na zbyt koszarowy sposób postępowania rządu (za Księstwa Warszawskiego), za dużo było tego ustawnego bicia bębnów, trąbek, muzyki wojskowej, etc. „Cała nasza historia, notował w swym dzienniku autor wydanych w tym czasie *Śpiewów historycznych*, pisze się na dziedzińcu Saskim, gdzie się odprawiają parady wojskowe“. Nie rozumiał tego jeszcze 6-letni Chopin, który, jako mieszkaniec Pałacu Saskiego, aż nadto miał sposobności do przyglądania się tym paradom, ale ponieważ te parady odbywały się przy muzyce wojskowej, wygrywającej dużo narodowych melodji, więc mu z pewnością nie były obojętne. A przytem był to pięk-

ny widok: te wojska, maszerujące lub galopujące kolumnami przed Wielkim Księciem, który, otoczony świtą generałów w pysznych mundurach, z konia przyglądał się ich obrotom... W końcu września 1816 r., znowu bawił Cesarz Aleksander przez czas jakiś w Warszawie, znów odbywały się świetne parady wojskowe, bale, iluminacje, galowe przedstawienia w teatrze, etc. etc. Tymczasem Napoleon, przewieziony na wyspę św. Heleny, nudził się i zaczynał tyć w bezczynności, ale w Warszawie nie bardzo się litowano nad nim, bo ostygł zapał dla niego, rozwiały się złudzenia co do jego dobrych intencji względem nas...

Nadszedł rok 1817. Mały Frycek skończył sześć lat. Jego fenomenalne zdolności do muzyki, coraz bardziej rozwijające się poprostu z dniem każdym, zapął, z jakim się rwał do fortepianu, pojętność wreszcie, z jaką sobie przyswajał wszelkie najdrobniejsze wskazówki matki lub siostry, sprawiły, że mu dano nauczyciela gry na fortepianie, ażeby pod jego kierunkiem systematycznie rozpoczął lekcje muzyki. Wybór padł na Wojciecha Żywnego, a przez wzgląd na niezwykle młody wiek ucznia, zdecydowano, aby starsza siostra jego, Ludwika „godzinę lekcji z nim dzieliła“, gdyż dotychczas uczyła się tylko od matki...

„Żywny — powiada o nim jeden z jego licznych uczniów — był jedną z tych typowych postaci przeszłości, których dziś już nie ujrzyć. Olbrzymie rozmiary miał jego nos, wcześniej ukameryzowany na kolor fioletowy, wskutek nadmiernego zamiłowania tabaki i napoju gambrynusowego. Tabakę zażywał Żywny tak namiętnie, że nos, broda, biały krawat, kamizelka, klapy od surduta tabaczkowego koloru, wszystko było tabaką powalane. Zасыpywała ona aż węgierskie buty, z którymi, jak i z owym surdudem, zimą i latem nie rozstawał się maestro nigdy, a bardzo często i samą klawiaturę fortepianu. Ręka ucznia lub uczennicy, której się Żywny dotknął przy lekcji, cuchnęła potem obrzydliwą bernardynką. Prócz ogromnej tabakierzy, mieszczącej pół funta proszku, z wizerunkiem Mozarta czy Haydna na wierzchu, i olbrzymiej chustki czerwonej w kraty, nosił Żywny zawsze na pogotowiu niemałych rozmiarów ołówek

czworokańczasty; poprawiał nim napotykanę w nutach omyłki, a czasami po palcach lub głowie karciał mniej pojętnych lub nieuważnych uczniów“.

„Wysokiego wzrostu—opowiada o nim Eustachy Marylski—nosa ogromnego, na głowie miał żółtą perukę, która nas bawiła. Oglądaliśmy na nim starożytne aksamitne rozmaitego koloru kamizelki, o których opowiadał, że nabywszy na licytacji po królu Poniatowskim kilka par *pluderków* (spodni), kazał z nich sobie kamizelki te porobić“. Urodzony w Czechach r. 1756, wykształcenie swe muzyczne zawdzięczał Kucharzowi, „pochodzącemu ze szkoły J. S. Bacha“. Ztąd wielki kult dla tego twórcy muzyki fortepianowej, cechujący Żywnego, a wpajany przezeń uczniom... Obdarzony zdolnościami kompozytorskimi, jakkolwiek były to zdolności mierne, z zapalem oddawał się kompozycji, a jednocześnie został dość wczesnie „kapelmistrzem austriackim“, przyczem trudnił się daniem lekcji muzyki, na fortepianie i na skrzypcach, bo na tych dwóch instrumentach grał z równą biegłością, jakkolwiek przedewszystkiem był skrzypkiem. Że jednak celował i w grze na klawikordzie, dowodzi fakt, że gdy za panowania Stanisława Augusta przywędrował do Polski, to objął tu, w magnackim domu generała artylerji, księcia Kazimierza Sapiehy, posadę *pianisty nadwornego* i nauczyciela muzyki. Po rozbiorach kraju, straciwszy miejsce u swego dotychczasowego chlebobawcy, któremu jednak zawdzięczał korzystne znajomości z najpierwszemi rodzinami polskimi, osiadł w Warszawie, jako nauczyciel muzyki, i niebawem mógł się pochlubić wcale liczną klientelą, notabene wśród najwyższych warstw towarzyskich, biorąc po trzy, a najwyżej cztery złote na godzinę. Pozatem komponował mnóstwo sonat, uwertur, polonezów, walców, kadryłów, galopad, etc. etc., które nawet w swoim czasie cieszyły się pewną wziętością, choć nigdy po za złotą mierność nie wykraczały. W każdym razie był wykształconym muzykiem, co nie znaczy jeszcze, by się odznaczał wybitnemi zdolnościami pedagogicznemi. Owszem, jako nauczyciel, był bardzo średni i wcale nie jeden z najlepszych w Warszawie.

Andrzej Edward Koźmian, który był jego uczniem, tak o nim pisze w swych pamiętnikach:

„Dobry staruszek Żywny, który i mnie także uczył i nie nauczył grać na fortepianie, był to może jeden z najpóźniejszych nauczycieli muzyki w Warszawie... Przecież Chopin był jego uczniem, co dowodzi, że aby być w swoim rodzaju Aleksandrem Wielkim, nie koniecznie trzeba mieć Arystotelesa za mistrza“. Zupełnie identyczne świadectwo wydaje Żywnemu, jako nauczycielowi, drugi jego uczeń, Eugenjusz Skrodzki, który także uczył się od niego grać na fortepianie, i choć to trwało lat sześć, prawie niczego się nie nauczył (co może już nie było wyłączną winą Żywnego). „Pocziwa ta mierność—słowa są Wielisława — od czasu, kiedy ulubiony uczeń nabył rozgłosu, zamawiana była na nauczyciela muzyki do najpierwszych domów w Warszawie. Widać jednak, że wirtuozi i wielcy kompozytorowie przy lada jakiej pomocy sami się właściwie kształcą i wychodzą na wielkich, bo niepodobna, aby Chopin artyzmem swój i wyrobienie się, nawet w samych początkach, nauczycielowi swemu mógł zawdzięczać“.

Wogóle,—zdaniem Skrodzkiego,—„pocziwy i potulny“ Żywny, „wcale nie był mistrzem w swojej sztuce“. Całkiem odmiennego zdania o swym nauczycielu gry na fortepianie, pierwszym i jedynym, był jego trzeci uczeń, najślawniejszy ze wszystkich. „Nikt mię tu za ucznia brać nie chce—czytamy w jednym z późniejszych listów Fryderyka Chopina do rodziców,—Błahetka powiedział, że się niczemu tyle nie dziwi, jak, że ja się w Warszawie tego nauczyłem. Odpowiedziałem, iż z panem Żywnym... największy osioł by się nauczył“. Jeśli to było prawdą, to Koźmian i Skrodzki, tak surowo sądzący pedagogiczne zdolności Żywnego, mogli być z tego Chopinowego świadectwa o nim niekoniecznie zadowoleni i nie uważać go za zbyt pochlebny komplement dla siebie... W innym liście Chopina znajduje się także wzmianka o jego nauczycielu: „U nas wszystko po dawnemu: pocziwy Żywny duszą każdej zabawy“. Słowa te najlepiej malują stosunki „nauczyciela muzyki Fryderyka i pańien“ do Chopinów: istotnie był on z rodziną ich tak ży-

ty, „iż można go było uważać jakby za należącego do niej“.

„Na skromnych uroczystościach imieninowych u Chopinów—opowiada Eugenjusz Skrodzki,—pamiętam Żywnego, zawsze otaczanego oznakami wdzięczności i szacunku. Siedział zaraz przy gospodyni domu, brał potrawy przed gospodarzem, a spożywał je, mimo braku zębów, z apetytem, który w nas, malcach, wiecznie do śmiechu skłonnych, sarkastyczną wesołość wywoływał“. Każda rodzina zwykła mieć takiego poczciwego przyjaciela domu, który jej znosi nowinki z miasta, w niedzielę i święta zasiada do wspólnego stołu, a w potrzebie choćby dzieci kołysze. Żywny, o ile mu tylko wypełniony szczerze lekcjami czas pozwalał, był codziennym gościem u Chopinów. Przywiązawszy się do ich rodziny, dając lekcje na fortepianie córkom Mikołaja Chopina i jego pensjonarzom, najczęściej się stołował u Chopinów, a odbywszy lekcje na mieście, znowu powracał do nich. Wiezorami często grywał w karty z Mikołajem Chopinem, w pikietę. Nie brakło go też nigdy we czwartek lub w niedzielę, gdy u Chopinów bywał wist. Wist i rumelpikietą były namiętnością Żywnego. Pozatem odznaczał się nadzwyczajną oszczędnością, tak, iż na starość zebrał wcale pokaźny majątek. Co prawda, największą rubryką w jego wydatkach była... tabaka. Nierównie mniej wydawał na mydło, gdyż wogóle nie odznaczał się zamiłowaniem do czystości, a o ile jadał niewiele, a kawy nie pijał wcale, o tyle nie nadużywał... wody do mycia. Choć zdrowie cenił nadewszystko, był stanowczym przeciwnikiem kąpieli, tak, że latem tylko się wódką cały umywał. Pracowity niezmiernie, wstający równo ze wschodem słońca, zawsze zdrów i czerstwy, dzień cały chodził z lekcji na lekcję; a będąc z natury pogodnego bardzo usposobienia, w gronie przyjaciół słynął ze swej wesołości i patryjarchalności, „rozweselającej się wspomnieniami przeszłości, o której z wdziękiem opowiadał“. Jakkolwiek w nim płynęła krew czeska, to jednak jedynym językiem, którym władał dobrze, był niemiecki. Był to też jedyny język, w którym się jako tako wypisać potrafił. Po francuzku mówił *comme une vache espagnole*, a po polsku tak,

jak wszyscy Niemcy Warszawscy, t. j. mocno z niemiecka. Gdy korespondował z kim, to tylko po niemiecku.

Jako zdeklarowany wielbiciel J. S. Bacha (który wówczas nie był jeszcze tak wysoko ceniony, jak dziś), wogóle w muzyce hołdował szkole klasycznej niemieckiej, t. j. że w przeciwstawieniu do szkoły muzycznej włoskiej, reprezentowanej przez Spontinich, Cherubinich, Salierich, Rossinich, którzy wtedy cieszyli się szalonym wzięciem, żywił kult dla genjuszów muzycznych niemieckich, najwyżej z nich ceniąc Haydna i Mozarta. Te swoje upodobania wpajał także we wszystkich uczniów swoich, a w ich liczbie i w małego Chopina. Był to stanowczo najlepszy kierunek, w jakim mógł poprowadzić swego genialnego ucznia, jedyny kierunek, który nie wiódł na manowce, na zwodnicze pola mody i konwencjonalizmu, lecz do świątyni wielkiej, prawdziwej sztuki.

Tymczasem nie zdający sobie jeszcze z tego sprawy Frycek zaczął swego zatabaczonego nauczyciela od pierwszej chwili wprawiać w zdumienie: była to zdolność tego rodzaju, że stary rutynowany muzyk, nadzwyczaj pedantyczny i systematyczny z natury, poprostu tracił głowę chwilami, nie umiał sobie dać rady z malcem, który swą pojętnością i intuicją łamał jego wszystkie pedagogiczne formułki, unosił je, jak młody rumak, którego nie wstrzyma żadne wędzidło, żadne hamowanie. Postępy techniczne, jakie czynił w grze, przechodziły wszelkie pojęcie, zapął zaś, z jakim pracował nad fortepianem, musiał być, ze względu na delikatne zdrowie 7-letniego pianisty, aż powściągany przez rodziców. Jednocześnie, obok nadzwyczajnego talentu wykonawczego, objawiającego się np. w niesłychanej łatwości czytania nut i grania *prima vista* rzeczy już wcale niełatwych, zaczął się garnąć do kompozycji, a pomysły muzyczne, w które wtajemniczał swego starego nauczyciela, świadczyły o wyjątkowym uzdolnieniu w kierunku twórczym. Niebawem przyszło do tego, że mały kompozytor próbował spisywać swe pomysły, ale ponieważ tego jeszcze nie potrafił, więc czynił to za niego Żywny, przenosząc na papier nutowy to, co mu malec wygrywał na fortepianie. Lecz nie dość na tem:

młodziutki maestro, któremu się już w głowie paliło, gdy zobaczył utwór swój czarno na białym, zaraz zaczynał mieć cały szereg wątpliwości co do jego formy, w jaką przyoblekł dany pomysł, i niezadowolony z tego i owego, zasiadał do pracy z krytycznym pilnikiem w ręku, próbując szlifować już wykończony niby utwór, i usiłował w ten lub ów sposób, za pomocą mnóstwa zmian, dopełnień, skróceń, wzmocnień i osłabień akordów i pasażów, nadać mu kształt doskonalszy, artystyczniejszy, bardziej go zadawalniający. Były to przeważnie marsze, polonezy, walce, galopady, warjacje, bo tego rodzaju kompozycje taneczne największem w tych czasach cieszyły się wzięciem, a choć były to jeszcze rzeczy dziecinne, naiwne, nieoryginalne, to jednak upoważniały do wróżenia chłopcu jaknajświetniejszej przyszłości na polu kompozytorskiem... W końcu przyszło do tego, iż poczciwy Żywny, oszołomiony genialnymi zdolnościami małego Frycka, zaczął się czuć niezdolnym do pokierowania nim, że postanowił mu zostawić zupełną swobodę, i tylko uważać, by chłopiec nie zeszedł z właściwej drogi, by się rozwijał niezbyt samowolnie, w pewnych granicach, by nie odbiegał od kierunku, który wytykały Preludja i Fugi Bacha i jego *Das wohltemperierte Klavier*, a który poprzez Sonaty Haydna, Mozarta i Beethovena prowadził do świeżo wychodzących kompozycji Hummla, Riesa, Gyrowetza i innych kompozytorów niemieckich. Do tego powoli zaczęły się ograniczać wskazówki Żywnego.

Pozatem był zachwycony swym uczniem, kochał go, jak syna, szczylił się nim, i cieszył się z jego zadziwiających postępów. Dzięki podobnej metodzie, osiągnął ten rezultat, że uczeń znajdował nadzwyczajną przyjemność w częstych lekcjach z nim, iż na te lekcje cieszył się całym sercem, wiedział bowiem, że mu „poczciwy Żywny“ nie będzie krępował skrzydeł, owszem, że mu chętnie popuszcza cugli, i że nań zapatruje się, nie jak nudny, zatabaczony pedant i profesor, ale jak prawdziwy przyjaciel, który go kocha, jak ojciec, z niemniejszą szczerością pragnąc jego dobra, sławy i szczęścia. Dzięki podobnemu postępowaniu z uczniem, po tępowaniu, które tylko zaszczyt może przynieść

pedagogicznym zdolnościom Żywnego, obaj zawsze byli nadzwyczaj zadowoleni jeden z drugiego, co było tem dziwniejszem, że, o ile Żywny miał skłonność do pedanterji, akuracności i dokładności, o tyle jego uczeń był żywy, wrażliwy, nerwowy, zapalny. A jednak przedziwnie zgadzali się ze sobą, zawsze w zgodzie, zawsze w przyjaźni, zawsze w karności. Okazuje się z tego, że „pocziwy Żywny“ wcale nie ostatnim był psychologiem i znawcą natury ludzkiej.

Nie upłynął rok, a już postępy, jakie mały Chopin uczynił w grze na fortepianie, były tak olbrzymie, że o nich wieść, podawana z ust do ust, zaczęła się rozchodzić po mieście. Jednym z tematów, który zaczęto poruszać na salonach warszawskich, był 7-letni „Szopenek“. Ci, co go w domu jego rodziców lub ich bliższych znajomych, jak np. w domu Lindów, słyszeć mieli sposobność, opowiadali cuda o jego talencie, a z niemniejszym uniesieniem mówili o jego kompozycjach, które nietylko w niczem nie ustępowały innym podobnym kompozycjom współczesnych kompozytorów miejscowych, ale z nimi śmiało mogły iść o lepsze. Kilka jego „tańców i warjacji“, spisanych jeszcze ręką Żywnego, wstępnym bojem zdobyły sobie popularność w salonach, a budząc zachwyty wśród dam wielkiego świata, niemniejszy podziw budziły wśród prawdziwych znawców, którzy się nad nimi „unosili“. Jakoż niebawem zaczęto się w jedynaku Mikołaja Chopina dopatrywać podobieństwa z małym Mozartem i wróżyć mu przyszłość nieśmiertelnego twórcy *Don Juana*.

Tymczasem, w marcu 1817 roku, nastąpiły „mozolne bardzo“ przenosiny Liceum warszawskiego „z Biblioteką, Muzeum i Laboratorjum Chemicznem“, z gmachu pałacu Saskiego do świeżo odrestaurowanego—według planów Aignera—pałacu Kazimierowskiego na Krakowskiem-Przedmieściu. „Trudności, czytamy o tem w sprawozdaniu Liceum za rok szkolny 1816—1817, przenosinom takowym towarzyszące, pomnożone zostały przez to, że nastąpić musiały, nim jeszcze najpotrzebniejsze nawet przygotowania nowej pomieszkalności ukończonemi być mogły. Z tem wszystkiem sale do dawania lekcji uczniom liceowym dosyć prędko przyrządzone mi zostały, tak, że młodzież uszczerbku na nauce nie mia-

ła". Wobec tego, że z rozporządzenia Wielkiego Księcia Konstantego, cały pałac Saski wraz z przyległemi doń oficynami opróżnionym być musiał, musieli się ztąd wyprowadzić i wszyscy profesorowie licealni, którzy tu mieszkali i utrzymywali pensjonaty. W ich liczbie był i Mikołaj Chopin, który wraz z całym pensjonatem i rodziną, przeniósł się do t. zw. Koszar Kadeckich, do jednej z świeżo odbudowanych oficyn pałacu Kazimierowskiego, do prawej mianowicie i tu, na drugim piętrze, zajął odpowiedni lokal. „W tej samej oficynie, na pierwszym piętrze, mieszkał Samuel Bogumił Linde, rektor Liceum, i Ksiądz Wojciech Szwejkowski, rektor Uniwersytetu Warszawskiego. Na dole mieszkali profesorowie uniwersytetu, Juljusz Kolberg, Kazimierz Brodziński i jeszcze kilku innych“.

W niedługi czas potem przeżyli mieszkańcy Warszawy dwie podniosłe chwile uroczyste: wyprowadzenie zwłok księcia Poniatowskiego z kościoła Św. Krzyża, jako z miejsca dotychczasowego pobytu, do Krakowa, gdzie miały spocząć w podziemiach grobów królewskich na Wawelu, oraz nabożeństwo za Tadeusza Kościuszkę, zmarłego dnia 14 października w Solurze w Szwajcarji. Pierwszy z obchodów tych—oba uzyskały sankcję Cesarza i Króla—odbył się dnia 17 lipca, drugi zaś w równe cztery miesiące później, dnia 14 listopada. Oba odznaczały się wysoce patriotycznym nastrojem, a dla 7-letniego Chopina przedstawiały oprócz narodowego polskiego, jeszcze i czysto muzyczny interes, gdyż były połączone z muzyką, i to najszczytniejszą muzyką, jaka istniała wogóle, z *Requiem* Mozarta: arcydzieło to bowiem—najwznioślejsze natchnienie nieśmiertelnego piewcy—było w czasie obu uroczystości przez liczne grono artystów i amatorów pod dyrekcją Józefa Elsnera wykonaniem. Oba obchody odbyły się w górnej nawie kościoła Św. Krzyża, a świadkami nabożeństwa przed wyprowadzeniem zwłok księcia Józefa Poniatowskiego, byli także, prócz niezmiernych tłumów, rozpierających ściany świątyni, „generałowie i oficerowie obu narodów“. „Po muzyce żalobnej—pisała *Gazeta Warszawska* z dnia 19 lipca—i po mowie ks. Kanonika Szaniawskiego, odprowadził zwłoki przy asystencji

wojsk JW. J. Ksiądz Biskup Zambrzycki z licznem duchowieństwem świeckiem i zakonnem do t. zw. figur przy ulicy Ujazdowskiej, gdzie czekał na nie kapelan wojskowy JX. Majewski dla dalszego ich odprowadzenia. Idący przed trumną generałowie nieśli na wezgłowiach ozdoby orderowe i laskę Marszałkowską ś. p. Książęcia. Począwszy od Św. Krzyża, stały cechy z chorągwiami, a wszystkie ulice aż do granic Warszawy mnóstwo ludzi napępiało. Powszechnie rozrzewnienie, żalność, okazująca się na twarzach, łzy obficie ronione, nowym były w dniu tym dowodem, że pamięć rzadkich cnót i zasług nieboszczyka żyje w sercach współczesnych i przejdzie do potomności. Gdy zwłoki stanęły u rogatki Mokotowskich, wojska oddały mu cześć ostatnią przez wystrzał z dział i ręcznej broni, a przed samem wyruszeniem ich w dalsze przeznaczenie, JW. Generał Dywizji, Hrabia Wincenty Krasiński przemówił czule do przytomnych". Niemniej niezatarte wrażenie pozostawił po sobie w umysłach mieszkańców Warszawy, a w tej liczbie i rodziny Chopinów—dzień 14 listopada 1817 roku, dzień, w którym podczas nabożeństwa „za duszę sławnej pamięci Tadeusza Kościuszki“, górny kościół Św. Krzyża przedstawiał „poważny i rozrzewniający widok żałoby“. „Obszerny gmach świątyni—pisała nazajutrz *Gazeta Warszawska* — ledwo mógł objąć przybyłe na ten obrządek wszelkiego stanu i stopnia osoby, pomiędzy któremi Jego Cesarzewiczowska Mość W. Ks. Konstanty, tudzież Namiestnik Królewski, Senatorowie, Ministrowie, Generałowie i Urzędnicy znajdowali się. Lud mnogi napępiał przysionki, aby choć zdaleka łączyć swe westchnienia do modlitw kapłanów. Przybranie kościoła, przez trzy dni sposobione, odpowiadało zupełnie temu żalósnemu obrzędowi. Ołtarze żałobą pokryte; wewnętrzne ścian i okien czarnym kirem osłony; liczne mdłym ogniem wśród ciemności po wszystkich gankach i na kilkunastu piramidach w różnym kształcie wystawionych, gorejące światła; katafalk, a na nim trumna, w trofea wojenne przybrany i wzniesiony na pięciu gradusach wpośród kolumn korynckich; nad trumną laurami ozdobiony w zbroi rycerskiej, wizerunek, którego rysy przypominały lubą prostotę obyczajów i szla-

chetność duszy jego; złożone poniżej trumny na węgło wiu czapka i szarfa generalska, a tuż z przypowieści Salomona rozdz. X, wierz 7 *Pamiętka sprawiedliwego z chwałą*, który objaśniała gorejąca ofiara wdzięczności na trójnożku; pobożna cichość, przerywana pieniami religijnymi i *smętnemi tonami dobranej muzyki, z zadziwiającją dokładnością ezekurującej Requiem Mozarta*; głos gorliwego kaznodziei X. Szaniawskiego w czasie wielkiej Mszy, celebrowanej przez biskupa Gołaszewskiego; tkliwa przemowa przy *Castrum doloris*, miana przez JW. Sekretarza Senatu J. U. Niemcewicza, towarzysza w szczęściu i nieszczęściu Tadeusza Kościuszki: wszystko to głębokie na umyśle i sercu sprawiało wrażenie“. Kto wie, czy kult, jaki przyszedł twórca *Sonaty B-mol* żywił dla Mozartowskiego *Requiem*, nie datował się od tego pamiętnego nabożeństwa...

Cokolwiekbądź, tymczasem 7-letni *maestro* całe godziny spędzał nad fortepjanem, ćwicząc się, komponując, improwizując. Pozatem, choć dlań muzyka zwolna stawała się głównem zajęciem, uczył się i innych przedmiotów, gdyż dotychczas wcale nie leżało w projekcie państwa Mikołajów, by go kształcić na artystę. Przedewszystkiem myślano o tem, ażeby przeszedł zwykłą edukację. W tym celu, gdy już się nauczył czytać i pisać, zaczęto go powoli zapoznawać z naukami, w których on „równe muzycznym“ okazywał zdolności. Wogóle nauka przychodziła mu niesłychanie łatwo, a że pierwszym jego nauczycielem był tak doświadczony pedagog, jak Mikołaj Chopin, więc jeszcze w lekcjach tych znajdował przyjemność, bo miłą rozrywkę dla umysłu.

Tylko ze zdrowiem zawsze był nie zupełnie tak, jakby sobie tego życzyła pani Chopin. Za to był „slicznym chłopczykiem“, który nietylko przy fortepianie czarował wszystkich.

Biała gwardja.

NOWELA.

Smutna historia „Wielkiej armji” Napoleona obfituje w zdarzenia, które opowieść przybiera z czasem w legendową szatę: „Biała gwardja” stanowi równie prosty, jak bohaterski epizod z czasów Napoleońskich, gdy legjony zdobywców całej Europy, zasnęły snem wiecznym pod śniegami dalekiego wschodu, na posterunku, z bronią w ręku, posłuszne woli jednego człowieka.

Potężna armja, jaką cesarz Napoleon podbił Europę — opowiadał stary gwardzista, stopniała na obszarach Rosji. Zebrane razem korpusy Qudinota, Victoria i Dąbrowskiego liczyły zaledwie 40,000 ludzi. Po za nami płonąła Moskwa, gęste chmury dymu zaścięłały widnokrąg. Ah, ten odwrót okropny. Niemasz porażki, któraby więcej pochłoneła ofiar; ale niemasz i zwycięstwa, któreby większe dały przykłady bohaterstwa. Po tylu krwawych bitwach, gdy rozproszyły się pułki bawarskie, piemonckie, hiszpańskie, rosła jednocześnie odwaga starych weteranów armji, których jedynem marzeniem stało się odtąd ujrzenie rodzinnej ziemi.

Szliśmy w nieładzie, cierpieliśmy w milczeniu. Długa droga od Wiaźmy do Smoleńska przeszła szczęśliwie; połączenie marszałka Davouh z gwardją cesarską wzmocniło nasze siły. Co za radość odnaleźć starych towarzyszków tyłu

walk i wędrówek, ludzi, których miało się za zaginionych wśród stepów i jarów!

Poza Orszą pozwoliliśmy sobie na odpoczynek. Saperzy pierwszej dywizji, na rozkaz cesarza, wzięli się zaraz do układania mostu przez Berezynę. Należało osłaniać ich pracę. Wojska generała Czyczagowa i Wittensteina parły nas ze wszech stron, zagrażały naszym skrzydłom. Gdyby zawiązała się bitwa, niemożliwe byłoby ustawienie mostu; od-



Porucznik podniósł latarkę i spojrzał mu w oczy.

wrót mielibyśmy odcięty, bylibyśmy zgubieni. Uprzedzony przez generała Eblego, cesarz nakazał nam bronić tyłów armji, gdzie ciągnęły wozy z amunicją, artylerja, pakunki i chorzy.

Oddział mój pod wodzą porucznika stanął w bliskości lasku, w którym więcej było drzew spalonych, niż całych, szczątki armat, wozów i skrzynek armatnich. Koło wieczoru pozwolono nam pogrzać się trochę przy wążem ognisku któ-

reśmy zastaniali sobą z obawy, aby nas nieprzyjaciel nie dostrzegł.

Należało postawić wartę. Pierwszego powołano Jakóba Lebadois, tęgiego normandczyka. Zerwał się zaraz, nabił strzelbę, wyciągnął raz jeszcze ręce ku ognisku, poczem wyprostował się, salutował i życząc nam dobrej nocy, dodał żartobliwie:

— A nie zapomnijcież koledzy mię zastąpić.

I krokiem miarowym ruszył na stanowisko.

Za chwilę ujrzelśmy go no wzgórz, chodzącego tam i napowrót; jego postać rysowała się na mdłym tle nieba, to wynurzała się z cienia wielka czapka, to połyskiwał bagnet karabina. Powoli ogień przygasł, i sen zmorzył nas wszystkich.

Ocknąłem się; wicher mroźny rozegrał się na dobre. Spojrzałem w stronę pagórka, biedny Jakób, temu tam musi być ciepło! Stał nieruchomo wyprostowany.

— Ot, pewnie już dobry czas go zastąpić — pomyślałem.

Zbudziłem porucznika. Zamruczał coś niechętnie, a oprzytomniawszy, zawołał Le'Honneca i poszli obaj na wzgórek.

— Lebadois!—rozległo się wołanie.

Wartownik ani się poruszył.

— A to śpi hultaj!

Oficer podniósł latarkę, spojrzał mu w oczy.

Zołnierz spał istotnie, ale snem, z którego się nie obudził... Zamarzył na posterunku.

Nabożny bretańczyk, Le Honnec, zrobił znak krzyża. Potem bez najmniejszego wahania, ani śladu obawy objął swój obowiązek. Teraz dwóch było wartowników — trup i żywy.

Upłynęło znów dwie godziny. Dowódca zawezwał nas do zmiany; wybór padł teraz na Piotra Brave, który godnie nosił nazwisko „dzielnego“, drwił zawsze z kul i bagnetów, z głodu, nawet z najstraszniejszego wroga—mrozu. Zawsze miał uśmiech na ustach i słowo dowcipne, czem w ciężkich godzinach rozweselał towarzyszków niedoli. Dość było spoj-

rzeć na niego, aby otucha zajęła miejsce zwątpienia, a nudzić się z nim niepodobna było.

— Hej, Le Honnec, idź się pogrzać; teraz kolej na twego Bibi! No, cóż stary?



Kozacy, widząc straż niewzruszoną, cofnęli się śpiesznie.

Ale Le Honnec milczał uparcie, ściskając karabin w dłoni, pochylony, jak gdyby wypatrywał ukrytego nieprzyjaciela.

Oczy porucznika zamglily się ze wzruszenia. Wejrzeniem wskazał Piotrowi drugą ofiarę, jakby pytając, czy ze chce się stawić na pewną zgubę.

— Nie bój się, poruczniku, widywałem ja gorsze rzeczy. Albo im to źle?..

Z ciężarem na sercu oddalił się dowódca. Tam, na górze, trzech ich teraz pozostało, ale jeden czuwał.

Nie miał i on się obudzić. Jak Lebadois, jak Le Honnec, i dzielny Piotr Brave zmarł w tę noc fatalną. Skoro nadszedł nowy zastępca, zastał go klęczącego obok tamtych, z oczami szeroko rozwartemi; patrzył z tamtego świata, czy wojska rosyjskie nie nadciągają.

— Wszyscy więc zmarzną tutaj!—wykrzyknął dowódca rozpaczliwie. Lecz rozkaz był święty; na jego spełnienie mogło polegać ocalenie armji francuzkiej. Lada chwila nadejść mogła armja Czyczagowa; któż francuzów ostrzeże?

Następca Piotra był chłop rosły, burgundczyk, który parę beczek prochu wystrzelał we wszystkich krajach Europy. Stojąc na warcie, wyciągnął rękę do porucznika.

— Pozwól mi pan uścisnąć swą dłoń. Po raz ostatni się widzimy!

Oficer powrócił do biwaku. Milczenie panowało ogólne. Jedna myśl objęła nas wszystkich: co dwie godziny, jeden z nas ma iść na śmierć. Nie było wahania—obowiązek lub życie!

Otulony płaszczem, czekałem z rezygnacją swej kolei. Patrzyłem w ogień, aż nie widząc; jakaś senność bolesna objęła mię. Wszystko snem mi się wydawało. Co pewien czas wywoływano czyjeś nazwisko, i oficer odprowadzał wybrańca na miejsce przeznaczenia, a raczej stracenia.

W tem powstał hałas niezwykły. Krzyki, szczęk broni, bieganina, wyrwały mię z odrętwienia.

— Nieprzyjacieli!—Baczność!

Słońce zeszło. Biała równina zajaśniała teraz różowym blaskiem. Kozacy wysłani na zwiady, pędzili w galopie. Widać już było jeźdźców w zielonym ubiorze, wysokich czapkach; na czele jechał kwatermistrz, którego pas srebrzysty połyskiwał zdaleka.

Czułem się zgubionym. Mróz lub kula, jedna śmierć!

Naraz oficer dowodzący wstrzymał konia; za nim stanął cały oddział. Rozejrzał się bacznie, i to, co zaniepokoiło go widocznie; machnął szablą na znak odwrotu. Kawalerja ruszyła cwałem, i jak ukazała się raptownie, równie szybko zniknęła w oczu. Śpieszyli z doniesieniem do generała Czyżagowa, że przejście jest strzeżone.

Spojrzałem w stronę, zkad nieprzyjaciel się cofnął.



— Nie my ocaliliśmy armję; oni to uczynili!

Wspomnienie okropnej nocy zmieniło się w ponurą rzeczywistość. Gwardziści nasi stali w szeregu, zwrócieni twarzą do nieprzyjaciela. Bagnety lśniły na słońcu; kaski i płaszcze bielily się od śniegu.

Poznałem każdego. Ten pierwszy, wyprostowany, z oczyma wdał utkwionemi, wytrzeszczonemi, był to nasz burgundczyk. Drugi, mniejszy, przysadkowaty, jakby przygnieciony

ciężarem śniegu, zdawał się uśmiechać dobrodusznie; to Piot Brave. Wiatr poruszał pelerynę jego płaszcza; zdawało się, przez chwilę, że to on sam się wstrząsa, jak gdyby dla rozgrzania. Dalej stał Le Honnec, za nim Lebadois i inni, których kolejno rozpoznałem, choć wszystkich obficie śnieg przypruszył. Któryś klęczał z głową zwieszoną, jakby się modlił, inny trzymał broń naprzód, niby do strzału.

Teraz pojąłem panikę nieprzyjaciela. Wyciągnięta rzędem na skraju lasu, z bronią w rękę, straszna była w niezwruszonej swej postawie ta „biała“ gwardja.

Umarli więc stanęli za nas, żywych—i ocalili nas.

.....

Niebawem najechał marszałek Ney w gronie straży przybocznej.

— Brawo, dzieci!—zawołał.—Uratowaliście armję!

— Nie nasza zasługa, ekscelencjo—odrzekł smutnie porucznik,—*Oni* to uczynili!

I wskazał palcem białych grenadyerów. Marszałek zsiadł z konia, zbliżył się do grona bohaterów, uchylił kapelusza, poczem przypiął na każdej z tych zimnych piersi krzyż zasługi.

— W imieniu cesarza!

A cesarz tymczasem uciekał, jak zbieg pospolity, krył się przed tymi, na których tak niedawno zbrojną podniósł rękę...

Tajemnice wulkanów.

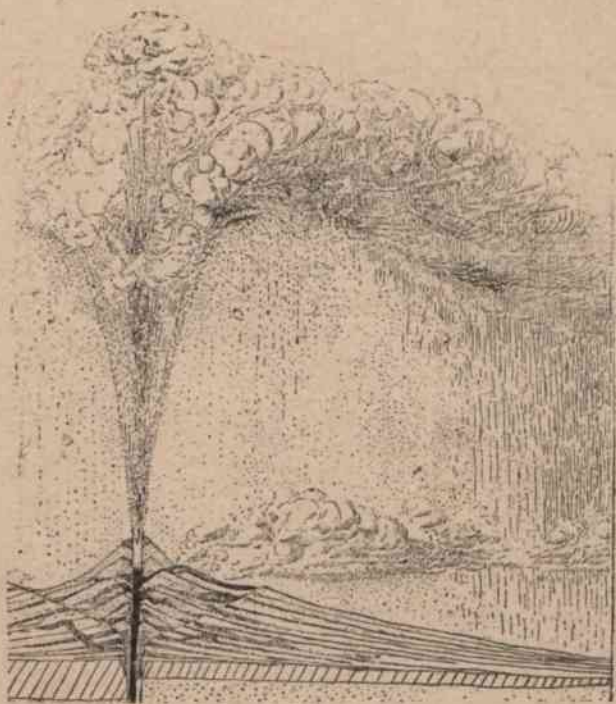
Widok góry, ziejącej ogniem, to jedno z najcudowniejszych i najwspanialszych zjawisk przyrody; wulkany należą też bezsprzecznie do najciekawszych objawów geologicznych, wywołujących niejednokrotnie w czasie bardzo krótkim olbrzymie działanie. Cóż to jest jednak, co się tak pali i żarzy w wnętrzu ziemi? Zkąd się bierze ten straszny ogień, w którym topnieją kamienie i kruszce, wylewające się następnie poza brzegi krateru lub wybuchające wraz z gazami wysoko w powietrze? Gdzie to źródło ciepła ma swoje siedlisko?

Chcąc odgadnąć tajemnice wulkanów i zbadać przyczyny tych zjawisk, trzeba przedewszystkiem pilnie obserwować same zjawiska, warunki bowiem przyrodzone nie pozwalają nam na poznanie przyczyn. Z obserwacji tych wyciągnąć należy następnie wnioski, przy pomocy znajomości kuli ziemskiej i rządzących nią praw natury.

Wulkany rozrzucone są bardzo gęsto i znajdują się w każdej części ziemi. Według obliczenia Fuchsa, czynnych jest obecnie jeszcze 328 wulkanów; ponadto naliczyć można jeszcze 400 do 500 takich, o których wybuchach wiemy z historii, lub w których krater i strumienie lawy noszą ślady niezbyt odległej czynności. Na stałym lądzie europejskim czynny jest dotąd jeden tylko wulkan, a mianowicie Wezuwiusz, który nam, gdy mowa o ziejących ogniem

górach, mimowoli przychodzi na myśl. On dał wogóle początek studjowaniu wulkanów, a że większość zjawisk wulkanicznych występuje u niego bardzo wyraźnie, najlepiej więc będzie, jeżeli ten właśnie wulkan weźmiemy za punkt wyjścia do naszych obserwacji.

Co się tyczy dzisiejszej postaci Wezuwiusza, zauważyć należy, że wznosi się on na wysokości 595 metrów ponad poziom morza, w kształcie płaskiego niezbyt spadzistego

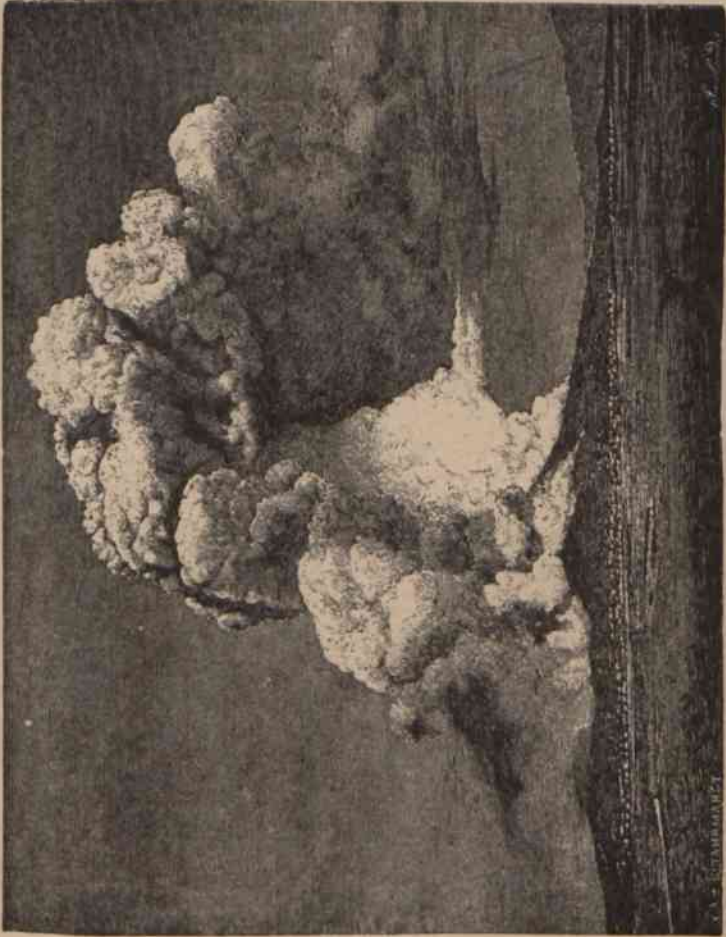


Wybuch wulkanu.

stożka, tworzącego podstawę dla Monte Somma i właściwego Wezuwiusza. Górę Somma przeryna droga, wiodąca od obserwatorium do stromego stożka, w którego wnętrzu mieści się krater wulkanu.

Pierwszy, znany z historii wybuch Wezuwiusza miał miejsce w r. 79 po Ch., za panowania Tytusa; była to owa

sławna, poprzedzona prawdopodobnie kilkuwiekowym spokojem katastrofa, w której zalane zostało Herkulanum, Pompeja i Stabia wraz z licznymi mniejszymi miejscowościami. Szczegóły jej znamy dokładnie z listu Pliniusza Młodszego



Wybuch Wezuwjusza r. 1872.

do Tacyta, donoszącego o śmierci swego wuja, Pliniusza Starszego, który bawiąc podówczas jako admirał floty rzymskiej na przylądku Misenum, padł ofiarą katastrofy, opis wybuchu daje nam dokładny obraz zjawiska wulkanicznego.

Wybuch poprzedzony został gwałtownem trzęsieniem ziemi, poczem uniosła się z krateru Wezuwiusza olbrzymia chmura, składająca się przeważnie z białych oparów, zaciemnianych od czasu do czasu kamieniami i popiołem, wyrzucanym z wielką siłą z wnętrza krateru. Olbrzymia chmura wznosi się do pewnej wysokości, poczem kamienie i popiół, nie parte już od dołu, opadają, a chmura, oświetlana straszniemi błyskawicami, rozprasza się w przestrzeni. Chcąc



Wnętrze krateru wulkanu Kilauea na Hawai.

się lepiej przypatrzeć zjawisku, kazał Pliniusz załodze wziąć na okręty i podpłynąć bliżej; wkrótce jednak obsypał je tak olbrzymi grad kamieni, zmieszanych z popiołem, że musiano czempędzej wylądować w Stabiae, gdzie Pliniusz przyjął gościnę u przyjaciela swego Pomponiana. Gwałtowność wstrząśnień wzmagąca się, aż wreszcie wybuchy dosięgły najwyższego punktu; masy wyrzucanego popiołu i kamieni pumeksowych, były tak olbrzymie, że zasłaniały słońce, skut-

kiem czego panowała zupełna ciemność. Morze burzyło się; zdawało się, że pod wpływem wstrząśnień, cofnąć się chce z łożyska. Wciskający się głęboko w morze brzeg zasiany był mnóstwem zwierząt morskich. Powietrze przesycone było zapachem siarki. Podczas gdy wszyscy uciekli, położył się Pliniusz na suknie, rozpostartem na podłodze i tu uduślił go gazy. Lawę wyrzucił wulkan w ilości bardzo wielkiej. Pompeji i inne miejscowości nie zostały zalane,



Kaskada lawy płynącej.

lecz raczej zasypane tylko popiołem i drobnymi kamyczkami, zwanymi „lapilli“, albo „rapilli“. Popiół, pod wpływem potoków olbrzymiego deszczu, zamienił się w rodzaj mułu, który staczając się z spadzistości, wszystko z sobą unosił. Warstwa, która pokryła Pompeji, Herculanium i inne miejscowości, musiała być znacznie grubsza od tej, jaką znaleziono przy rozkopywaniu, w przeciwnym bowiem razie mieszkańcy nie byłiby tak doszczętnie wyginęli.

Do czasu tego wybuchu miał Wezuwiusz kształt ściętego stożka, zakończonego olbrzymim otworem kraterowym, gdzie w czasie powstania niewolników obozował Spartacus z dziesięcioletnią swą armją. Po katastrofie zapadła się część góry Somma, równocześnie utworzył się dokoła krateru dzisiejszy stożek.

Następny większy wybuch Wezuwiusza przypadł w grudniu 1631 roku; ofiarą jego padło wówczas kilka tysięcy lu-



Wnętrze krateru zastygłego.

dzi. Dnia 18 grudnia po gwałtownym wstrząśnieniu wybuchać zaczęły z krateru olbrzymie masy lawy, zlewające się w kilku strumieniach do morza, którego dosięgły w ciągu godziny. Jeden strumień zniszczył Bosco i Porre del Annunziata, drugi większą część Torre del Greco, trzeci wreszcie Portici i Resinę. W latach 1794—1822 miały miejsce również bardzo gwałtowne wybuchy; ostatni wielki wybuch



Zastygły potok lawy.

przypadł w r. 1872, po którym szczyt góry ognistej przybrał znowu odmienne kształty.

Z pośród wyrzucanych przez wulkan materji, jedną z najciekawszych stanowi lawa, pokrywająca po ostudzeniu stoki Wezuwiusza i zachowująca na zwietrzalej swej powierzchni niejednokrotnie ślady dawnej roślinności. Lawę nazywamy materję kamienistą, którą wulkan wyrzuca w stanie płynnym i która twardnieje dopiero po ostudzeniu. Lawą tą zapełnione są wszystkie kanały, prowadzące z wnętrza ziemi do otworów czy to w Wezuwiuszu, czy w innym jakim czynnym wulkanie. Lada nacisk gazów powoduje podnoszenie się lawy, która przebiła pokrywającą dno krateru powłokę z popiołu i przelewa się przez jego brzegi. W ostatnich wiekach niema Wezuwiusz prawie ani chwili spokoju; ciągle się coś w wnętrzu jego gotuje, nad kraterem unoszą się odczasu doczasu gęste kłęby dymu, a z licznych otworów wypływają niewielkie strumienia rozpalonej lawy. Niewielkie takie wybuchy spowodować mogą każdej chwili katastrofę; zależne to jest jedynie od ilości nagromadzonych pod powierzchnią wulkanu gazów. Następuje wtedy wyładowanie wulkanu, który z olbrzymią siłą wyrzuca olbrzymie słupy lawy nieraz do wysokości kilku kilometrów. W czasach względnego spokoju wierzchołek Wezuwiusza zasklepiony jest stwardniałą lawą; po wybuchu krater rozszerza się znacznie.

Zawarta w wyrzucanych masach lawy para rozszerza się z gwałtowną szybkością i siłą, przyczem druzgocze olbrzymie kawały masy na drobne kawałeczki, które następnie wraz z lawą płynną spływają po stokach wulkanu. Wyrzucana w formie pary woda opada z siłą ulewnego deszczu na stoki góry, żłobiąc w niej olbrzymie szczeliny. Nie wszystka jednak wyrzucana z krateru masa opada na stoki wulkanu, lub w pobliżu ich. Część masy tej, rozbite siłą pary na drobne kamyczki i proch i gnana wiatrem, unosi się w powietrzu na setki nieraz mil.

Nie trzeba jednak zapominać, że Wezuwiusz, aczkolwiek wybuchy jego są straszne, wskutkach, należy, z uwagi na wielkość swego krateru i szybkość wybuchów, do wulkanów

trzeciego rzędu. Już Etna na Sycylji jest conajmniej 20 razy większa, a zjawiska wybuchowe jej przewyższają potęgą swą i wspaniałością znacznie obserwowane u Wezuwiusza.

Najpotężniejsze jednak i wybuchową swą siłą najbar-



Drzewa, spalone przez lawę.

dziej imponujące góry ogniste spotkać można na Islandji i na archipelagu malajskim. W czasie jednego wybuchu wulkanu, noszącego nazwę Skaptar na Islandji, w r. 1783, wylało się z wnętrza krateru więcej lawy, aniżeli jej wyrzu-

ciły Wezuwiusz i Etua podczas wszystkich znanych wybuchów razem. Olbrzymi wybuch wulkanu Krakatau, małej wysepki w środku archipelagu Malajskiego, zwanego nie bez słuszności „gniazdem wulkanów“, zakończył w r. 1883 szereg wybuchów, które trwały wiek cały. Był to wybuch najstraszniejszy, jaki pamiętają dzieje. Ofiarą jego, według danych urzędowych, padło 40 tysięcy ludzi. Olbrzymie masy popiołu i sproszkowanej lawy, rozniosły wiatry po całej kuli ziemskiej.

Zastanawiając się bliżej nad temi niezwykłemi i tajemniczymi zjawiskami wybuchowemi, przychodzimy do przekonania, że przyczyny ich szukać należy w olbrzymiem ognisku ciepła, we wnętrzu ziemi; przemawiają za tem, prócz lawy, wyrzucanej ze wszystkich wulkanów, także źródła gorące. Nauka przyjmuje jako pewnik, że ziemia nasza tworzyła kiedyś wrzącą masę płynną i że we wnętrzu jej dziś jeszcze panuje olbrzymie gorąco. Czy się jednak tam znajdują jeszcze płynne ciała mineralne i kruszce, czy też ziemia aż do środka swego stanowi zbitą masę, o tem nie pewnego powiedzieć nie można. Gdyby jednak nawet przyjąć, że się w wnętrzu ziemi znajdują jakie płynne pierwiastki, to według wszelkiego prawdopodobieństwa oddziela je od powierzchni ziemi stała powłoka tak gruba, że trudno przypuścić, ażeby ją masa ognista rozsadzić zdołała. Starano się dalej wytłomaczyć powstawanie wulkanów, jako wynik miejscowych procesów chemicznych, lecz i to przypuszczenie nie ostało się; obecność lawy we wszystkich wybuchach wskazuje na wspólne pochodzenie wulkanów z jednego olbrzymiego źródła centralnego.

Można przypuścić, że w czasach przedpotopowych masy kamieniste, znajdujące się w wnętrzu ziemi, skutkiem olbrzymiego ciśnienia, stwardniały tam już przy temperaturze takiej, przy jakiej na powierzchni ziemi pozostałyby były jeszcze w stanie płynnym. Otóż jeżeli się ciśnienie to zmniejszy gdzie, muszą masy stałe, znajdujące się tam, przejść znowu w stan płynny, zupełnie tak, jak to ma miejsce z parafiną lub olbrottem, które zmienione, pod wpływem silnego ciśnienia w stan stały, po otwarciu rurki szklanej, topnieją

na nowo. Jeżeli więc, skutkiem utworzenia się szczeliny na ziemskiej skorupie (co nastąpić może przy powolnem oziębieniu całej kuli ziemskiej), zmniejszy się ciśnienie na zastygłe pod wpływem wysokiego ciśnienia masy kamieniste, wtedy muszą one topnieć i wydostawać się w myśl prawa hydrostatyki w górę. Równocześnie uwalniają się olbrzymie masy gazów, które przedtem, skutkiem wielkiego ciśnienia, nie mogły się wydobyć na wierzch, a teraz z olbrzymią



Ulica w Pompei po odkopaniu.

siłą wybuchają przez otwór w kraterze, wyrzucając wysoko w powietrze stopione masy.

Terenem najpotężniejszych, najwspanialszych zjawisk wulkanicznych są wyspy Sandwich, a głównie największe z nich Hawaiki. Znajdujemy tu największy z wulkanów, wysoki na 4139 m. Mauna Loa, znany z wybuchu w r. 1866, trwającego bez przerwy 10 miesięcy, i drugi mniejszy, Mauna Kea. Obydwie góry ogniste składają się głównie

z lawy, z małym dodatkiem innych domieszek, co rzadko się zdarza. Ciekawy jest również boczny krater Mauna Loa, t. zw. Kilauea; ma on kształt olbrzymiego kotła, w którym bez ustanku gotuje się i kipi lawa. Podobnego zjawiska nie spotykamy w żadnym innym wulkanie.

Tu, na wyspach Hawajskich, wszystko, począwszy od kształtu wulkanu i krateru, a skończywszy na masie wybuchowej, ma swoje odrębne, oryginalne cechy, i tu jednak, równie jak gdzieindziej, wiele rzeczy pozostaje dotąd tajemnicą.

D. L.

Bohater „Merrimac’a”.

Epizod z wojny hiszpańsko-amerykańskiej.

Krótko trwała wojna hiszpańsko-amerykańska, zakończona zniszczeniem floty hiszpańskiej i zaborem Kuby i Filipinów przez Stany Zjednoczone. I ona jednak nie obešla się bez wypadków bohaterskiego poświęcenia. Jednym z najdonioślejszych takich czynów, który niezawodnie przejdzie do historii, jest zatopienie umyślnie własnego statku „Merrimac” przez porucznika amerykańskiego Hobsona. Dzielni uczestnicy tego przedsięwzięcia gotowali się na śmierć pewną a dowolną, nie zawahali się jednak przed krokiem, który chwale i zwycięstwo miał przynieść orężowi Ameryki. Trafem szczęśliwym uszli z życiem; niemniej epizod ten stanowi rzadki i płodny w następstwa czyn wojenny.

Wojna pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Hiszpanją pozostanie wypadkiem dziejowym, najpłodniejszym w następstwa polityczne. Zajmuje ona drugie miejsce w dziejach, kończących wiek dziewiętnasty, po wojnie francuzko-niemieckiej. Bez przesady zaś zastosować można do bitwy pod Santjago pamiętne orzeczenie Goetego o nocy, kiedy się odbyła kanonada pod Valmy,—że ona oznacza początek nowej ery w dziejach świata.

Zagłada floty hiszpańskiej stanowiła rzeczywiście nie tylko o wyniku walki, rozpoczętej przez dwa narody, lecz i o przyszłości Europy. Wielkie państwo demokratycznej

Ameryki, dotąd tak pokojowo usposobione, w upojeniu zwyciężkiem przekształca się odtąd z dnia na dzień w potęgę wojskową i morską. Zapragnęło odrazu rozszerzenia swych posiadłości i z zuchwałością ambicji, popartej zasobami nader znacznymi, domagało się głośno prawa zdobywania. Wstąpienie tej siły kolosalnej na arenę polityczną zmieniło nagle szachownicę świata. Wprawdzie dotąd Ameryka stanowiła państwo zupełnie na kuli ziemskiej jodrębne, ale teraz młoda republika Stanów Zjednoczonych przyłączyła się do grona starych państw europejskich, współzawodniczących z sobą i zazdrosnych jedno o drugie. Odtąd Europa nie będzie już sędzią najwyższym przeznaczeń ludów. Z drugiej strony Atlantyku, porażka Hiszpanji stworzyła straszliwą potęgę zaczepną, która nie zechce już pozostać obojętną wobec swych współzawodników terytorjalnych w innych państwach. Ameryka od tego czasu zaczęła się również wtrącać do palącej sprawy Dalekiego Wschodu, porzuciwszy dotychczasową swą rolę państwa bezinteresownego.

Z jednego jeszcze względu wojna hiszpańsko-amerykańska dała wyniki poważne. Trzydzieści parę lat temu genjusz twórczy Dupuy de Lôme'a zbudował pierwszy pancernik. Wydano od tego czasu miljardy na budowę okrętów wojennych, lecz dotąd żaden wypadek nie dostarczył sposobności do sprawdzenia wartości wojennej parowców współczesnych. Po czyjej stronie będzie przewaga w walce morskiej? Czy odniosą zwycięstwo okręty małe lub wcale nie osłonięte, a szybkie i rozporządzające artylerią szybkostrzelną, czy też opancerzone ciężkie olbrzymy, nieczułe na uderzenia i strzelające wolno z dział ciężkiego kalibru?

Bitwy pod Cavite i Santjago przekonały, że nie tyle osłona, ile sprawność wojskowa przeważa szalę zwycięstwa. Im bardziej urządzenia są wydoskonalone, tem ważniejsza jest obeznanie się z niemi ludzi; zwycięstwo odnosić będą zawsze załogi najlepiej wyćwiczone, któremi dowodzą oficerowie najbardziej „morscy“. Udoskonalenie oręża nie unicestwiło bynajmniej potrzeby odwagi osobistej, która pozostała żywiołem koniecznym tam, gdzie idzie o palmę zwycięstwa. Przy odwadze jednak dziś bardziej niż kiedykol-

wiek potrzebna jest przezorność i umiejętne wyzyskanie warunków.

Nikt nie zaprzeczy, że na podziw zasługują szlachetni marynarze hiszpańcy, którzy, ulegając sile przeważającej, tonęli przy okrzykach „Viva Espana!” (Niech żyje Hiszpanja). Lecz o ile pożyteczniejszym dla sprawy, jakiej bronił, okazał się porucznik amerykański Hobson, który przy pomocy siedmiu towarzyszków dokonał odważnego przedsięwzięcia. W dziejach wojen morskich wypadek ten zapisze się jako jeden z przykładów najwybitniejszych śmiałości i przytomności umysłu w chwilach niebezpieczeństwa. Czyn podobny wywołał oczywiście zachwyt niemały u Amerykanów, nader wrażliwych w ogólności.

Zanim podamy opis tego wysiłku, podług opowiadania samego bohatera, przypomnimy pokrótce okoliczności, jakie towarzyszyły temu faktowi.

Gdy się rozpoczęły kroki nieprzyjacielskie, eskadra amerykańska wyruszyła naprzód, obległa Hawanę, bombardowała San Juan de Puerto Rico, przepływała we wszystkich kierunkach morze Antylskie, poszukując floty admirała Cervery. Nigdzie jednak na całym widnokreśgu, oblanym słońcem morza zwrotnikowego, nie było widać chmurki dymu, zwiastującej zbliżenie się pancerników hiszpańskich. Niespodziewanie, d. 26 maja, admirał Sampson dowiaduje się, że przeciwnikowi udało się schronić do Santjago de Cuba.

Teraz przedewszystkiem rzeczą ważną dla Amerykanów jest opanowanie morza poblizkiego. Bez tego niepodobna będzie wyprawić armji do Kuby i na ląd jej wysadzić. Eskadra hiszpańska była teraz zamknięta w Santjago. Pomimo jednak tej ścisłej blokady, mogą Hiszpanie ją przełamać, a korzystając z nocy ciemnej lub burzy, wyjechać na szersze wody z dotychczasowego obleżenia. Chcąc zmusić do bezczynności flotę Cervery, admirał Sampson obmyśla projekt śmiały, wedle którego należy zatkać wązki kanał, prowadzący do przystani, jaka służy okrętom Hiszpanów za schronienie.

Spojrzymy pa mapkę geograficzną okolicy, a zobaczymy przed miastem jezioro wielkie, łączące się z morzem je-

dynie za pomocą wązkiego przesmyka. Jest to najwęższa ze wszystkich cieśnin morskich. W przesmyku kubańskim kanał przystępny dla statków wojennych ma tylko około stu metrów szerokości. Jeżeli się tutaj zatopi wszerek „*Merrimac*,” jeden z dużych parowców, naładowany węglem, a towarzyszący eskadrze amerykańskiej, to żaden Hiszpan ztąd się nie wydostanie. W ten sposób flota admirała Cervery, zostanie „zakorkowana”, jak się wyrażano wtedy powszechnie.

Bardzo prawdopodobnie wszyscy uczestnicy tej zuchwałej wyprawy, stracą życie. Jeżeli bowiem miną ich kule działowe i kartacze, jakie Hiszpanie sypną na statek, to niechybnie zginą, gdy on utonie. Mniejsza jednak o życie, gdy idzie o dobro ogółu. Porucznik Richmond Pearson Hobson prosił, jak o łaskę, admirała, aby powierzył zaszczyt kierowania tą wyprawą.

Na dzień przed dokonaniem wielkiego czynu, Hobson, jak prawdziwy jankes, był zupełnie obojętny, podziwiając cudowny krajobraz pobraża kubańskiego.

„Widok tutaj—pisze—wspaniały. W prostej linii nad morzem wznosi się ściana gór okazałych, najeżona wyskokami, [pocięta urwistemi zagłębieniami. Roślinność, jaka tu wyrasta, czyni tę ziemię nadeń bogatą w cudowne obrazy.

„Nigdzie powiewu wiatru; kłęby chmur rzucają cień na szczyty górskie. W blasku jakby pożaru, słońce zachodzi, otoczone aureolą purpurową, a woda nieruchoma, jak lód, odbija, jakby tęcza, wszelkie barwy.

„To morze, ten brzeg, te chmury, wszystko to jest takie dziwne, nieziemskie, tajemnicze; nawet zwykłe hałasy na wybrzeżu mają szczególne dźwięki; dzwon, co wybija kwadransę, rozlega się głucho jakby w zamknięciu, a modlitwa wieczorna brzmi niezwykłą żarliwością. Gotuje się tragedia; nawet natura obojętna i nieczuła na czynności ludzkie, zdaje się to odczuć... Marzę na pokładzie.

„Kula księżycy wschodzi jasna i czysta. Zbiegiem szczególnym, wszystkie poważne zdarzenia w swem życiu miałem podczas pełni księżycy.

„Dnia 1-go czerwca.—Z samego rana jesteśmy w obliczu Santjago. Tutaj znajduje się eskadra komandora Schleya: *Brooklyn, Massachusetts*, z boku *Merrimac*, zaopatrujący ją w potrzebną ilość węgla. Po prawej stronie widać ciemną sylwetkę Morro, dominującą nad wązkim wjazdem do portu, a w oddali rysują się ostro góry, leżące za miastem. Po nad pierwszymi skałami sterczą maszty wojenne *Vizcay* oraz *Cristobal Colona*.



Porucznik R. P. Hobson, dowódca „*Merrimaca*” i główny bohater wojny kubańskiej.

„W chwili, 'gdy nasze okręty przechodzą obok przemyku, pada strzał z daleka, prawdopodobnie z *Vizcay*. Nie dosięga nas; ale ten wystrzał to jakby ostrzeżenie, a zarazem znak gniewu.“

Zanim się rozpocznie przygotowania do przedsięwzięcia, trzeba przedewszystkiem upewnić się, czy dokonanie jego jest

możebnem, a przeto należało zapoznać się z wjazdem do przesmyku oraz z położeniem baterji hiszpańskich, broniących doń przystępu.

Hobson w celu obejrzenia tych ważnych punktów, nie wahał się puścić w łodzi parowej, zbliżając na odległość strzału od brzegu. „Upamiętniłem w myśli wygląd miejscowości—pisze—i podjeżdżałem coraz bliżej lądu, gdy nagle kula świsnęła mi nad uchem.“

Hiszpanie wszczęli hałas i strzelaninę; posuwać się jeszcze dalej byłoby niedorzecznością.

Hobson, obeznawszy się z wejściem do Santjago, wraca niezwłocznie na pokład „Merrimaca“ i urządza go w ten sposób, aby był zdatny do spełnienia swej roli.

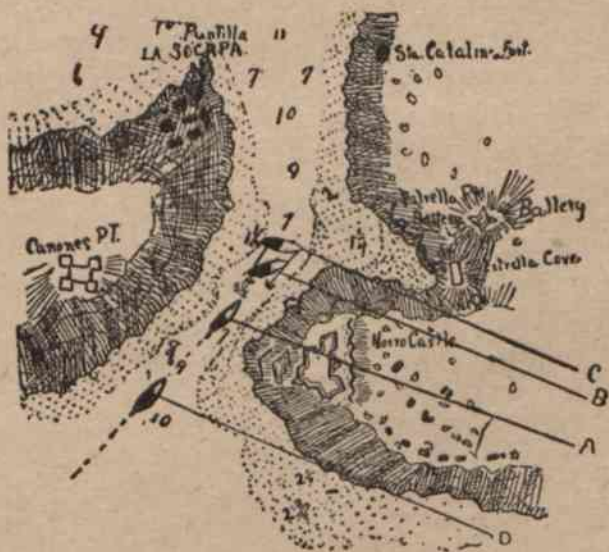
Wedle zamiaru powziętego, pogrążenie „Merrimaca“ miało nastąpić przy pomocy wybuchu naboju, na zewnątrz ustawionych, poniżej linii zanurzenia. Miny odpowiednie zapalą się jednocześnie od prądu elektrycznego. Po upływie półtorej minuty, jeżeli nabój żaden nie zawiedzie, statek zatonie 1/2 zatka kanał Santjago, zanim dzielni zaś marynarze amerykańscy zdążą umknąć.

Złatwiwszy się z temi rozporządzeniami, trzeba było zająć się wyborem osób do załogi. Podniecony taką śmiałością, cały personel eskadry ubiegał się o zaszczyt brania udziału w tej ryzykownej wyprawie. Gdy tylko statek admirałski wywiesił odezwę: „Poszukuje się ochotników,“ wnet setki osób się zapisały. Gdy oficer wszedł na pokład pancernika, cała załoga cisnęła się do niego, prosząc o przyjęcie do pomocy. Jeden przypominał, że był jego wychowancem w Akademji marynarskiej; inny, że już służył pod jego zwierzchnictwem, trzeci powoływał się na stosunki towarzyskie. Majtkowie niemniej starali się pozyskać współudział; jeden wskazywał na swe zasługi służbowe, drugi — na swą siłę fizyczną, trzeci — na uzdolnienie w rzucaniu torped.

Hobson, troszcząc się o zaoszczędzenie życia swych ludzi, zmniejszył liczbę osób załogi do ścisłej potrzeby i wziął z sobą tylko sześciu towarzyszy: Phillipa, Helly'ego, Deignana, wszystkich trzech z załogi „Merrimaca“ jako obeznanych ze statkiem, a przeto mogących okazać się wielce

pożytecznymi pomocnikami, oraz trzech podoficerów z „New-Yorku“: Mullena, Montague'a i Charette'a.

„Było już dobrze po wschodzie słońca, gdym się udał na pokład „Merrimac'a,“ żeby czuwać i przyspieszyć przygotowania. Panował tam nieład nie do opisania. Dano rozkaz rozbrojenia okrętu, a przeznaczeni do tego żołnierze z rozmaitych parowców eskadry pośpiesznie się zajęli tą czynnością: jedni zdejmowali liny z żagli, inni pozabierali szalupy.



Plan cieśniny Santjago, w której „zakorkowano“ flotę hiszpańską.

Litery A, B, C, i D wskazują pozycję „Merrimaca“; C jest miejsce zatopienia.

Jednocześnie załoga parowca zajęła się uprzątnięciem pakunków i żywności, wypróżniając spiżarnię i magazyny.

„Ażebym zapobiedz wyrzuceniu „Merrimaca“ na brzeg przez prądy przyływu trzeba było przymocować go do dna przesmyku, zatem zarzucić dwie kotwice w chwili wybuchu.

„Pomimo trudności tylu przygotowań w czasie tak krótkim, udało nam się ułożyć łańcuchy, urządzić miny, połączenia, tak iż statek mógł być zatopiony lada chwila.“

O w pół do pierwszej w nocy „Merrimac“ zwrócił się

do Santjago, konwojowany przez statek „New-York“, a po bokach przez dwa mniejsze parowce.

Nadchodzi wreszcie chwila działania. Księżyc zachodzi chmurą; nie można rozróżnić lądu. Widnokrąg zaciąga się coraz bardziej, pogoda widać będzie niedobra. O godzinie trzeciej nad ranem admirał Sampson odwiedza „Merrimaca“ aby zbadać środki, jakie przedsięwzięto, celem wysadzenia statku, a zarazem ocalenia ludzi po wybuchu. W krótkich słowach życzył powodzenia tym dzielnym ludziom i polecił rozpocząć niebezpieczną czynność.

„Nareszcie! — woła Hobson, a za nim towarzysze. Jest teraz około czwartej; zorza poranna ukaże się niezadługo. Trzeba uważać pilnie, aby chwili nie stracić bezużytecznie. Maszyna się porusza; niebawem puszcza się z całą szybkością.

„Łódź ratunkowa, przyczepiona za okrętem a uniesiona prądem, grozi utonięciem; żeby ją ratować, trzebaby było zwolnić biegu; o tem jednak ani myślę. Nie czas teraz troszczyć się o życie.

„Ludzie zdejmują ubranie, pozostając tylko w bieliźnie, zarzucają na siebie pasy ratunkowe, przywiązują rewolwery, stają na stanowisku, trzymając sznury, kończące się na pomostku. Rozkazy mam przesyłać przy pomocy umówionego pukania.

„Eskadra znika nam z oczu, a sylwetka Morra rysuje się bardzo wyraźnie. Kilka minut jeszcze, a pojedziemy w kierunku zachodnim, potem zmienimy drogę, by wjechać do przesmyku.

„Lekka barwa różowa oświetla niebo na wschodzie; to brzask. Nie trzeba się więc obawiać, że nam przeszkadzać będzie ciemność.

„W tem przybywa torpedysta i przynosi rozkaz cofnięcia się. Nie chciałbym za nic w świecie być nieposłuszny, ale może naczelny komendant rozmyśli się jeszcze? Jestem pewny zwycięstwa w obecnych warunkach. Torpedysta wraca się wnet i zanosi admirałowi mą prośbę. Jeżeli się na nią zgodzi, to na znak niechaj wywiesi cztery latarnie czerwone.“

Po kilku minutach okazuje się nowy zwiastun... bez latarni. Rozkaz cofania się trwa w sile. „Merrimac“ musi skrócić z drogi i połączyć się z eskadrą.

Admirał Sampson, widząc, że zorza rozjaśniła już niebo, obawiał się, iż Hiszpanie spostrzegą za wcześnie „Merrimaca“, a wtedy ogień z ich licznych baterji może go zato-



Porucznik Hobson ogląda wjazd do zatoki Santiago.

pić, zanim dobrze do cieśniny. W takich warunkach lepiej będzie poczekać i odłożyć dokonanie czynu do nocy następnej.

Na wiadomość o nowym rozkazie załogę ogarnęło wielkie zniechęcenie. Wszyscy ostupieli, jak ogłuszeni uderzeniem obucha, poczem dało się słyszeć szemranie.

Hobson sam pogodził się z myślą i polecił ludziom udać się na spoczynek. Marynarze jednak, którzy od ośmnastu godzin pracowali, nie mając chwili wolnej na jedzenie, w ciągłym będąc podnieceniu gorączkowym, mieli zanadto nerwy naprężone, aby mogli usnąć.

„Merrimac“ połączył się z „New-Yorkiem“, a załoga cierpliwie oczekiwała chwili, gdy pozbędą się tej męczącej warty. Nagle statek hiszpański usiłuje przełamać blokadę; parowiec admirałski daje ognia, a tymczasem waleczni towarzysze Hobsona stoją nieruchomo na stanowisku.

Słońce dopieka. W powietrzu nie czuć wietrzyka, a po całym morzu rozpościera się blask olśniewający. Męcząca to pogoda zwłaszcza dla ludzi już zmordowanych. Na pomoście niema przytem ani okruszyny chleba, żeby się posilić. Majtkowie „Merrimaca“, rozstając się ze swym okrętem, unieśli z sobą całą żywność!

Po południu jeden z ludzi, Mullen, traci siły zupełnie, mimo to nie chce porzucić stanowiska. Dopiero na wyraźny rozkaz komendanta wraca na pokład. Zastępuje go natychmiast inny, zwany Murphy, z Jowy. Cały dzień przechodzi w gorączce rozpaczliwego oczekiwania.

Gdy nadszedł wieczór, admirał przywołuje Hobsona. Na tej naradzie postanowiono, że działanie rozpocznie się nadchodzącej nocy, w ostatnich godzinach księżycowych. Jeżeli o tej chwili światło będzie niewystarczające na rozpoznanie wjazdu do cieśniny, to się poczeka na brzask poranku. Tym razem komendant naczelny przyrzeka Hobsonowi, że go nie odwoła.

O szóstej wieczór waleczni marynarze, wypocząwszy na pokładzie „New-Yorku“, zebrali się znów na „Merrimacu“. Różne statki eskadry zbliżają się z brzegu, by zająć swe pozycje nocne, tworząc łuk koła po stronie przesmyku, na odległość 4 mil od Morra.

Porucznik, mając około siebie ludzi rzeźwych i wypoczętych, rozkazuje im wypocząć jeszcze do chwili odjazdu, a chcąc dać przykład zachęcający, udaje się sam do kajuty... Lecz w chwili podobnej, w godzinie, gdy się poświęca życie, ma się je stracić, czyż podobna spać spokojnie! Czło-

wiek najbardziej zahartowany i obojętny doznaje wtedy niepokoju, którego nie może stłumić. A zresztą, czy nie trzeba raczej ostatnich godzin zużytkować na zapewnienie się,



Na pokładzie „Merrimacka” pauzuje nielud do nieopisania.

że wszelkie urządzenia działają prawidłowo, i na dojrzenie wszystkich przygotowań?

Hobson uczynił raz jeszcze przegląd aparatów—i nie-

darmo. Trzy z nabojów, których wybuch ma spowodować pogrążenie statku, okazują się niezdatne do użytku, z powodu wady w przewodnikach elektrycznych. Postanawia się przeto, że te torpedy zapali się oddzielnie i po kolei.

Po pierwszym haśle, Murphy zapuści kotwicę na przedzie i podpali nabój № 1; Charette uczyni to przy № 2 i 3; Deignan podniesie zaporę i zajmie się № 4, a Klausen—5-ty. Kelly i Philipps podrzuca ogień pod inne naboje, podczas gdy Montague spuści kotwicę tylną. Gdy praca będzie skończona, wszyscy udadzą się w kierunku przygotowanej na pomoście tratwy i łodzi, które trzeba zaraz spuścić z pokładu.

Chwila działania się zbliża. Ustąpmy znów słowa walcicznemu Hobsonowi.

„Morro jest widoczne w odległości pięciu mil. Ochotnik Powell, który dowodzi pozostałymi na „Merrimac“ marynarzami, zwołuje swoich ludzi. Wsadziwszy ich na statek, najbliżej stojący, każe im zbliżyć się do cieśniny, gdzie będą gotowi do niesienia pomocy po pogrążeniu statku. Umawiamy się, że oni będą po stronie wschodniej, czując uważnie, czy nie spostrzegą łódki, lub pływaków, i że będą szukali w grotach, położonych przy brzegu Morra, gdzie ludzie nasi się zejdu. Gdy ustanowiono zarządzenia, szalupa parowa Powella odbiła od brzegu, zostawiając nas własnemu losowi. Więc naprzód.“

Dramat się zaczyna.

„Merrimac“ jest już oddalony tylko o 450 metrów od wejścia do przesmyku, prowadzącego do zatoki Santjago. Księżyc jasno oświetla krajobraz, a przy tym blasku czarna bryła fortecy Morro, cała jakby srebrem oblana, podobną jest do potwora, przyczajonego u wejścia do przesmyku. Z drugiej strony cieśniny widać również główne zarysy nadbrzeża; można nawet rozpoznać pomieszczenie baterji. W takich warunkach bardzo łatwo dotrzeć do konału, bez obawy zbłądzenia.

Cobądź się teraz stanie, okręt musi wtargnąć do przesmyku. Jeżeli w ostatniej chwili ulegnie poważnemu uszkodzeniu, to nic złego; w rozpędzie pierwotnego biegu i przy

pomocy wzrastającego przepływu wody, posunie się naprzód kilka minut jeszcze, aż wreszcie utonie u stóp fortecy Morro, zatykając zupełnie wyjście z przystani, w której utknęła eskadra admirała Cervery.

Raptem, po lewej stronie, błysnęło światło tuż nad powierzchnią wody. Szalupa hiszpańska, stojąca na warcie, ukryta pod cieniem wybrzeża, spostrzegła „Merrimaca“ i przywitała go strzałem armatnim. Forty odezwały się na alarm i skierowały gwałtowną kanonadę na statek amerykański.

— Baterje zachodnie rozpoczęły ogień,—uwiadamia Charette, szyldwach na pomoście „Merrimaca“.

— Nie troszczyć się o to—rzekł flegmatycznie Hobson.

„Merrimac“ był teraz tak blisko skał Morro, że prawie się o nie ocierał. Aby więc wtargnąć do kanału, trzeba było nie tracić przytomności; kapitan zwłaszcza, jako wytrawny marynarz, nie powinien dać się zbić z tropu. Najmniejsza pomyłka w oceanie odległości lub wykonania rozkazów, a statek rozbije się natychmiast o ławy skalne po lewej stronie lub o brzegi urwiste po prawej, zanim dosięgnie celu.

— Ostrożnie przy lewym boku!

— Na prawo teraz!

— Ściągnąć liny!

Ze wszystkich baterji, broniących cieśniny, rozlega się teraz grzmot za grzmotem. Działa szybkostrzelne bez przestanku wyrzucają grad pocisków na „Merrimaca“; kule i granaty padają na pokład, pękając i rozpryskując się we wszystkich kierunkach.

Kapitan wytrzymuje spokojnie ogień, a sternik tak samo spełnia rozkazy obojętnie, jakby to były regaty dla rozrywki.

Nareszcie minęli Morro. Nadeszła chwila rozstrzygająca.

— Do maszyny! otworzyć wszystkie zbiorniki pary!

Po tym rozkazie, Hobson kieruje tak okrętem, by go ustawić w przejściu kanałowem poprzecznie.

— Cały ster na lewo!

W oka mgnieniu gtało się zadość rozkazowi. Deignan obrócił koło sterowe.

— Cały ster na lewo!—woła komendant na cały głos—widząc, że parowiec nie idzie w żądanym kierunku.

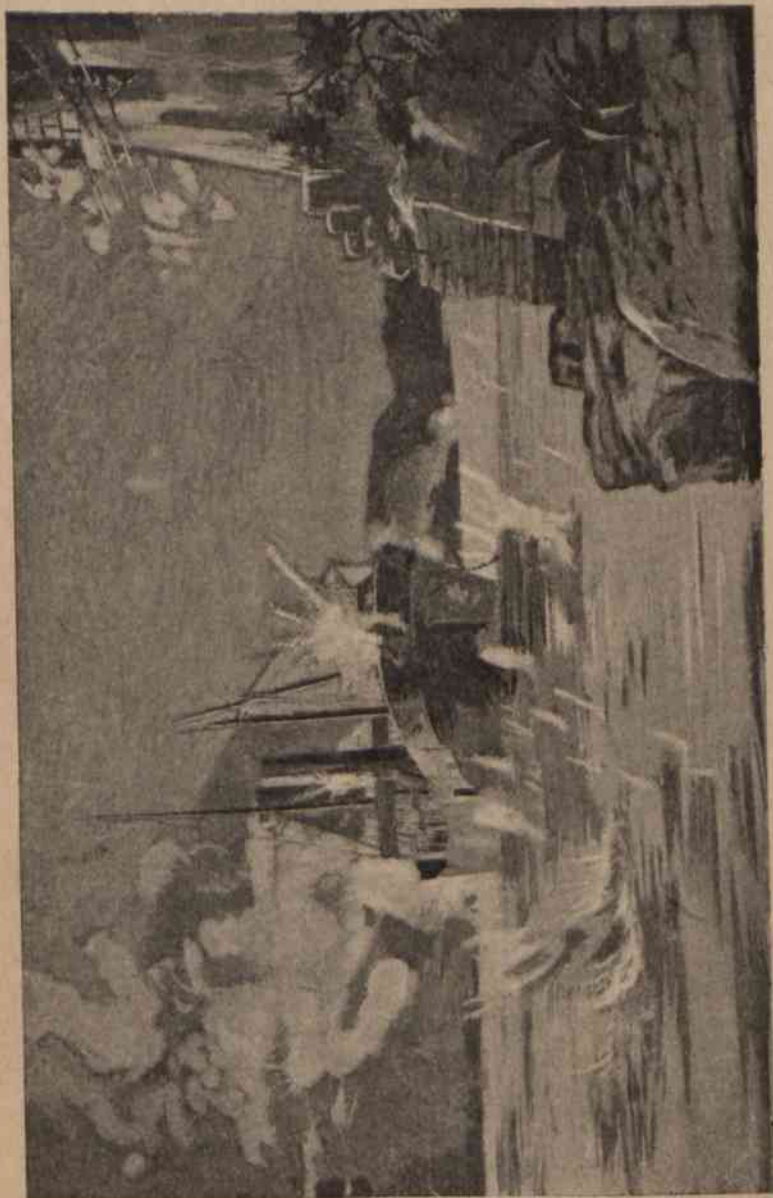
Ale „Merrimac“ już nie jest posłuszny! Okręt idzie wciąż na prawo, dążąc ku zagłębieniu zatoki. Pociski hiszpańskie zniszczyły ster! Parowiec jest teraz zależny od kierunku, jaki mu nada wzrastający przypływ wody. Czyżby tyle wysiłków i odwagi miało iść na marne?

Hobson jest w rozpacz, widząc to niepowodzenie, na które niema rady żadnej. Rzutki jednak i przytomny amerykańkanin chwyta się jeszcze środka ostatecznego. Jeżeli kotwica wytrzyma, to zamiar może się jeszcze urzeczywistnić: statek utonie w samym środku przesmyku. Komendant rozkazuje tedy zarzucić kotwicę przednią, a potem zapalić torpedy.

Wstrząśnienie okropne, huk potężny i błysk oślepiający świadczy, że spełniono te rozkazy. Nabój № 1 wybuchnął. Lecz po nim żaden więcej. Cóż robią ludzie, do tego wyznaczeni? Na co czekają? Czemu nie podpalają pozostałych nabołów?

Przyszło nowe nieszczęście. Kartacz przeciął zarazem linę elektryczną; ze wszystkich dziewięciu torped, można było jedną tylko podpalić. Statek, który miało zdruzgotać dziesięć nabołów na całej rozległości, jak to przypuszczał pierwotny plan działania,—ma zaledwie dwa wyłomy. Pograżenie więc statku nastąpić może bardzo wolno. Ale niech już tam! Jeżeli kotwica tylna zahaczyła silnie o dno morza, to zatrzyma statek na miejscu. Niestety! Liny, przytrzymujące tę kotwicę, przecięli także Hiszpanie swemi granatami. Ona już dawno wpadła do wody, a „Merrimac“, swobodnie teraz się poruszający, wpływa coraz dalej do kanału, pędzony przez prąd wody. Na nic się nie zdało bohaterstwo Hobsona i jego towarzyszków!

Spełniwszy swe posłannictwo, ludzie zebrali się wokół łódki i tratwy, smutni i zniechęceni. Nagle huk straszliwy wstrząsnął statkiem. W tej chwili ogień artylerji nieprzyjacielskiej zdwaja siłę. Gromadka Amerykanów wystawiona obecnie na niebezpieczeństwo tego gradu pocisków, uniknęła za to pewnej śmierci, gdyż na okręcie zabiły ich wy-



Wszystkie baterje, broniące cisniwy, zionęły na „Merrimaacka” gradem pocisków.

buch kotłów. Granat wpadł w maszynarnię statku i spowodował pęknięcie kotła; strumienie pary syczącej buchnęły przez wszystkie otwory pomostu.

Okropny ogień działowy trwał około dziesięciu minut.

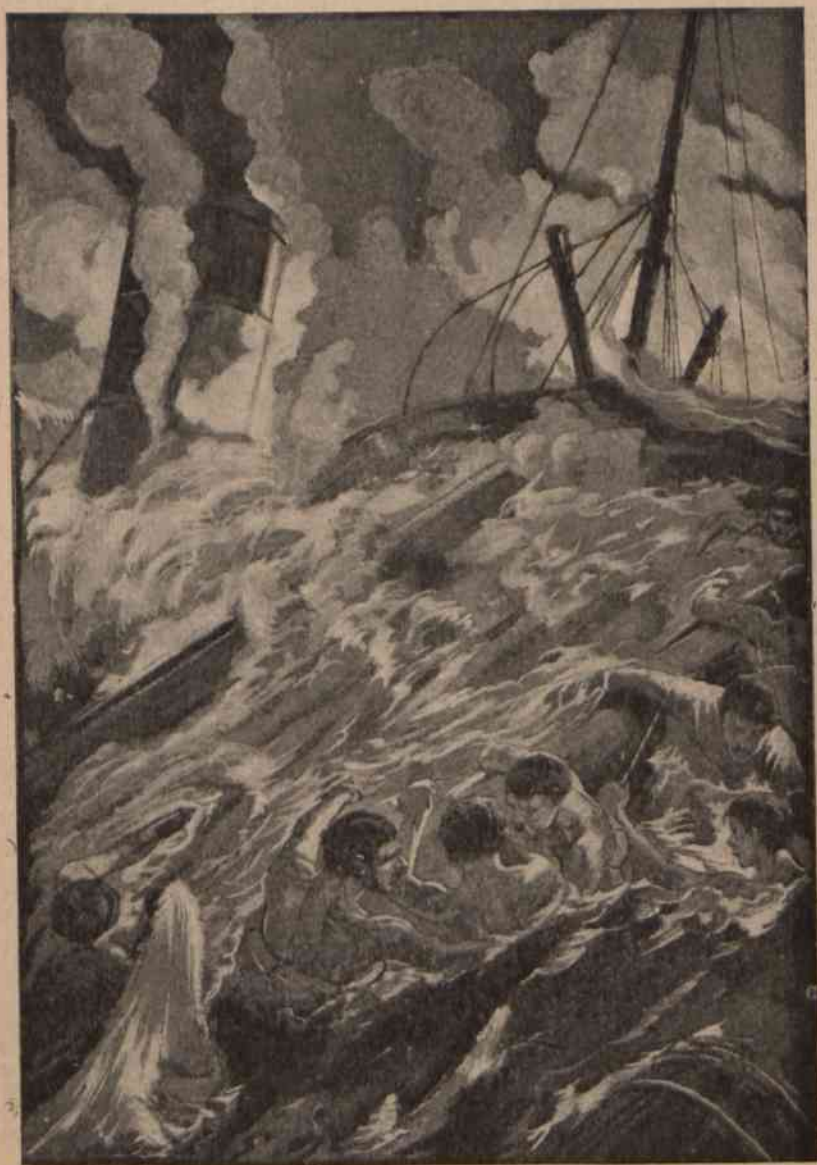
Hobson pomimo całej grozy położenia, myślał jedynie o wyniku swego działania. Pod gradem kartaczów wystawiał co chwila głowę z ukrycia, śledząc ruchy statku. Niestety! „Merrimac“, aczkolwiek podziurawiony, jak sito, szedł wciąż naprzód, minął Estrellę i sunął do przystani wewnętrznej. Widząc to, waleczny oficer poczuł, że straci przytomność ze zmartwienia. Tyle wysiłków, poświęcenie życia—wszystko na nic!..

Wnet jednak nowe miny podmorskie uniosły statek, a torpedy, puszczane przez dwie łodzie hiszpańskie, wybuchły po bokach statku. Hiszpanie sami dokonali dzieła zatopienia. „Merrimac“ zgruchotany, przechylił się na bok. Przednia część statku zagłębiała się powoli, podczas gdy tylna, na chwilę uniesiona do góry, znikła potrochu w wirze spienionej wody. Amerykanie, zostali wyrzuceni na rozhukane morze, między masy baryłek, desek, szczątków wszelakiego rodzaju, które ich potraçały i uderzały.

Okropne było to uczucie pochłaniania przez wodę! „Porwał mnie bałwan ogromny — opowiada Hobson — i cisnął na bok statku. Uderzenie było tak silne, że wygięto całe ciało me ku dołowi; jednocześnie nogi moje jakby coś gwałtownie w tył ciągnęło; deska, której się uczepiłem robiła wrażenie takie, jakby się otwierała i wlokła w otchłań. Ruchem instyktownym u takiego jak ja gracza w kręgle, uniosłem kolana, przez chwilę zdawało mi się, że nie zdołam wyrwać się tej sile chłonej, która mię ciągnie do głębi morza.“

Podczas pogrążania się „Merrimaca“, na powierzchni wody pozostała tylko tratwa; rozbitki walczący z falami skierowali się do tej deski zbawienia.

Znaleźli się wkrótce na niej lub koło niej wszyscy, zdrowi i cali; lecz obecne ich położenie jest niemniej godne pożałowania. O jakie sto metrów od nich widać statek hiszpański; wokoło krążą strażę na łodziach. Za najmniejszym szmerem podejrzanym, nieprzyjaciel zwróci na nich uwagę



Nagle „Merrimac“ przechyliła się na bok; kadłub jego zniknął w straszliwym wirze. Amerykanie wypadają na pełne morze, pomiędzy masy szczątków, które ich potracają i uderzają.

i wystrzela co do nogi. Nakazano przeto rozbitkom ciszę zupełną, zabraniając im wdrapywania się na tratwę. Ci, co byli już na niej, trzymali tamtych za ręce. W takiej pozycji musieli oczekiwać światła dziennego; przed wschodem słońca oficerowie przyjdą niewątpliwie tutaj na wywiady; jedyną nadzieją ratunku jest dostanie się na łódkę jakąkolwiek.

Jakżeż długiem się wydawało oczekiwanie tym rozbitkom dobrowolnym! Członki drętwiały od zimnej wody; chcąc je znowu uruchomić, Hobson poruszał nogami i ciałem; radził swym towarzyszom, by to samo czynili. Pomimo tych środków zaradczych, zimno dokuczało coraz dotkliwiej, dreszcze okropne wstrząsały wszystkimi... W tej pozycji marynarze wytrwali całą godzinę.

Dniało wreszcie. Słońce jasne i wesołe zaróżowiło szczyty i ubarwia grzbiety Morra i Socapy... Krzyżowiec hiszpański podnosi kotwicę, chcąc wpłynąć do wnętrza przystani... Po kilku chwilach ukazuje się szalupa parowa, której część tylną pokrywa całkowicie namiot. Jest to widocznie łódź rekonansowa oficerów, jakiej Hobson oczekuje z wielką niecierpliwością.

„Szalupa oddała się, jakby chcąc okrążyć nasze szczątki rozbite; nikt więc z pokładu okrętu nas nie spostrzegł—opowiada waleczny Amerykanin. Postanawiam przywołać straż niezadługo wychodzi z namiotu część strzelców załogi, staje na przedzie statku, biorąc nas na cel. Na ten widok rozlega się krzyk mych ludzi, nie z trwogi, lecz oburzenia. Czyżby chcieli nas zabić, jak te psy?”

— Czy jest tam na pokładzie—wołam z całej siły—oficer, do którego mógłbym się udać?

„W tej chwili rozsuwa się zasłona namiotu i oficer rozkazuje strzelcom złożyć broń. Podpływam niezwłocznie ku szalupie i przy pomocy tego oficera wdrapują się na łódź. Był to admirał Cervera we własnej osobie, naczelny dowódca eskadry hiszpańskiej. Kładę przed nim rewolwer, ładownicę, lornetkę morską, pas ratunkowo, poczem poddaje mi się wraz z siedmiu towarzyszami w charakterze jeńców.

„Był już czas wielki, żeby nas wyratować z położenia okropnego; dwóch ludzi straciło już zupełnie siły i musiano ich wciągnąć na pokład.“

Admirał Cervera rozsądnie postąpił, biorąc z sobą pluton strzelców. Hobson opowiada, iż istotnie w razie nieobecności tej załogi, usiłowałyby wraz z towarzyszami rzucić się na majtków tej łodzi wartowniczej, związać ich i przyłączyć potem wraz ze statkiem do floty amerykańskiej, biorąc do niewoli głównego dowódcę eskadry hiszpańskiej. Czyn ten byłby pysznym odwetem ze strony Hobsona, któremu się nie udało wyprawa na „Merrimacu“.

Z przyczyny całego szeregu wypadków, których nie był w stanie przewidzieć, spełzło na niczem dokonanie czynu, jaki przygotował tak starannie i wykonał śmiało. Kotwice nie wytrzymały, „Merrimac“ miał utonąć w samej głębinie zatoki. Niewątpliwie, że szczątki statku utrudnią ruchy eskadry hiszpańskiej, lecz nie zatkają wyjścia z kanału całkowicie, jak zamierzono pierwotnie.

Gdy Amerykanie oddali broń, odprowadzono ich na pokład okrętu „Reina Mercedes“. Jako rycerzycy Kastyljczycy, oficerowie tego krzyżowca przyjęli jeńców z największą uprzejmością, nadskakiwali im i dostarczali chętnie wszystkiego, czego im było potrzeba. Podczas zanurzania się statku wszyscy doznali większego lub mniejszego uszkodzenia ciała, a jeden z nich był nawet ciężko ranny z powodu wybuchu torpedy. Ale dzielny ten majtek był tak dalece odważnym, że nie myślał o swej rani i nie skarżył się, dopóki nie był na pokładzie statku hiszpańskiego.

„Skoro walka skończona bez zdrady i zaniedbania obowiązku względem ojczyzny, przeciwnicy mogą sobie ręce podawać z całą serdecznością.“

Temi słowy szlachetnemi przyjął Hobsona na pokładzie. „Reina Mercedes“ kapitan fregaty, Acosta, który w kilka dni później padł śmiercią bohaterską, na pomoście swego okrętu.

Śmiałość planu Hobsona wprowadziła w zdumienie Hiszpanów. Wszyscy byli przekonani, że eskadra amerykańska Sampsona zamierzała szturmować cieśninę i że statek,

który wtargnął do przesmyku, był pancernikiem, potężnie uzbrojonym. Hiszpanie stracili przy kanonadzie z pięćdziesięciu ludzi, ponieważ w ciemności i popłochu obrońcy strzelali sami do swoich żołnierzy!

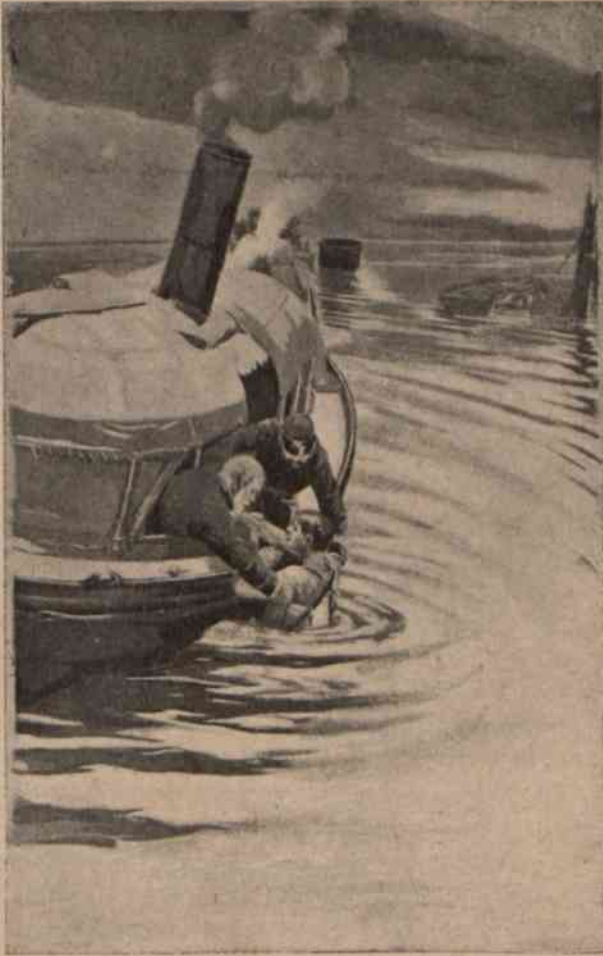
Gdy amerykańskie wojsko było zaledwie dwie godziny na pokładzie „Reina Mercedes“ nadszedł rozkaz od generała Linaresa, naczelnego komendanta twierdzy Santjago, zalecający przeprowadzić ich do fortecy Morro. Jeńcy dostawszy się do starej warowni, zczerniałej od starości, cichej a tajemniczej, — doznali wrażenia takiego, jakby żywcem weszli do krainy śmierci i zapomnienia.

Załogę „Merrimaca“ wpakowano do dusznego pokoju, Hobsona zaś zamknięto w celce czarnej i brudnej, pełnej robactwa. Była to ciemna piwnica, gdzie żałobny napis „*Muerte*“ służył za świadectwo domyślne, iż ona była niedawno miejscem, krwawego dramatu. Nie mając względów żadnych dla odwagi, jaką okazali Amerykanie, generał Linares chciał, zdaje się, aby odpokutowali tutaj zuchwałość swego czynu. Chciał nawet siłą wymusić na jeńcach zdradzenie planów działania. Ale majtkowie „Merrimaca“ byli nieustraszeni i odmówili odpowiedzi.

Hiszpanie są zbyt czuli na punkcie honoru, aby ich nie oburzyło podobne postępowanie generała-dowódcy. To też wbrew jego zachowaniu się, oficerowie załogi i eskadry okazywali Hobsonowi dowody najżywszego współczucia, protestując niejako w ten sposób przeciw czynowi szefa. Admirał Cervera odwiedził osobiście oficera amerykańskiego, a każdego dnia smutna cela Morra była świadkiem licznych wizyt oficerów różnego wieku i wszelakiej rangi, którzy przybyli uścisnąć rękę bohatera „Merrimaca“.

Z umysłu zamknięto jeńców w tej części fortecy, która była najbardziej wystawiona na ogień eskadry amerykańskiej Sampsona. Co więcej, celem zachęcania Amerykanów do strzelania w tym właśnie kierunku, Hiszpanie wywiesili wielki swój sztandar nad celą, zajętą przez Hobsona. Gdy rankiem dnia 6 czerwca flota amerykańska bombardowała forty cieśniny, położenie uwięzionych stało się szczególnie niebezpiecznym. Dzielni ci wojacy, którzy podczas spełnia-

nia swego postannictw zdołali uniknąć śmierci niemal pewnej, byli teraz narażeni na niebezpieczeństwo, grożące im od pocisków własnych przyjaciół. Mury stare fortecy Morra



Przy pomocy admirała Cervery, Hobson dostaje się do szalupy.

nie mogły stanowić ochrony przeciw kulom artylerji współczesnej; przeciwnie, cegły, z jakich składała się budowla, same stawały się niebezpiecznymi waląc się dużemi odłama-

mi od uderzeń granatów, w kąciku swej celi schronienie, które stanowiły: stół: umywalnia i waliza żelazna. Pod taką osłoną był przynajmniej zabezpieczony od kamieni odskakujących.

Tak się urządziwszy w celi, jeniec oczekiwał teraz z zimną krwią dalszych wypadków.

Od samego początku strzelaniny pocisk wielkiego kalibru wyrzucił część podpór fundamentalnych starego gmachu. Jeszcze jedno uderzenie podobne, a cała forteca runie do morza wraz ze znajdującymi się w niej więźniami. W takim położeniu wstrząsającym, Hobson zachował krew zimną i całkowite panowanie nad sobą. Ten potomek rasy anglosaskiej zdawał się nie mieć nerwów.

Dla zabicia czasu bawił się spostrzeżeniami nad kierunkiem strzałów, sądząc z natężenia huku wystrzałów i siły uderzeń pocisków.

Nagle ataki artylerji poczynają słabnąć. w Morro uderzają już tylko pojedyncze granaty. Hobson przysłuchuje się uważnie teraz, gdy zaszła zmiana. Niema wątpliwości: flota kieruje obecnie ogień w inną stronę. Jeniec włazi prędko na tapczan, by przez wązkie okno okratowane swej celki śledzić dalszy przebieg walki. Podejrzewając, że jeńcy są właśnie uwięzieni w Morro, Amerykanie umyślnie zaniechali tu ognia szybko, kierując cały ogień na baterje przy wejściu. Z jaką radością jeniec podziwiał celność strzałów eskadry amerykańskiej i skutki dział wielkiego kalibru, widoczne na budynkach! Lecz równie wielkie miał zmartwienie, stwierdzając, że artylerja hiszpańska nie doznaje uszkodzeń żadnych! Niekiedy tylko działa pokrywał gruz ze zwalisk i kawały ziemi, jakie granaty unosiły z sobą; ani razu jednak nie doznały takiego uszkodzenia, żeby były niezdatne do użycia. Bombardowanie fortów przez flotę jest jedynie wtedy skuteczne, gdy okręty podchodzą tak blisko, że mogą posiłkować się działami szybkostrzelnymi.

Opatrzność chciała, żeby załoga „Merrimaca“ wyszła zdrowa i cała z tego nowego niebezpieczeństwa. Było to ostatnie doświadczenie, jakie znosili dzielni wojacy. Naza jutrz przeprowadzono ich do Santjaga i umieszczono w ko-

szarach. Nowe miejsce pobytu odznaczało się względniemi wygodami, a jednak jakże im dni niewoli wydały się smutnemi i długimi! Ta przymusowa bezczynność, nieznośna dla ludzi pracy, osłabiała ich siły. To też niemłą radością dowiezieli się rankiem dnia 26 czerwca, że wojsko amerykańskie wylądowało i wkracza do Santjaga! Od tej chwili wzruszenie przejmujące ogarnęło więźniów, wzruszenie zbliżającego się oswobodzenia po zburzeniu zamknięcia. Z dnia na dzień głos dział stał się donośniejszym; z chwilą każdą bliższym jest szturm ostateczny. Generał Linares nie wiedząc, co począć teraz z jeńcami, zgodził się na zamianę zamianę załogi „Merrimaca“ na jeńców, zdobytych przez Amerykanów.

Armja amerykańska urządziła Hobsonowi i jego towarzyszom przyjęcie tryumfalne. Generałowie, oficerowie, żołnierze przybiegli celem powitania tych bohaterskich marynarzy i tłoczyli się do nich, by uścisnąć ich rękę. To przywitanie było tylko wstępem do gorących owacji, jakie patrijotyczni jankesi wyprawili na cześć Hobsona. Wszystkie miasta Stanów Zjednoczonych ubiegały się po kolei o honor podejmowania i ugoszczenia Hobsona.

Ulegając porywowi powszechnemu, Amerykanki zapragnęły również wyrazić swe uwielbienie bohaterowi narodowemu i wszystkie młode i stare, ładne i brzydkie domagały się zaszczytu otrzymania... całusa od walecznego oficera. Po wszystkie czasy i we wszelkich krajnach Wenus zachowuje dla Marsa najśłodsze uśmiechy!...

Sprawy bieżące.

Z dziedziny politycznej.

Kwestja chińska niewiele od czasu, gdyśmy o niej na tem miejscu zdawali sprawozdanie, postąpiła naprzód. Naprzemian nadchodzą telegramy z Pekinu to że posłowie mocarstw porozumieli się co do warunków pokojowych, to znowu, że któryś z nich zaproteutował przeciw jakiemuś punktowi, to wreszcie, że pełnomocnikom chińskim brak pieczęci na pełnomocnictwach do rokowań pokojowych. Że każda taka okoliczność odwleka przeciągające się i tak już bardzo długo rokowania, dodawać zbyteczna.

Z początku najwięcej trudności stawiał poseł amerykański Conger, który, ulegając żądaniom prezydenta Stanów Zjednoczonych, domagał się usunięcia bezwarunkowo z preliminarjów pokojowych proponowanej przez Niemcy kary śmierci na głównych winowajców zawieruchy chińskiej. Gdy wreszcie posłowie zdołali przełamać opór Niemiec, opierających się żądaniom Stanów Zjednoczonych i gdy zdawało się, że rokowania wejdą w końcu na normalne tory, wystąpił z opozycją poseł angielski Satow. Jaki cel ma rząd angielski, powstrzymując rokowania, jaki jest cel jego opozycji, niewiadomo; to jednak jest faktem niezaprzeczonem, że opozycja ta odwlecze po raz, niewiadomo już który, tak upragnione przez świat całe przywrócenie normalnych stosunków w Chinach.

Na warunki, które dotąd przyjęły mocarstwa, zgodził się już podobno bogdychan chiński. Warunki te obejmują następujących 10 punktów:

1. Rząd chiński zgadza się na zapłacenie odszkodowania w wysokości 700 milionów taelów (tael wynosi około półtora rubla).

2. Żądany przez Niemcy pomnik dla posła Kettelera wzniesiony będzie na miejscu dokonanego morderstwa. Koszty pokryje, rozumie się, rząd chiński.

3. Do Berlina wysłane zostanie specjalne poselstwo chińskie, które w imieniu bogdychana i rządu chińskiego złoży cesarzowi Wilhelmowi wyrazy ubolewania z powodu morderstwa, dokonanego na osobie posła Kettelera.

4. Rząd chiński zgadza się na obsadzenie przez oddziały związkowe europejskie linii komunikacyjnej Pekin-Taku.

5. Rząd obowiązuje się ukarać w miarę sił i możliwości głównych winowajców ostatnich rozruchów.

6. Kandydaci do egzaminów państwowych, pochodzący z miast, w których prześladowano i mordowano chrześcijan i Europejczyków, pozbawieni zostają na przeciąg lat pięciu prawa zdawania egzaminów, a więc tem samem obejmowania posad rządowych.

7. Rząd chiński zobowiązuje się znieść dzisiejszy urząd spraw zagranicznych t. zw. czungli jamen, i utworzyć na to miejsce specjalne ministerjum dla tych spraw, na wzór europejski.

8. Dotychczasowy regulamin, służący do porozumienia się dworu chińskiego z ciałem dyplomatycznym, zreformowany ma być w tym kierunku, ażeby posłowie europejscy na przyszłość, w razie żądania, dopuszczani byli do oblicza cesarskiego.

9. Dowóz broni i amunicji do Chin zostaje bezwarunkowo wzbroniony.

10. Rząd chiński zobowiązuje się znieść wszystkie fortyfikacje zewnętrzne, a po części także i wewnętrzne, a mianowicie w Szanhaikwanie, Taku i Pekinie.

Warunki te odpowiadają w zupełności intencjom mocarstw europejskich i gdyby sprawdziło się, że się cesarz chiński na nie rzeczywiście zgadza, rokowania pokojowe mogłyby się szybko posunąć naprzód.

Ani prezydent Transwaalu, Krueger, ani waleczni Boerowie nie zwątpili, zdaje się, że wojna ich uwieńczona zostanie w końcu pomyślnym skutkiem. Krueger zawiązał do Europy i odbywszy tryumfalny pochód przez Francję, witany wszędzie z zapalem, osiąść zamierza w ofiarowanym sobie gościnnie przez jednego z bogaczy holenderskich zamku, z kąd czekać będzie, jak się rozwiną dalsze wypadki. Boerowie tymczasem rozpoczęli wojnę na nowo i to równocześnie na

całym teatrze wojny, znacząc pojawienie się swoje mniej lub więcej dla Anglików dotkliwemi zwycięztwami.

Przed niedawnym czasem świat cały zaalarmowała wieść o olbrzymiej porażce Anglików w Afryce. Wiadomość ta była tem mniej spodziewaną, że Anglja uważała się już panią rzeczpospolitych boerskich i że nowomianowany głównodowodzący, lord Kitchener zapewniał najuroczyściej, że wojna już ukończona; że armji boerskiej niema, że są tylko luźne oddziały partyzanckie, które lada dzień złożą broń.

A jednak wiadomość była prawdziwa: armja gen. Clementsa poniosła klęskę i to tak dotkliwą, że równać się chyba może z poniesioną w pierwszym jeszcze okresie wojny pod Stormberg, kiedy to gen. Gatacre utracił wszystkie działa i 600 jeńców.

O pogromie tym, który miał miejsce 12-go grudnia, nadchodzą teraz dopiero dokładniejsze szczegóły i to tem pewniejsze, że pochodzą z źródła angielskiego. Gen. Clements stał obozem u stóp gór Magalies, które były zajęte przez 4 kompanje pułku strzelców nortumberlandzkich, w sile około 600 żołnierzy i 18 oficerów. Na północnym stoku stał gen. Broadwood z całą brygadą, w odległości około 9 kilometrów od pola bitwy. Ponieważ jednak był oddzielony od Clementsa łańcuchem gór dość wysokim i trudnym do przebycia, a służba wywiadowcza Anglików jest zawsze bardzo niedostateczna, przeto w chwili walki nie ruszył się prawie z miejsca, chociaż odgłos strzałów dochodził aż do niego. Noitgedacht leży na zachód od Pretorji, niedaloko od Alivalneck, gdzie 11 lipca b. r. Boerowie pobili Anglików na głowę, zabierając im 2 działa i biorąc do niewoli szwadron jazdy i kompanję piechoty pułku Lincoln.

Dnia 12 grudnia, zupełnie niespodziewanie uderzyli Boerzy na Clementsa dwoma oddziałami, z których jednym dowodził Delarey, drugim Łukasz Meyer. O ile sądzić można z doniesień lorda Kitchenera, korpus angielski został od razu rozbity na dwie połowy. Meyer otoczył strzelców nortumberlandzkich na Magaliesberg, podczas gdy Delarey uderzył na obóz. Po kapitulacji 4 kompanji, broniących gór, Clements nie mógł utrzymać się w Noitgedacht i spiesznym marszem cofnął się ku Helksport, na drodze z Rustenburga do Kruegersdorp. W odwrocie stracił swój tabór, działa i wozy z amunicją. Gdyby Boerzy mieli więcej śmiałości w pościgu, zabraliby byli niezawodnie Clementsa wraz z całym jego korpusem do niewoli. Na wiadomość o klęsce, ściągnięto do Helksport wszystkie możliwe posiłki, a mianowi-

cie brygadę gen. Alderson z Pretorji i brygadę Frencha z Johannesburga.

Prawie jednocześnie dzielny De-Wet przebił się przez opasujący go łańcuch nieprzyjacielski i zjawił się nagle w okolicach Ladybrand i Tabanchu, gdzie nie potrzebuje się już obawiać oskrzydlenia.

Wiadomość o powodzeniach oręża boerskiego wywołała w Anglii prawdziwy popłoch. Zwłaszcza koła rządowe, które dotąd najuroczyściej zapewniały, że wojna jest już ukończona, straciły głowę. Na dobitek złego, gen. Kitchener domaga się nowych posiłków w sile co najmniej 6000 ludzi i tyłuż koni. Urząd wojny wysłał też natychmiast 900 ludzi z załogi na Malcie. Reszty dostarczyć mają Indje, ewentualnie kolonje australijskie. Prawdopodobnie więc 16 milionów funtów szterlingów, uchwalone świeżo przez parlament, nie wystarczą na zgniecenie Boerów i że trzeba się będzie uciec do nowych kredytów.

W Galicji w miesiącu bieżącym rozpoczęły się wybory do nowego parlamentu wiedeńskiego. Dotąd przeprowadzono je z 3 kurji: V-ej (powszechnej), IV-ej (gmin wiejskich) i III-ej (miast). Przebieg dotychczasowych wyborów stwierdził najdobitniej, że hasła radykalne, pod których sztandarem prowadzono agitację wyboreczą, nie przyjęły się wśród ludności galicyjskiej, co więcej, że hasła te straciły na dawnej swej mocy. Agitacja wyborecza stronnictw radykalnych skierowana była głównie ku rozbiciu Koła polskiego w parlamencie wiedeńskim. Najgorliwiej w tym kierunku pracowali socjaliści i stronnictwo t. zw. skoncentrowanych demokratów. Na nic się jednak nie zdała ich praca; wyborcy głosowaniem stwierdzili, że uznają konieczność istnienia Koła polskiego, że uznają doniosłość jego dla dobra kraju.

K. R.

Lichwa.

Mija kilka lat od czasu obostrzenia kary za lichwę, i obecnie można już poniekąd sądzić o skutkach tego prawa. Mówimy „poniekąd” — bo do ścisłego traktowania tej ważnej kwestji społeczno-ekonomicznej niema i nie może być prawie żadnych danych liczbowych, żadnej statystyki, bez której nawet najgorliwszy i najbieglejszy badacz musi zadowolić się wnioskami tylko przybliżonemi. Wielu było lichwiarzy przed wydaniem wspomnianego prawa — a ile jest ich obecnie, jak wielkie były ich obroty dawniejsze, w porównaniu z terażniejszymi, czy i o ile spadła stopa procentowa w operacjach lichwiarzy rozmaitego rodzaju i kalibru,

o wiele zmalała liczba ich ofiar-klijentów w różnych warstwach społecznych,—wszystko to pozostaje tajemnicą, niedostępną dla naszego badacza. Lecz rezygnując z tak ścisłego zgłębienia tej kwestji, a sądząc z obserwacji, z wiadomości zasiągniętych u wielu dawnych i obecnych dłużników lichwiarzy, wreszcie tegoż, co się ujawniło w sądach przy rozpatrzeniu spraw, wytoczonych lichwiarzom przez śmielszych i energiczniejszych dłużników, stanowczo twierdzimy, że omawiane prawo oddziało dobrze i skutecznie, choć w pewnej tylko mierze, dalekiej od zwalczenia tej złośliwej i uporczywej choroby społecznej. Dość znaczna ilość firm lichwiarzy profesjonalnych, i to najgrubszych, obracających znacznymi kapitałami, zniknęła zupełnie i nie przekazawszy swoich operacji, ani „klijenteli“ innym firmom. Była to zupełna likwidacja interesu, po dokonaniu której ci panowie wzięli się do innych, bardziej—lub nawet zupełnie legalnych sposobów oprocentowania swoich kapitałów. Z drugiej strony, wielu z dawnych, stałych klijentów tych lichwiarzy, po zamknięciu pewnej ilości źródeł takiego kredytu, chcąc nie chcąc musiało zaniechać zadłużania się i stosownie do tego zmienić swą gospodarkę finansową, zmniejszyć wydatki i wogóle zaprowadzić pewną równowagę w swoim budżecie.

Te skutki nowego prawa były niewątpliwie dodatnie, lecz znaczna większość lichwiarzy nie dała za wygraną; upozorowawszy swój właściwy interes jakąś inną szkołą handlową (jak na przykład sprzedawaniem różnych towarów na raty i t. p.), prowadzą oni swoje operacje lichwiarskie z tem większą śmiałością, że prawie nie ryzykują uleść karze sądowej, pewni, że oskarżenie ich przez najbardziej nawet pokrzywdzonych dłużników, dzięki nowej metodzie, jest niemal niemożliwe. Tym sposobem znowu mamy sporą ilość profesjonalnych, niby kupców lub niby rzemieślników, lecz faktycznie lichwiarzy, równie drapieżnych i bodaj czy nie jeszcze szkodliwszych, niż dawniejsi.

Nowy ten rodzaj lichwy jest w pełni postępowego rozwoju, obiecującego dalszy jej rozrost do rozmiarów, których przewidzieć niepodobna. Powodzenie jednych zachęca innych i coraz większa liczba różnych handlarzy, którzy przed tem nie praktykowali w żadnej innej profesji, oprócz swojej specjalnej kramarszczyzny, chętnie bierze się do „sprzedaży towarów na kredyt, z opłatą w ratach“ częstokroć w terminach bardzo krótkich, nie tylko miesięcznych, ale nawet dwutygodniowych i tygodniowych. Jednem słowem—złe się rozszerza i trzeba z nim walczyć. Było-by to rzeczą zupełnie ja-

łową rozwodzić się nad zwalczaniem tej lichwy za pomocą rozwoju instytucji drobnego kredytu; jest to środek działający powolnie i tylko w tych sferach społeczeństwa, które posiadają pewną zdolność kredytową; lecz po za nimi, a raczej niżej od nich, istnieją całe, liczne warstwy ludności, których skala kredytowa jest tak mierna, że nie pomogą im żadne kasy, bo to walczyć wypada nie tylko ze złotem ustosunkowaniem popytu i podaży na pieniądze, lecz i z pokusą, obrachowaną na słabość charakteru nadzwyczaj umiejętnie wyzyskaną przez prawdziwych mistrzów wszelkiego szwindlu.

Trzeba usunąć właśnie tę pokusę, a wpływ najlepiej nawet urządzonych instytucji kredytowych tak daleko nie sięga; tutaj trzeba innych, energiczniejszych środków i sposobów zaradczych, które zresztą są już znane i wypróbowane, dzięki działającemu od lat kilku, lecz do dziś dnia powszechnie zwanemu „nowemu“ prawu o lichwie. Lecz rzecz oczywista, że dla skutecznej walki z wskazanym przez nas rozrostem lichwy, prawo to musi być przystosowane do nowych warunków praktyki tego szkodliwego, przeciw społecznego procederu.

Rozumie się, że każdy nowy objaw występku wywołuje odpowiednie zmiany w prawie obowiązującym, odpowiednie środki obrony społeczeństwa od zamachów na jego mienie. Znawcy prawa i tych stosunków,—sprzyjających rozwojowi lichwy, mniej lub więcej zręcznie zamaskowanej kramarskim lub innym jakimś, nadającym się dla tego procederem,—są tego przekonania, że bardzo wiele pomódzby mogło aby profesjonalna przynajmniej lichwa była uznana za przestępstwo, kwalifikujące się do dochodzenia z urzędu, zatem nie tylko wskutek skargi osoby pokrzywdzonej, jak to jest obecnie. Zresztą, nie byłaby to zupełnie żadna nowość, ani w prawodawstwie, ani w praktyce kryminalnej, gdyż takie właśnie prawo istnieje już w Austrii, i oddało już tam pewne usługi, pomimo bardzo nawet łagodnego stosowania.

Na czem polega walka z przyrodą.

W ostatnim zeszycie „Przeglądu Polskiego“ zamieścić prof. Władysław Natanson niezwykle piękny artykuł o zjawiskach w materialnym wszechświecie. Wyjaśniając ich naturę, tłumaczy on, że każde zjawisko przyrodnicze posiada kilka części składowych—czyli podzawisk, jak je nazywa różniących się znacznie między sobą. Niektóre z tych „podzawisk“ charakteryzują się tem, że są „odwracalne“, to

znaczy, co mogą iść naprzód i wstecz: to, się przez nie dzieje, to wydarza się i mija niebawem, to może stawać się i odstawać bez końca.

„Kołysząc się wahadło naprzemian wznosi się ku górze, to znowu opada. Planeta, obiegając słońce, zbliża się ku niemu, oddala od niego, poczem znowu się zbliża, i tak dalej bez końca. Woda w połączonych nagle, niejednakowo wzniesionych zbiornikach, może się wahać to w jedną stronę, to w drugą. Pręty, sztaby, błony, nici, sprężyny mogą wyginać się i rozprostowywać, wyciągać się i znowu się kurczyć, mogą się skręcać lub znowuż rozkręcać. Płyny mogą się zgęszczać, ścisnąć, napływać—bądź znowu rzednieć, rozprężyć i stosownie rozplywać. Woda może parować i potem się skraplać, może zamarzać i znowu się topić“.

Ale towarzyszczą im zawsze „podzjawiska“ wprost przeciwnego rodzaju t. j. „nieodwracalne“, które sprawiają, że anergja, potrzebna do odbycia się zjawiska, rozprasza się i ginie—choćby nawet bardzo powoli i dla człowieka nieznacznie. „W ruchu np. postępowym i obrotowym ziemi rozpraszanie, wynikające z oporu środka, ze spotkań z meteoritami, z niesztynności ziemi, z tarcia wewnętrznego wód w morzu i oceanach i z wielu innych źródeł podobnych, odbywa się nadzwyczajnie powoli; dlatego ruch ziemi trwa już i będzie trwał jeszcze znaczną liczbę lat. Tak samo ruch wahadła w powietrzu lub ruch samego powietrza trwa długo i powoli zanika. Natomiast ruch widoczny w lepkiem oleju, w mazi lub w smole szybko zanika. W kleju, w ołowiu lub w stali ruch zanika tak szybko, że wydaje nam się, iż nie ma go wcale. Ta sama zmiana, która w powietrzu dokonywa się w ciągu miliardowej części sekundy, odbywa się i w ołowiu i w sali, wymaga tam tylko długiego szeregu lat. Ale to jest okoliczność podrzędna“.

Rezultatem tej walki dwóch rodzajów podzjawisk jest ogólna tendencja przyrody ku stanowi martwoty, spoczynku i zastoju. „Spojrźmy dokoła“:—pisze prof. Natanson—„przecież nasz zaulek wszechświata, toczony przez podzjawiska nieodwracalne, ginie powoli, wyczerpując się w walce. Ziemia pokryła się skrzepem i próchnem. Najbliższy nam księżyc zmarł, wyschnął i zaledwie się rusza, straciwszy wiele ze swej swobody pierwotnej. Słońce żółkło i stygnie wyraźnie. Wszędzie ciała poruszone ustają. Uspakają się fale na morzu, w atmosferze wiatr cichnie, głosy przebrzmiewają; wstrząśnienia i drgania rozchodzą się w ziemi i giną gdzieś niepowrotnie. Góry szczybnią się i rozsypują powoli. Jedne ciała wietrzeją i kruszą się, inne płowieją i blekną,

jeszcze inne palą się lub pokrywają się rdzą. Rozgrzane ciała stygną; oziębione powracają do średniego poziomu. Zamierają prądy elektryczne i przeróżne gatunki promieniowania, chwywane, pochłaniane, tłumione przez wszystkie rodzaje materji.

Z taką ogólną, z taką powszechną dążnością przyrody walczymy bez przerwy; musimy z nią walczyć. Przyroda wciąż wszystko przyémiewa, uspakaja i gładzi; a my, ludzie, ażeby żyć, musimy odrabiać tę jej beźmierną robotę. Musimy odżywiać się, od zbytniego chłodu lub upału się chronić, w nocy niecić światło, przenosić się z miejsca na miejsce, cierpieniu kłaść kres lub nieść ulgę, myśl kształcić, utrwać i szerzyć, uczucia wznosić i uszlachetniać; a w tych i wszystkich innych naszych potrzebach i celach cóż czynimy?

Oto staramy się wydobywać rzeczy z naturalnego chaosu i przysposabiać je sobie, usiłujemy wytwarzać układy sztuczne, urządzenia nienaturalnie proste, czyste, ścisłe, stany nietrwale, ale nam potrzebne; w drobnym zakresie naszych sił i zdolności odnosimy zwycięztwa nad upodobaniem natury; ale zwycięztwa pozorne, bo okupione natychmiast straszliwym marnotrawstwem nagromadzonych we wszechświecie zasobów, zwycięztwa chwilowe, bo skazane odrazu na zagładę. Każdy kawałek węgla wydobyty z pod ziemi, każda karafka wody oczyszczonej, przefiltrowanej lub przedystylowanej, każdy bochenek chleba, każda zapalona lampa, każdy, dom, most, szosa, każda maszyna, każda książka, jest takim miejscowem, małym, pozornem, przejściowem zwycięstwem. Każde ciało „czyste“ jest wyzwaniem, rzuceniem naturze; w pracowniach naukowych wiedzą, że nawet woda „czysta“ jest fikcją, jest idealnem, granicznym pojęciem. Każde naukowe doświadczenie, jest arcydziełem nieprawdopodobieństwa; każdy utwór sztuki, owoc natchnienia człowieka, jest dla natury wybrykiem, skandalem poprostu. Pożar domu, zawalenie się mostu lub wybuch w kopalni, jest buntem natury; czemu są istotnie te i podobne niebezpieczeństwa i klęski, jeśli nie powrotem pewnych układów do stanu mniej sztucznego, niż pierwotny. Pomyślmy, że układy do tego stanu dojść muszą, na tej drodze czy innej, prędzej czy później. Pomyślmy, jak wszystko, czego nam potrzeba ze względu na czystość i zdrowie, ze względu na bezpieczeństwo, wygodę lub piękno, jest do osiągnięcia trudne—jak wszystko to jest chwiejne, gdy jest osiągnięte. Prawie wszystko, co fizycznie czynimy, jest walka, z góry przegrana, z nieodwracalnemi podjawiskami.

Czuając, że nie możemy im zapobiedz, usiłujemy przynajmniej zwalniać i hamować ich przebieg. Taki ostateczny jest sens wszystkich naszych składów, zbiorników, spichlerzy, naszych skarbców i kas, arsenatów, magazynów, pałaców, wszystkich naszych muzeów, kolekcji, bibliotek, archiwów, wszystkich piramid kamiennych i statowych wież. Ale to wszystko jest walką liścia z wichurą jesienną. Wszystko to będzie, jest już dziś, łupem nieodwracalnych podzjawisk. Wszystko to w proch się obróci i w pył bezimienny“.

Pogadanki rolnicze.

Wydawane przez „Gazetę Rolniczą“ broszurki zawierają często rady i wskazówki, nietylko pożyteczne dla rolnika lub hodowcy, ale i zajmujące dla szerszego ogółu. Z wykładów popularnych kilku specjalistów, zamieszczonych w jednej z takich pogadanek, przytaczamy ustępy głównejsze.

1). Dr. Franciszek Górski z Ceranowa podaje wskazówki co do *życienia owiec w zimie*.

Organizm owcy, jej narządy trawienia, jej cztery żołądki, długie kiszki, zęby z wiekiem wydłużające się, jak u gryzoniów, są wskazówką, że owca z natury jest przeznaczona do żywienia się paszą dosyć suchą, że może gryźć twardą, spożytkować mało przydatną dla innych zwierząt. Pasza, w której znajduje się dużo drzewnika, cellulozy, która dla innych zwierząt służy tylko jako balast dla wypełnienia żołądka, albo co najwięcej chronić je może od śmierci głodowej, jest zaledwie paszą utrzymującą organizm, dla owcy może być jeszcze paszą produkcyjną, którą ona doskonale zgryzie, strawi i która jej wystarczy do utrzymania życia i wydania wełny.

W starożytności taką paszą były suszone liście. I dzisiaj owce nasze zjadają z wielką ochotą liście i gałązki topoli, wierzby, brzozy, a czasem nawet igły sosnowe. Dzisiejsze gospodarstwa nasze produkują jednak ogromne masy innej, bardzo taniej, a dla owiec stosownej paszy, z którą daleko mniej zachodu i kłopotu, a paszą tą jest słoma.

Słomę spożytkowują wszystkie rasy owiec daleko lepiej, niż jakikolwiek inny inwentarz. Wązkim swoim pyszczkiem i wystającymi zębami wybiera sobie owca ze słomy wszystko to, co się w niej pożywniejszego znajduje. Trzeba tylko owcom dawać słomę w nadmiarze, ad libitum, aby mogły ją sobie przybierać, a znajdują one w niej dosyć znaczną ilość pokarmu; żołądek owczy jest także w stanie przy-

swoić sobie i takie ciężko strawne części pokarmowe, które dla innych zwierząt są bezużyteczne. Rzecz oczywista, że słoma nie może być dla owiec wyłącznym pokarmem, choć na dostatecznej ilości dobrej słomy owca przeżyć i trochę wełny dać może, ale ani o wzroście młodzieży, ani o wychowie jagniąt nie może być mowy.

Podstawą żywienia zimowego wszystkich ras owiec jest zawsze objętościowa sucha pasza, zatem siano łąkowe, z koniczyny, z mieszanek pastewnych i słoma — wszystko rasy owiec mogą się zadowolnić w zimie samą suchą objętościową paszą, rzadko jednak byłoby to dla gospodarstwa korzystne. Zdaniem pana G., w większości gospodarstw naszych potrzebne są cztery gatunki paszy, ażeby owce dobrze przez zimę utrzymać i mieć z nich pokaźny dochód. Te cztery rodzaje paszy są następujące:

- 1) słoma, 2) siano, 3) okopowe, 4) łubin.

Słoma.—Im lepsze gospodarstwo, tem słoma prosta mniej dla owiec warta, bo mniej znajduje się w niej trawy i chwastów, żytnia jest w ogólności mało przydatną, chyna gdy się w niej znajduje podsiana w życie scradella. Posilniejsza jest słoma pszenna i zbóż jarych, najlepsza ze strączkowych roślin, z grochu, wyki, bobiku, łubinu. Słomę winno się dawać owcom w całości, nie krajaną na sieczkę, aby najlepsze części przebrały, najlepiej dawać ją w nadmiarze raz na dzień. Większą część owczarzy zadaje ją z samego rana, ja uważam za stosowniejsze dawać słomę prostą na noc, bo owce w noc zimową więcej mają czasu wybrać z niej wszystko co lepsze, a jeśli innej paszy najadły się podostatkiem, to nie obciążają sobie bezużytecznie żołądka pośredniemi pokarmem. Sieczki z prostej słomy najlepiej dla owiec wcale nie różnić, chyba gdy chodzi koniecznie o pomieszanie jej z okopowemi, albo o pochłonięcie wywaru.

Siano z dobrych łąk jest oczywiście najlepsze, wyborowe słodkie siano łąkowe nieodzowne jest tylko dla jagniąt, jałowizna, a nawet maciory jeść mogą także twardsze, mniej posilne siano, potraw jednak rzadko dla owiec jest stosowny.

Okopowe są paszą dla owiec u nas za mało cenioną. Kto chce wychować sztuki większe, cięższe, musi im dawać większą ilość łatwo strawnych pokarmów. Okopowe są w ogólności łatwo strawnym pokarmem, dla wszelkiego inwentarza nadzwyczaj potrzebnym.

Jak dla każdego zwierzęcia, tak dla owiec najzdrowszą jest marchew, ale wszelkie okopowe są dobre: i kartofle,

i buraki, i rzepa—wszystko w umiarkowanej ilości. Opasowe jeść mogą 6 funtów, tym co na chów zostają dawać można znacznie mniej, 1 funt dla małej, 2 — 3 dla dużej owcy.

Żywienie *lubinem* innego niż owce inwentarza jest utrudnione z powodu odgoryczania, a mimo odgoryczania wywołuje ono u bydła, koni, świń, nieraz bardzo poważne zaburzenia w organach trawienia; u owcy strzedz tylko trzeba, żeby nie zjadła za wiele.

Uprawa łubinu jest dla tylu gospodarstw naszych najpewniejszą drogą do wzbogacenia ziemi i podniesienia innych plonów; tembardziej więc korzystaćby należało z tej zbywającej niejako paszy. Jeżeli jest obawa, że owce skutkiem wilgotnego pastwiska letniego są anemiczne, to najwięcej łubinu trzeba dawać na jesieni, bo wówczas jest on do pewnego stopnia lekarstwem.

W jakiej ilości i w jakim stosunku te cztery rodzaje paszy: słońce, siano, okopowe i łubin owcom zadawać, na to recepty dać nie można, zależy to i od dobroci paszy i od jej ceny i od rasy owiec. Sposobem przykładu przytaczam normę, według jakiej od kilku lat u siebie owce żywią podczas zimy. Normalny etat na sztukę jest następujący: 1 funt siana, 1 okopowych, $\frac{1}{4}$ funta łubinu, słomy co zechce.

2). *O pójilnem (intersywnem) żywieniu krów dojnych* opowiada p. Wilhelm Maylert z Marcelina.

Z bardzo wielu doświadczeń, jakie z krowami dojnymi robiono, pokazuje się, że otrzymywanie dużych ilości mleka od krowy, zależy prawie wyłącznie od wrodzonych skłonności w tym kierunku danej sztuki, a w małej tylko części od paszy. Pomiędzy środkami karmowemi są takie, które dość znacznie wpływają na powiększenie ilości udojonego mleka, do tych należą przedewszystkiem pasze bogate w wodę roślinną, to jest, wszystkie pasze zielone, dalej okopowe, które daleko w wyższym stopniu wpływają na wydajność mleka, niż także same ilości płynu zadawane w postaci wody lub nawet wywaru, a to dla tego, że płyny, wchodząc do organizmu, przechodzą szybko w krew i powodują rozrzedzenie jej, a w dalszym ciągu silne wydzielanie uryny przez nerki i szybszy rozkład białka. Przeciwnie, jeżeli krowa przyjmuje wodę, zawartą w komórce roślinnej, to woda ta pomału i stopniowo przechodzi w krew, a zatem i do wszystkich części ciała, więc i do wymienia, przez co ilość mleka się powiększa. Dając krowom dojnym dużo wywaru lub bójki, czyli wody nie roślinnej, można do pewnego stopnia ilość mleka również powiększyć przez dodawanie większej

ilości białka, lecz tylko u tych krów, które dotąd nie dawały jeszcze dużo mleka.

Toż samo, co powiedzieliśmy o ilości dawanego mleka, można też powtórzyć i co do jakości, mianowicie, że te tylko krowy dawać mogą tłuste mleko, których organizm skłonny jest do produkcji w tym kierunku; można wprawdzie odpowiedniemi żywieniami wpłynąć na większą zawartość marmji suchej, lecz podnieść zawartość tłuszczu w mleku da się tylko w bardzo małym stopniu i to nie przez dodatek tłuszczu, lecz *białka*, które jedynie może w tym kierunku jakieś działanie wyrzucić, jednakże tylko w takim razie, jeżeli dotychczas zadawana pasza była za ubogą w białko. W tym kierunku robione były doświadczenia w Danji na bardzo szeroka skalę, bo z 1152 krowami na 9-iu folwarkach, przez Fjorda i Frijsa, którzy przekonani się chcieli, czy krowy te, żywione sianem, słomą i burakami będą produkowały innego składu mleko, jeżeli raz dodawać się im będzie pasze treściwą w postaci ziarna zbóż, drugi raz w postaci mieszaniny kuchów palmowych, słonecznikowych i rzepakowych. Doświadczenia przez dwa lata prowadzone wykazały, że zawartość tłuszczu, sernika i cukru w mleku przy tych zmianach stale pozostawała taż sama, mianowicie tłuszczu było w przecięciu przy każdym doświadczeniu 3,2%, ilość natomiast otrzymywanego mleka stale przy dodatku kuchów wzrastała. Że można nieracjonalnem żywieniem zepsuć skład mleka, na dowód przytacza fakt ze swej praktyki p. Meylert.

Badania i doświadczenia wykazały, że zdolność dawania dużych ilości tłustego mleka nie jest właściwością rasy, lecz przymiotem jednostki. Z wielu doświadczeń śmiało można ten wniosek wyciągnąć, że *właściwość dawania dużej ilości mleka nie wyklucza wcale możliwości dawania tłustego mleka.*

P. Felicjan Makomaski ze Szczurzyzna podaje krótkie a praktyczne wskazówki co do *opasania bydła*. Oto w streszczeniu zdania pana M. co do główniejszych rodzajów paszy.

Opasanie sianem. Jeżeli siano pochodzi z traw chętnie jedzonych przez zwierzęta, to go się zadaje wprost, w przeciwnym razie rżnie się go na sieczkę, oblewa np. melasą lub w braku tegoż wodą ze solą i w takiej formie zadaje bydłu. Ten sposób wypasu jest zwykle bardzo kosztowny, gdyż więcej nie można liczyć przyrostu jak 1 f. z 20 f. substancji suchej w paszy, podczas gdy w dawkach racjonal-

nych substancja sucha wydaje 1 f. z 20—12. W gub. woroneżskiej jeden wół zjada dziennie od 60—80 f. siana.

Opasanie wyłącznie kartoflami Sposób ten jest u nas dosyć często stosowany, chociaż jesteśmy przekonani o jego nieracjonalności i wiemy, że racjonalniej byłoby spasać kartofle z dodatkami substancji suchej i składników azotowych.

Kartofle sypie się w toki przed bydło, tak, aby przed niemi ciągle leżały. Wół wagi 1,300 f. zjada w ciągu swego tuczenia od 30—40 korcy. Przy tym sposobie pasienia wagi nie tylko nie przybywa, ale zachodzą wypadki, że jej nawet ubywa. Przy tem pasieniu niepotrzebne jest pojenie.

Przy opasaniu kartoflami konieczne jest obfita ściółka, gdyż w przeciwnym razie opas podlega tej samej chorobie, jak przy pasieniu wywarem, tak zwanej grudzie.

Opasanie wywarem Przy przerobieniu kartofli na spirytus otrzymujemy odpadki w postaci gęstego płynu, zawierającego zaledwie 5¼% substancji suchej, o podwyższonej temperaturze, zwane wywarem, który powinien być spasany w stanie świeżym, gdyż bardzo szybko ulega skwasnieniu.

Rozumie się jednak, że sam tylko wywar zwierzęciu do upasienia nie wystarcza bez odpowiedniego dodatku substancji suchej i obfitej w strawne węglowodany paszy; przy niewielkiej ilości dodatków, mięso jest niesmaczne, jakby nabrzękle, a tłuszczu mało.

Opasanie wytłokami. Także nie wymaga pojenia, albowiem wytłoki, otrzymywane przy przerobieniu buraków na cukier stanowią paszę wodnistą, zawierającą zaledwie 5% substancji suchej, a po zadołowaniu do 10%. Wytłoki mają tę zaletę, że można niemi paść nawet i po roku przechowania, a tembardziej na wiosnę, wskutek czego można przetrzymać bydło do lepszych cen na mięso, co na wiosnę, zwykle ma miejsce. Ta pasza powinna mieć zastosowanie, jeżeli opas chcemy sprzedać w ciągu miesięcy wiosennych. Przy opasaniu kartoflami i gorzelniach powoli przyzwyczajając bydło do wytłoków, a gdy kartofle i wywar się kończą, przejść na same wytłoki. Przy takiej organizacji opasania osiągniemy podwójne korzyści: po pierwsze otrzymamy lepszą cenę, gdyż możemy sprzedać opas w porze najodpowiedniejszej, po drugie zaś nigdy nie znajdziemy się w położeniu, bez paszy i bez kupca.

Bardzo ważną paszą koncentrowaną z powodu swej stosunkowej taniości jej *odgoryczne ziarno lubinu*, do którego by-

dła bardzo łatwo się przyzwyczajają. Można je zadawać do 8 f. na sztukę w stanie, w jakim go dostajemy po odgoryczeniu.

Nie idzie zatem, aby całą dawkę przeznaczoną na jedno zadanie wsypać odrazu w żłób, przeciwnie, trzeba zadawać po trochu, a gdy pierwsze danie wyjedzą, znowu wsypać— aż do skutku. Ozynimy to dla tego, aby zwierzęta, obwąchując paszę, nie straciły do niej apetytu; w każdym razie zwierzęta, widząc przed sobą mniejsze ilości, chętniej jedzą i nie tak przewracają.

Pojenie. Bardzo ważnym czynnikiem przy opasaniu jest woda, która stanowi $\frac{1}{2}$ do $\frac{1}{4}$ wagi całego zwierzęcia. Bydło potrzebuje cztery razy tyle wody co substancji suchej. Znaczną część wody zawiera w sobie zadawany pokarm, resztę musi dopełnić woda wprowadzona do żołądka przy pojeniu. Pojenie odbywać się winno 2 razy dziennie, przed karmieniem czystą, niezbyt zimną wodą.

Sól dawaną bywa głównie jako używka dla zwiększenia apetytu. Daje się jej około 3 łutów na 1,000 f. ż. w, nie więcej, aby nie wywołać pragnienia, a zatem i przyjęcia większych ilości wody po nad potrzebę organizmu.

Pomieszczenie czyli obora gra bardzo ważną rolę w przedsiębiorstwie opasowem, wywierając na nie wpływ dodatni lub ujemny zależnie od temperatury, czy ona będzie stałą wymaganą przy opasaniu, czy też zmienną. Temperatura powinna wynosić 13—14° R. Gdy będzie za zimno, to dużo karmy zużyje się na pokrycie straty ciepła, które ulega w takim razie promieniowaniu. Najszkodliwiej działa nadmierne chwilowe podniesienie temperatury, np. podczas nocy przy zamkniętych drzwiach obory. Bardzo ważną rzeczą w budynku jest wentylacja bez przeciągów. Dalej powinno być w budynku ułatwione utrzymanie czystości zwłaszcza przy braku ściółki. Światła powinno być tyle tylko, aby obsługa mogła odbywać się bez trudności, w każdym razie lepiej, gdy go będzie za mało, niż za dużo, to bowiem sprawdza na zwierzęta pójsenność, wpływającą dodatnio na postęp tuczności.

NOWE KSIĄŻKI.

„Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk 1800—1832. Monografia historyczna, osnuta na źródłach archi-

walnych przez *Aleksandra Kraushara*, Księga I. Czasy pruskie, 1800 — 1807, z ilustracjami" (Kraków i Warszawa duży tom, 404 stronic).

Z książki tej dowiadujemy się nie tylko o ludziach, o stosunkach warszawskich i krajowych z przed lat stu, nie tylko o posiedzeniach, tematach do prac naukowych, ale i poglądach takich mężów wiedzy jak Albertrandy, Czacki, Staszic na dalsze postępowanie narodu, na jego przyszłość.

Okazuje się z pracy p. Kraushara, że po upadku państwa, to wszystko, co najlepiej myśleć umiało i czuło najgłębiej, pragnęło ocalić i przekazać przeszłości ducha, nie tylko nieskażonego, ale silniejszego, bogatszego. A bogactwo ducha widziało nie w szumnych deklamacjach, nie w głośnych okrzykach, lecz w pracy ciężkiej, w wiedzy gruntownej. Był to program polityczny, była to myśl społeczna. I prawdziwa wdzięczność należy się p. Krausharowi, że ją dziś ogółowi pokazał.

W dniu 23 listopada 1800 r., na pierwszym publicznym zgromadzeniu pierwszy prezes Towarzystwa, Albertrandy w mowie, otwierającej instytucję, mówił:

„Najprzyjemniejszy ten i calej okazały widok tak wielu zacnych i wyborem przymiotów zaszczyconych osób, tu zgromadzonych, chwalebna chęcią natchnionych — przyłożenia wszelkiego starania, przemysłu i pracy; użycia wszelkich najskuteczniejszych, pozwolonych środków, na wsparcie pożytecznych nauk, na utrzymanie w zupełnej żywości światła, którem te krainy, w długim czasów przeciągu, szczególnie zaś w wiekach najpolerowniejszych, zajaśniały: na pomnożenie na... et nie tylko świetnej postawy z nauk ozdoby nadanej, ale i rzeczywistych, z nich wynikających pożytków; widok ten, mówię, nie może każdego z przytomnych najwyższą nie obdarzać radością; którzy, w jakąkolwiek stronę oczy obróca, imię i chwałę narodu swego, w celniejszej części swojej odrodzoną, oglądają.

„Powieksza tę radość i niezmiernie pomnaża ta myśl, że zamiar tego Zgromadzenia główniejszy jest: utrzymanie i pomnożenie nauk, pamiątek języka, zaszczytów ludzi tego przedtem narodu, którego lubo imię w rządzie narodów przekreślone widzimy, jednak niezglózowanem piętne na sercach naszych wyrzyte, w wiekuistej zostawać będzie pamięci; tem żywszej, iż samo jego z widzialni przestronnej samorządców świata, na której przez

długie wieki tak okazał się, usunięcie, skuteczniej ożywić będzie jego wspomnienie.“

W cztery lata potem Albertrandy jaśniej jeszcze intencje i pracę swoją i kolegów swoich oświecił:

„Było niektórych, porywcz o rzeczach sądzących, o przedsięwzięciu naszym mniemanie, iż niezdolni polityczną egzystencją upadłej ojczyzny naszej podźwignąć, chcieliśmy przynajmniej pod pozorem nauk, niejakię jej zapewnić jestestwo. Niebaczne to, iż nierzec, płoche zdanie, samemi pierwiastkowemi nawet i nieodzownie uchwalonemi, zwątlić, jak osłabić, *ustawami*, tem łatwiej można było, iż się z tem zawsze głośno oświadczałyśmy, iż od zamiarów towarzystwa naszego odsunięte to wszystko być powinno, co związek ma z polityką i dlatego, tak w publicznych posiedzeniach naszych, jako i prywatnych, pilnie się wystrzegaliśmy gminnej onej chwały, wyniknąć mogącej z narzekania nad losem, który—nie losem, lecz zarządzeniem jest najwyższej istoty, wszystko kierującej władzy o nas stanowiącym, a jeśli gdzie, to w tej mierze, rozumieliśmy, iż się trzymać owego prawidła najpoważniejszego, od Horacjusza przełożonego, powinniśmy, *bonne ferre tristam Disce fortunam...*“

„Daleko więc wyższe i zacniejsze były zamiary tych, którzy pierwsze około utworzenia tego Towarzystwa podejmowali starania. Chcieli oni uwiecznić chwałę z nauk, następstwem wieków od dawnych czasów do siebie dochodzącą; chcieli zachować krzewy one szczęśliwe, przodków swoich potem zlane i w okazałe drzewa rozrośnione; chcieli zachować zaszczyty one nienaruszone, któremi Polska, i dawniej i w szczególności zacząwszy od panowania Zygmunta I, przez lat 100, do śmierci Zamoyskiego i Skargi, zajaśniała; chcieli one owoce, odrodzonych na drugiej połowie przeszłego wieku nauk, dochowane, podać następnym wiekom i zachować pamięć czasu, kiedy szczęśliwą w sposobie myślenia rewolucją najprzedniejsze ubiegały się dowcipy, aby nakierować na drogę przyzwoitą zabłąkane, wydoskonalic wprowadzone, wprowadzić nieznanym nauki; chcieli zabezpieczyć nadal poszanowania, honory, nagrody, od mądrego króla w ciągu panowania swego umiejętnościom nadane i nieśmiertelne usiłowania onejto przeznaczonej magistratury narodowej utrzymać, której mądre przepisy, czuła baczność, niaspracowana troskliwość, dokazały tego, iż nauki i umiejętności—poszanowania, honorów i nagrody godnemi się stały; chcieli naostatek, rządowi, światła między poddanemi sobie narodami niebojącemu się, pomnożyć, swoją też pomoc ofiarować, nowe wynalazki, nauk pomnożenia i w gatunkach wszelkich wydoskonalenia, dostępnemi i tym czyniąc, którzyby, albo przez

przywyknienie, albo przez skłonność, albo przez wybór innego do ich nabycia narzędzia nie mieli, oprócz języka ojczystego“.

Myśli podobne były wśród uczonych ówczesnych bardzo żywe, głęboko odczuwano ich słuszność i potrzebę przyjęcia ich przez ogół, widziano, że wszelkie inne widoki są złudną marą, która sił nie doda, a dołę pogorszy.

W tym samym duchu, co prezes Towarzystwa, z wielkim naciskiem przemawiał czcigodny Tadeusz Czacki. Wielki patrijota, wielki obywatel Staszic był gorącym stronnikiem myśli, przez Towarzystwo w pracy swej wcielonej:

„Jeżeli nau już nie wolno — mówił — z innemi ludy chodzić w zawody o narodową sławę bohaterstwa, to wolno wam, — owszem, wyzywają was Europejskie Narody w zawód, o sławę wszystkich innych rodzajów. Idźcież w te szlachetne zabiegi i z cudzoziemcami i z współobywatelami ludy; a nieustępując na waszej ziemi nikomu pierwszeństwa, w cnotach, w pracach, w naukach; połóżcie na tem wszystkim, cokolwiek ziemia waszych ojców, w najwyższych górach, w najgłębszych wewnątrz zakopach i w morzach i w powietrzu, ciekawego, użytecznego, zawiera; połóżcie, mówię, na wszystkim: pracy, dowcipu, wynalazku, umiejętności, pierwsze Imię Polka!

Ale program cichej pracy społecznej nad podniesieniem sił własnych nie wszystkim się naturalnie podobał. Nietylko go krytykowano, ale szydzono w broszurach bezimiennych, ogłaszając założenie Towarzystwa „za szkodliwą, bałamutną niedorzeczność.

Minęło lat sto, spór rozstrzygnięty. Po Towarzystwie przyjaciół nauk, po Albertrandym, po Czackim, Staszicu zostały życiodajne owoce pracy naukowej i społecznej, zostało wspomnienie krzepiące ducha. A co pozostawiła po sobie owa broszura niby to wysoce patrijotyczna? Gdyby tylko nie!

Nasz przemysł.

Żyjemy w czasach niebywałego w dziejach rozwoju przemysłu i handlu. Jeżeli naszemu stuleciu, którego ostatnia godzina wybije za kilka tygodni, nadawano rozmaite nazwy — wieku pary, elektryczności i t. p., najbardziej ogólnie i trafnie możnaby go ochrzcić mianem „wieku przemysłu.“

Rolnictwo stanowi niezaprzeczenie podwalinę bytu ludzkości. Ludzie od zamierzchłej przeszłości chleb jedli i zawsze potrzebować go będą. Dziś jednak rolnictwo w krajach oświeconych, gęsto zaludnionych, bez poparcia przemysłu, bez szybkich środków komunikacji, bez ulepszeń i wynalazków, wydobywających z ziemi wszystko, co tylko ona wydać może, samoby się nie ostało. Jeżeli *ludzkość* bez chleba istnieć nie może, *kraj* żader samem rolnictwem również się nie ostoi. Zbyteczną rzeczą byłoby nad tem się rozwódzić.

Dość spojrzeć w głąb Europy, a lepiej jeszcze dalej na zachód, za ocean, gdzie najbardziej nawet uprzedzonego zdumiewa wzrost i bogactwo takich Stanów Zjednoczonych, aby sobie uprzytomnić, jak potężną dźwignią w organizmie narodu jest przemysł i związany z nim handel.

I w naszym kraju, choć daleko mu do sprostania zachodnim sąsiadom, budzi się coraz żywsza działalność w tym kierunku. Zakłady przemysłowe, fabryki, warsztaty mnożą się ustawicznie; tysiące ludzi znajduje utrzymanie, bogactwo

zaś ogólne wzrasta ustawicznie, mimo różnych przeciwności. Narzekamy wprawdzie na brak zjednoczenia sił, które, działając osobno, nie mogą się tak rozwinąć, ani innym dać pożytku, jakiby osiągnęły ich stowarzyszenia. Biadamy, że przedsięwzięcia tak zyskowe, jak gaz, tramwaje, kanalizacja, wiele instytucyj technicznych i przemysłowych znajduje się w rękach cudzoziemców lub pod ich najbliższą opieką. Pomimo wszystko jednak, faktem jest doniosłym, żeśmy nie pozbawieni zdolności i przedsiębiorczości, które przy rozwoju zmysłu organizacyjnego obficie wydać mogą plony.

Tymczasem winniśmy uznanie dla każdej osobistości, która specjalne swe uzdolnienie poświęca stworzeniu nowej u nas gałęzi przemysłu lub techniki, a tem samem otwiera nową drogę dla innych. Należy się takim usiłowaniom uznanie i poparcie już dla tego, że przy pomyślnym obrocie rzeczy nie tylko grono miejscowych pracowników otrzymuje byt, a niekiedy i fach jakiś, ale że cudzoziemców wypieramy tą drogą, na czem i bogactwo krajowe stopniowo zyskuje.

Dział niniejszy poświęćmy zapoznaniu czytelników kolejno z szeregiem nowszych gałęzi przemysłu, u nas powstałych. Choćby to były dopiero „gałązki“, choćby owoce ich były dla ogółu drobne i nieznaczne, pamiętajmy, że każdy zawiązek jest trudny, i wiemy, że zagranicą są to sprawy miljonowe.

Rozpoczniemy od fotografii.

Ażeby zrozumieć, na czem polegają nowoczesne udoskonalenia, które fotografii otworzyły szerokie pole zastosowań i przeniosły ją w dziedzinę przemysłu, rzucmy okiem choć pobieżnie na historję tego wynalazku.

Że światło wpływa na rozmaite ciała, spostrzeżono od czasów najdawniejszych. Któż nie wie, że skóra ludzka ciemnieje od słońca, rośliny zielenieją, a owoce rumienia się tylko na świetle? Któż wątpi o płowieniu kolorów ubrania, mebli, obić, obrazów? Śmiało rzec można, iż mało jest farb, któreby z czasem od światła nie ucierpiały.

Są jednak materje bardziej wrażliwe na światło, niż barwniki. Asfalt, żelatyna chromowana, rozmaite sole rtęci i srebra zmieniają się po krótkim nawet oświetleniu. Ze wszystkich tych materiałów najczulsze i najbardziej przydatne praktycznie do utrzymania obrazów są połączenia srebra z chlorem, bromem i jodem, które od światła szybko czernieją. Własność tę poznano jeszcze w ubiegłym stuleciu: dr. Schulze w Halli otrzymywał obraz liter na mieszaninie lapisu (azotenu srebra) z kredą w roku 1727, a w 70 lat później Wedgwood zrobił pierwszy portret fotograficzny, rzucając cień osoby siedzącej na papier, napojony lapisem.

Długi czas upłynął po tych próbach, zanim powstała fotografia właściwa, w dzisiejszem jej znaczeniu. Zawdzięczamy ją Francuzom: pierwszy pomysł zastosowania ciemni czyli aparatu optycznego, dającego już nie cienie, ale dokładne obrazy przedmiotów, jest zasługą Niépce'a; wkrótce rozwinął go Daguerre i w roku 1839 ogłosił światu. Sposób ten rozposzechnił się tak szybko, że już w roku 1842 mieliśmy w Warszawie pierwszy zakład fotograficzny Karola Beyera (według innych pierwszym był Giewartowski).

Fotografje tego rodzaju od nazwiska wynalazcy ochrzczono mianem *dagerytypii*; była to fotografia na blasze srebrnej, bez możności odbijania więcej kopii. Blachę, powleczoną jodkiem srebra, wkładano do aparatu optycznego (kamery), gdzie na niej tworzył się obraz, na razie niewidzialny, ukazujący się dopiero po pewnem traktowaniu chemicznem, tak zw. wywołaniu, poczem następowało utrwalenie, aby cały nie zepsuł się na świetle.

Ogromny przewrót w sztuce fotograficznej sprawił *sposób kolodyonowy* wynaleziony przez Archera r. 1851. Polega on na użyciu *klisz szklanych*, powleczonych błonką kolodyonu ze związkami (jodkiem) srebra. Mając obraz na szkłe, można z niego odbijać ile się podoba fotografij na papierze, napojonym czułą substancją. Ponieważ jednak klisze takie musiały być użyte zaraz po przygotowaniu, zanim wyschły, do każdego zdjęcia trzeba było je sobie robić w ciemnym zupełnie pokoju po jednej, i to przed samem fotografowaniem. W takich warunkach sztuka fotograficzna musiała się

ograniczyć na sferze fachowców, a przytem do zdejmowania potrzeba było dłuższego czasu i silnego światła.

Dzisiejsza łatwość fotografowania, dzięki której aparat fotograficzny stał się niejako sprzętem powszednim w domu, a bardziej jeszcze w podróży, dzięki której rozwijają się i bogacą krocie fabryk, i tysiące ludzi znajdują zajęcie, datuje od czasu wynalezienia *klisz suchych*, żelatynowych, które weszły w użycie od r. 1880. Klisze obecne, pomysłu Harrisona (1868), składają się z szyb szklanych, powleczonej żelatyną z bromkiem srebra. Są one trwałe, gotowe do użycia w każdej chwili i wyrabiane są wyłącznie sposobem taborczym. U nas pierwszą fabrykę w kraju założył M. Dutkiewicz; smutnym atoli jest fakt, że ten rodzaj przemysłu nie mógł się ostać, gdy w cesarstwie istnieje i prosperuje takich zakładów kilkanaście.

Klisze więc bromosrebrne, żelatynowe, stanowią ostatni przełom w fotografii. Dziś zdjęcia na otwartem powietrzu, dzięki nadzwyczajnej czułości tych klisz i doskonałości aparatów, robią się zazwyczaj momentalnie, czyli w ciągu drobnej części sekundy, co umożliwia zdjęcia scen najruchliwszych. Skierowawszy aparat, naciska się guziczek lub piłkę gumową tegoż—i obraz już jest na kliszy. Wywołanie tego obrazu i utrwalenie zajmuje parę minut i nie wymaga żadnych specjalnych wiadomości, tak iż każdy po paru wskazówkach i pewnej wprawie, dojsć może do wcale dobrego fotografowania, a że klisze przechowują się całe miesiące i lata, można np. w podróży robić tylko zdjęcia, obrazy zaś ich wywołać i utrwalić za powrotem, co jest też dogodnością niemałą.

Wspominaliśmy, że w kliszach czuła warstwa zawiera bromek srebra; on właśnie czernieje od światła, tak iż miejsca, które na widoku są jasne, na kliszy będą ciemne i naodwrot. Ztąd klisza wywołana stanowi *negatyw* czyli obraz ujemny co do cieniów (twarze np. na obrazie kliszy są czarne, niebo również, drzewa zaś, jasne, przezroczyste). Z negatywu dopiero odbija się na papierze kopje, przykładając do niego papier czuły i wystawiając na światło. Papier taki ciemnieje tylko pod temi miejscami kliszy, które na niej

są przejrzyste, pozostaje zaś białym pod ciemnymi częściami kliszy, w półcieniach ciemnieje w rozmaitym stopniu. W ten sposób najdelikatniejsze zarysy portretu lub widoku na odbitce papierowej wypadną tak, jak są w naturze. Takie odbitki czyli kopje nazywamy powszechnie *fotografjami*.

Cały przemysł fotograficzny, o którym dotąd była mowa, powstał i rozwinął się wyłącznie zagranicą. Uczyniona przez Dutkiewicza próba fabrykacji klisz nie powiodła się; co do aparatów, wyrabiał je Brandel i Karoli na małą skalę.

Zdawałoby się, że przedsiębiorstwo techniczne takiego rodzaju nie może u nas się utrzymać. Mimo to znalazł się człowiek kompetentny a wytrwały, który nie zawahał się stworzyć pierwszej kraju fabryki i *papierów fotograficznych*, i to własnego pomysłu. Inżynier-chemik, p. Lebedziński, począł wyrabiać w Warszawie od r. 1887 tak zwany *papier kolodyonowy*, trwały. Papier ten zyskał w niedługim czasie takie uznanie, że używa go znaczna część zakładów fotograficznych w całym kraju, a nawet rozchodzi się do cesarstwa i zagranicę.

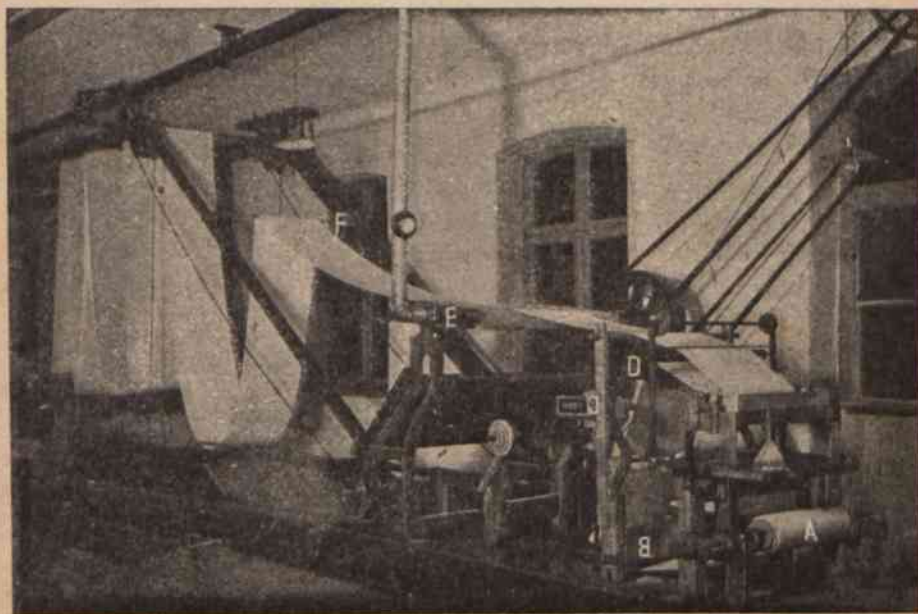
Byłoby rzeczą zbyt specjalną, gdybyśmy chcieli opisywać całkowitą manipulację wyrobu; ograniczymy się na krótkim wyjaśnieniu.

Pierwszym praktycznym papierem do fotografii był *albuminowy* czyli *białkowy*, wynaleziony w roku 1850 przez Blanquart-Errarda i dotąd jeszcze używany. Papier ten jednak ma tę wadę, że przechowuje się w stanie gotowym do użycia bardzo krótko (parę dni), a i fotografie na nim zrobione nie należą do trwałych: łatwo pękają i żółkną. W roku 1865 Abney otrzymał papier *żelatynowy* czyli *aristo*, i odtąd powstało mnóstwo fabryk papieru. Wreszcie w roku 1885—6 zjawiała się zagranicą *emulsja kolodyonowa* do powlekania papierów samemu, która jednak nie zyskała rozpowszechnienia; dopiero w r. 1890, czyli po założeniu fabryki warszawskiej, upowszechniły się wszędzie papiery *celoidynowe*, będące tylko odmianą kolodyonowych.

Który z tych papierów jest lepszy, orzec trudno. Któż z nas nie widywał na wystawach fotograficznych portretów i widoków poźółkłych, choć nie były one na świetle więcej

nad kilka miesięcy? Na papierze kolodyonowym Lebedzińskiego starannie zrobione fotografie wytrzymują długie lata bez zmiany na powietrzu i świetle. Kolodyon ma jeszcze tę wyższość nad żelatyną, że obrazy na nim można zmywać, np. w razie zakurzenia czy powalania, mokrą szmatką lub watą.

Nadto, kolor czyli ton fotografii na kolodyonie, żywy i niezmienny, otrzymuje się prędzej i łatwiej niż na innych papierach, zarazem zaś oszczędniej, gdyż złota, które konie-



czne jest do tonowania papierów, wychodzi tutaj mniej niż do innych. Dla fotografów zwłaszcza fachowych, którzy spore sumy wydawać muszą na chemikalja do papierów, a przede wszystkim na sole złota, okoliczność ta ma niepoślednie znaczenie.

Załączony rysunek wyobraża maszynę do pociągania papieru emulsją i sposób zawieszenia uczulonego papieru.

Papier, nawinięty na rolę *A* przechodzi pod walcem *B*, który służy do wskazywania ilości wydrukowanego papieru

Każdy obrót walca *B* odpowiada 1 metrowi długości papieru, a ilość metrów podaje lieznik *C*. Z pod walca *B* papier wsuwa się ku górze i przechodzi nad walcem *D*, który kieruje ten że na dół, do srebrnego koryta, zawierającego emulsję. Pociągnięty emulsją papier przechodzi na stół *E*, po którym posuwa się gruby filc bez końca. Specjalnie urządzony wentylator, przez rurę pionową, widoczną na rysunku, wyciąga z pod filcu powietrze. Dzięki temu urządzeniu papier pokryty emulsją przyciska się ciśnieniem powietrza do filcu i z nim razem postępuje. Stół więc *E* odegrywa rolę motoru, ciągnącego papier.

Gdy pewna ilość papieru przejdzie przez stół i zwiesi się na dół, wówczas pod papier automatycznie podsuwa się kij *F*, który podnosząc się wraz z papierem ku górze, tworzy feston. Kilka takich festonów widzimy z lewej strony rysunku. Papier zawieszony w postaci festonów na kijach przechodzi następnie nad rurami, ogrzewanymi parą lub wodą, i wysycha, postępując jednocześnie naprzód, ku drugiemu końcowi sali, gdzie, po wyschnięciu, nawija się na rolę, a następnie kraje na arkusze.

Ostatniemi czasy, zaczęto również wyrabiać w tej samej pracowni i papiery żelatynowe, które skutecznie konkurują już z zagranicą. O trwałości ich przekonywają fotografie wystawione trzymające się bez zmiany na świetle od lat kilku.

Powodzenie tej nowej u nas gałęzi przemysłu jest objawem pocieszającym, że czasem znajdzie się „prorok w swym kraju”.

Ile stanowić może pieniądze dla kraju wyrób choćby papierów i klisz fotograficznych, niech świadczy przykład: w samych Niemczech *odpadki* tylko, wyrzucane i wylewane, zawierają srebra za 3 miliony marek!... Rozwój zaś fotografii w ogóle, jej zastosowania w rozmaitych gałęziach nauki, techniki i sztuki—że już pominiemy fotografię amatorską—świadczy, jak wielkiej potrzebie ogólnej czyni ona zadość.

Serce Islamu.

(Pielgrzymki do Mekki).

Każdego roku tysiące pielgrzymów muzułmańskich ze wszystkich stron świata rusza w drogę, do wspólnego celu, do Mekki, do miasta świętego, serca Islamu.

Nigdzie niema podobnej nawały pielgrzymów; jest też ona widomą oznaką potęgi muzułmańskiej religji i gorliwości jej wyznawców. Miljony Arabów, zamieszkujących Afrykę północną, są przeważnie wyznawcami Mahometa. Złączeni u celu swej pielgrzymki w Mecce, stykają się tam bezpośrednio z prz różnemi częściami ogromnego ciała Islamu. Zetknięcie tylu żywiołów narodowych ma też znaczenie ogólnoludzkie; warto przeto bliżej zapoznać się z tem środowiskiem, ściągającym do siebie całą ludność muzułmańską Azji, Afryki i Europy.

Kalendarz muzułmański określa z góry każdego roku termin ścisły, wyznaczony na odbycie pielgrzymki do Mekki. O tej też porze jakby dreszcz przebiega cały świat Islamu. Tworzą się karawany podróżnych; gromady ludzi, odzianych w burnusy i turbany, wyjeżdżają z Beyrutu, Kairu, Medyny, Damaszku, Egiptu górnego, Sudanu, Turcji europejskiej. Każdy bowiem dobry mahometanin, zdrow czy chory, bogaty czy biedny, musi choćby raz w życiu odbyć pielgrzymkę świętą. Cały ten tłum zmierza ku jednemu punktowi; cała

ta fala ludzka dąży do tego samego miasta: do Mekki, grobu uświęconego. Tutaj mieści się środowisko religijne, serce, do którego napływa całe życie mahometanizmu i odpływa gorliwsze i bogatsze w soki żywotne. Wpływ ten sięga do krańców obszernego organizmu, gdyż wedle rozkazu Proroka przybywa modlić się przed Kaabą około 100,000 pielgrzymów, którzy są przedstawicielami przeszło 100 milionów wiernych.

Mekka znajduje się w głębi Arabji, poza wielkimi pustyniami ukryta w dzikiej dolinie. By do niej dotrzeć, pielgrzymi indyjscy wsiadają na okręty w Bombaju; inni zaś z Afryki, Europy i Azji zachodniej zbierają się przeważnie nad Suezem. Dwa te wielkie zbiorowiska pielgrzymów spotykają się w Dzedda, w przystani obok Mekki, na morzu Czerwonym.

Bardzo znaczna liczba tych pobożnych wędrowców w drodze do Dzeddy czyni tę drogę bardzo męczącą. Podróżni tłoczą się na statki, nie mogąc się poruszać swobodnie, z braku miejsca. Nieubłagany żar słoneczny pali ich dzień cały. Zamknięci pod pokładem okrętu w atmosferze dusznej, spędzają czas na spokojnem paleniu fajek, słuchając ostrych i jednostajnych dźwięków gitary albo tarabuku, naczyńia glinianego, pokrytego skórą, w rodzaju bębna.

Bogaci, których jest mała liczba, otrzymują twardą kanapkę, 7 stóp długą a 2 szeroką, w zasięgu okrętowym, pełnym zaduchu od starych gratów i smoły.

Na niektórych jednak nowszych statkach postarano się o usunięcie tych niewygód, przykrych dla podróżników, a nieraz zabójczych. Na tych ulepszonych okrętach podróż jest już mniej uciążliwą, a chwilami nawet przyjemną.

Na widok Dzeddy pasażerowie wszyscy wydają okrzyk ulgi. Dzedda jest zresztą obrzydliwym miasteczkiem, zbudowanym na równinie nagiej, w głębi niegościnnego pobrzeża, pokrytego tu i owdzie szczątkami rozbitych okrętów.

W czerwcu, czyli w porze licznych pielgrzymek, Dzedda wygląda jak Babel, z powodu miesznaniny narodów. Two-

rzy się tu istotnie burzliwe zbiorowisko całego życia muzułmańskiego, spotykają się rasy, które się nie znały dotychczas, których siedliska rozdzielają morza, lądy, cały wreszcie obszar globu ziemskiego. Wzrok olśniewa to rojowisko turbanów niebieskich, zielonych, białych, czerwonych i żółtych oraz pstrych ubiorów. Widzi się kroczących dumnie, ze wzgardliwym wejrzeniem, wielkich Beduinów, chudych, o obliczu orlem. Ich długie płaszcze wloką się za nimi po piasku. W pośrodku idą szejkowie, spokojni i pełni majestatu, jakby królowie; dalej idą Abisyńczycy w bieli, wyso-



Gromada pielgrzymów w białym odzieniu, twarzą odwróconych ku Miasiu Świętemu, odmawia pobożnie modły.

kiego wzrostu; Nubijczycy o grubej wardze dolnej; Turcy w surdutach, mający na głowie fez czerwony; Fellahowie egipscy w koszulach niebieskich, ożywieni i drwiący; Armeńczycy poważni, jak zakonnicy; Syryjczycy piękni, wysmukli, o dużych oczach płomiennych.

Wieczorem widzi się, jak gromady białych sylwetek ludzkich, odwrócone twarzą ku miastu świętemu, zbierają się wspólnie za miastem i modlą pobożnie, stosownie do rytuału, zawartego w przepisach Koranu. Te ostre praktyki

nabożne są niejako wstępem do surowych obchodów pielgrzymki.

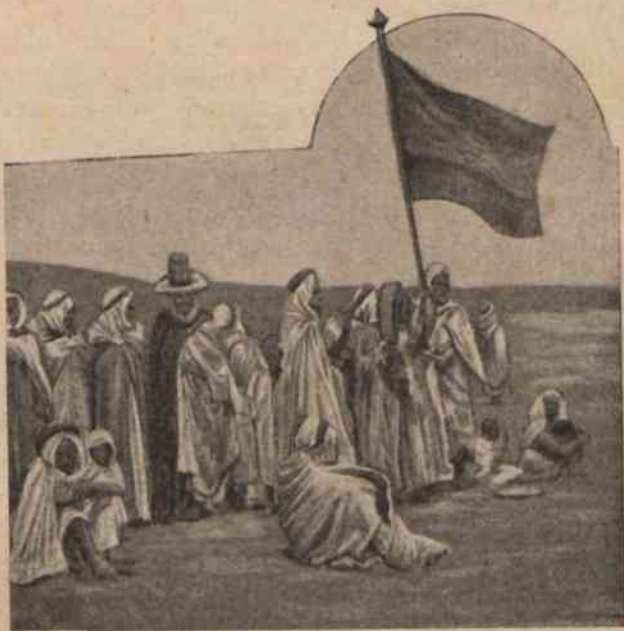
Nagle znika ta dziwna mieszanina barw i strojów. Zastępuje ją *irham*, ubiór, jaki kładą na siebie wszyscy pątnicy, zgoliwszy głowy. Ubiór składa się z kawałka tkaniny niezszytej, którą zarzucają na biodra, zachowując ją przez cały czas pielgrzymki. Prorok zalecił, aby wszyscy, biedni i bogaci, niewolnicy i monarchowie, udawali się do Mekki w takiej odzieży pierwotnej, która ich łączy na dni kilka równością braterską.

Rozumie się, że podróżnikom europejskim, niemahometanom, niewolno pielgrzymować do Mekki. Ci, którzy biorą udział w pielgrzymce, udając wyznawców mahometanizmu, dostają się często do więzienia, jako szpiegowie polityczni. Biedny Karol Huber, którego grób znajduje się niedaleko Dżeddy, padł też niechybnie ofiarą tego rodzaju oskarżenia. Byli jednak tacy, którym udało się powrócić ztamtąd bez szwanku. Do nich należy Francuz Gerwazy Courtellemont, któremu zawdzięczamy wiele szczegółów, dotąd nieznanych, o Mecce. Lecz i ci, którzy powrócili szczęśliwie, ze zgrozą przypominają sobie zawsze chwilę, gdy urzędnik turecki utkwiał w nich wzrok badawczy. Za najmniejszą poszlaką podejrzenia, gdy naprzykład znajdują zawiniątko z przyrządem fotograficznym, (którego muzułmanie obawiają się bardzo, ponieważ religja zakazuje im zdejmować rysy postaci ludzkiej),—dłoń ciężka policjanta opada na plecy podróżnika i przenika go dwoje oczu dzikich. Biada wtedy niewiernemu, którego fanatycy podejrzewają o chęć znieważenia świętości miasta uświęconego, o chęć splamienia go swą obecnością nieczystą!

* * *

Ośmdziesiąt siedem kilometrów drogi oddziela Dżedde od miasta świętego. W czerwcu ruszają zwykle w drogę wielkie karawany urzędowe, do których należy *Machmal*. Ostatnia ta karawana wyjeżdża co roku z wielką uroczystością z Kairu, zanosząc do Mekki kobierzec święty, oraz podarki muzułmanów egipskich. Przeszła naprzód okropną rów-

ninę, pełną kości ludzkich, potem wkracza w kraj górzysty o ponurym wyglądzie. Jedzie się na osie, bez przerwy czterdzieści ośm godzin po jednakowym obszarze. Po drodze zdarzają się wypadki różne, przeszkody, zwłaszcza z powrotem, gdy wszyscy zmęczeni. Gdy pielgrzym pogrąży się we śnie słodkim, spowodowanym powolnym stąpaniem osła, którego dzwoneczki brzęczą jednostajnie w wielkiej ciszy pustyni,— zaprząg się zrywa nagle, niszczy i rozpada. Podróżnik staje na osie, mając głowę zwierzęcia między kolanami. Zwierzę



Uroczyste powitanie pielgrzymów wracających z Mekki.

ruszyć się nie może na głębokim piasku; na szczęście upadki nie grożą tu niebezpieczeństwem. Osioł czeka cierpliwie, dopóki jeździec, rzucony naprzód, nie uwolni mu głowy i szyi, poczem wstaje prędko.

Pielgrzym szybko zapomina o wszelkich trudach i niebezpieczeństwach z chwilą, gdy przekracza podwoje Ziemi świętej, oznaczające bliskość Mekki.

Mekka! to „dom boży“, punkt tajemniczy, gdzie się nie bo styka z ziemią. Ileż milionów dusz muzułmańskich zwraca się ku temu schronisku wiary przez tyle wieków! Ileż ust z gorącą wiarą ślubowało lub wypowiadało modlitwę: „Widzieć Mekkę, a potem umrzeć!“

Już to samo, że się było w Mecce, stanowi pewną zasługę. *El Hadzi*, „pielgrzym“ to tytuł, jaki się nosi do śmierci, jaki muzułmanin stawia wyżej, niż największe zaszczyty ziemskie. Ci, co odbywają każdego roku tę długą podróż, są z powrotem do kraju przyjmowani uroczyście, przy dźwiękach muzyki; ludzie wychodzą na ich spotkanie i odprowadzają ich tłumnie do wioski rodzinnej.

Gdy się przybywa do Mekki, ma się przedewszystkiem obowiązek porozumiewania ze swoim *metuafem*. Taką nazwę nosi urzędnik, który pełni czynności przewodnika podczas wszelkich obrządków religijnych, ujmuje się i odpowiada za współziomków i ugaszcza ich stosownie do zamożności i sumy pieniędzy, jaką otrzymuje. Wszystkie kraje muzułmańskie mają swojego *metuafa* w Mecce. Pod jego przewodnictwem i po pewnym odpoczynku, wierny, odbywszy podróż, udaje się do świętego meczetu w Haramie. Droga prowadzi przez wąskie ulice miasta, którego niezliczona ilość domów skupia się w głębi doliny, pomiędzy dwoma pasmami gór, szkaradnie poszarpanych i pozbawionych roślin. Wielki meczet wygląda, jakby ukryty w najniższej stronie miasta, jak jaje w głębi gniazda.

Parkan Harama tworzy wspaniałą kolumnadę wewnętrzną, nad którą wznosi się siedmdziesiąt pięć kopuł olśniewającej białości. Wewnątrz mieści się ogromne podwórze, pośrodku którego wznosi się budynek sześciokątny, cały malowany czarno. Jestto *Kaaba*, w której stronę spoglądają i kłaniają się pięć razy dziennie wierni ze wszystkich części świata. To nie jest bynajmniej grób Mahometa, znajdujący się w Medynie, ale to „dom Boga żywego.“

Z samego rana meczet zapełnia się codziennie pielgrzymami, którzy modlą się stojąc, z rękoma wzniesionymi do wysokości czoła, a dłońmi odwróconymi ku twarzy. Potem rzucają się obliczem do ziemi i opierając się na kolanach,

zostają tak czas długi, pogrążeni w rozmyślaniach. Skończywszy modły, przyłączają się do tysięcy wiernych, którzy obchodzą wokoło Kaabę, bosą stopą po taflach z marmuru szlifowanego, podobni do białych widziadeł.

Metuaf oprowadza w ten sposób siedm razy swych ziomeków, którzy powtarzają za nim modły, przepisane przez rytuał, głosem przyciszonym. Potem prowadzi ich do węgła budynku, gdzie na wysokości człowieka w oprawie srebrnej osadzony jest tajemniczy kamień czarny. Muzułmanie utrzymują, że kamień ten ofiarował Ismaelowi, synowi Abrahama, anioł Gabrjel. Pielgrzymi mają obowiązek dotykania oprawy i ucałowania kamienia świętego. W dniu sądu ostatecznego kamień odezwie się i wymieni nazwiska tych, co go całowali wargą czystą.

Obrządek pierwszy, tak zwany *Tuaf*, ukończony; teraz następuje drugi, *Sai*. Aby go spełnić, trzeba wyjść z meczetu i nawpół skacząc, nawpół biegnąc obejść ośm razy przestrzeń, pomiędzy jednym przysionkiem, zwanym *Safa*, a drugim—*Merowa*. Czyni to około 7 kilometrów razem, które obchodzi się, powtarzając za metuafem co do słowa modlitwy i litanje nieskończone. Potem wchodzi się do meczetu z powrotem, gdzie wierny, strudzony tym pochodem, pije wodę świętą, czerpaną ze źródła *Zem-zem*. Chrześcjanie lub inni „niewierni“ udławiają się, gdy jej skosztują choć jedną kroplę. Za dotknięciem tylko warg nieczystych, woda przemienia się w napój woniejący i obrzydliwy.

O godzinie dziesiątej rano pielgrzym je pierwsze śniadanie, składające się z kawałka mięsa siekanego i smażonego, kawałka ryby i kilku owoców. Potem, aż do modlitwy o godzinie trzeciej, zażywa odpoczynku, pilnie po trudach potrzebnego.

Wokół „domu bożego“ stoi uszeregowanych 20,000 pielgrzymów, nieruchomych jak posągi, z głową naprzód pochyloną, słuchając głosu kapłana, rozpoczynającego modlitwę wieczorną. Wszyscy ją powtarzają za kapłanem półgłosem, a wszystkie te szmery, wszystkie echa łączą się w jeden potężny głos wiary głębokiej. To wielkie światło, pod złotym zmrokiem nieba arabskiego, pozostanie na zawsze w oczach

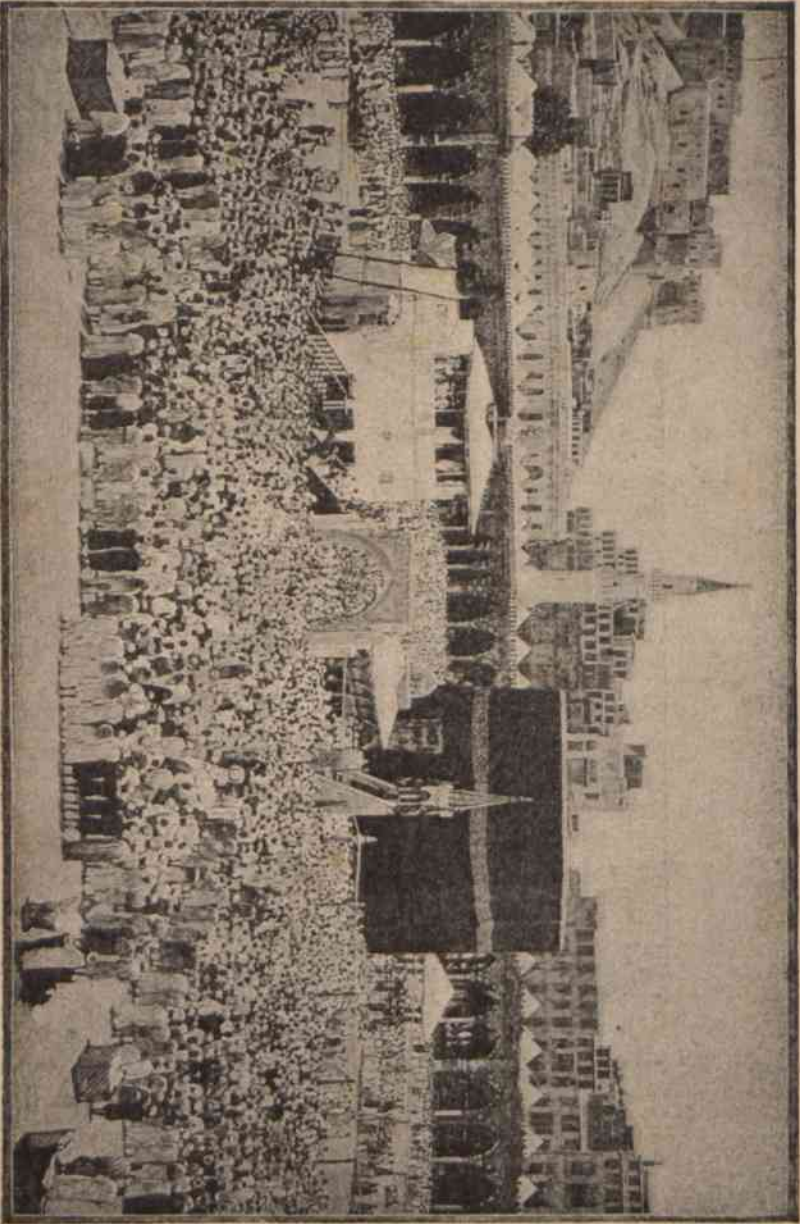
tych tysięcy ludzi, rozjaśni ich oblicze do samej śmierci. Życzeniem każdego muzułmanina jest przeżyć taką chwilę i umrzeć, by przedłużyć ją w życiu pośmiertnym, żeby służyła za wstęp uroczysty do życia wieczystego.



Młoda narzeczona w Mecce.

Dziewczęta ukazują się publicznie z zasłoną na obliczu; w dniu jednak zaręczyn siedzą one przed bramą domu z twarzą odsłoniętą.

Na zakończenie modlitwy, wszyscy padają na twarz dwa razy, a później życzą sobie wzajemnie *salam*. Jest to pozdrowienie braterskie, kończące służbę bożą.



Kaaba, największa świątynia mahometan.

Caaryi ten budynek, "dom Boga żywego," obiegają niedostrzeczane tłumy "wierzących."

Potem wraca każdy do domu, w którym zamieszkał, i przepędza tu noc na tarasie, znajdującym się we wszystkich domach w Mecce. Gwiazdy wielkie ślą łagodne światło na niebo pogodne i czyste podzwrotnikowej krainy.

Do Mekki przyjeżdżają modlić się, zdarza się jednak, że pielgrzymka ma pozatem na celu dążność niekoniecznie duchową. Wszędzie, gdzie się tworzą liczne zbiorowiska ludzi, kupcy i sklepikarze ciągną z tego korzyści. Dla handlarza każdy pielgrzym jest tylko klientem. Już za czasów starożytnych miasta, w których były świątynie, najliczniej odwiedzane, stanowiły zarazem giełdę kupiecką. W Mecce również, w mieście świętem, podczas pielgrzymek, odbywa się największy w świecie muzułmańskim jarmark. Kupcy napływają ze wszystkich okolic, w których panuje Islam.

Spójrzcie na drobne sklepiki, mieszczące się w krętych uliczkach, a ujrzycie w nich obfitość wszelakich dziwów i wszelkiego przepychu Wschodu. Jestto to widowisko, na które składają się wyroby metalowe, naczynia, konewki kadzience ustawione w formie minaretów, lampy ogromne z żelaza kutego i aużorowe, wiszące na sufie, jak latarnie koszyczkowe w meczecie; kobierce, kłębki wełny, jedwabie lśniące... W Mecce, jak we wszystkich miastach arabskich, rzemiosło każde ma swoją dzielnicę. Tutaj setki młotów kują metal; tam znów woń silna, aromatyczna, świadczy o wyrobie perfum, kadzideł, esencji pachnących, lub mebli z drzewa różanego. Złotnicy szczególnie tworzą poważny związek, którym zarządza szejk.

Cały prawie handel w Mecce znajduje się w rękach Indjan, stanowiących przeszło 75% ludności miejscowej. Dzięki pielgrzymkom, zalewają oni Azję i Afrykę swemi materiałami bawełnianemi, jedwabiem gorszego gatunku, wiktuałami, cukrem, kawą, ryżem, korzeniami, wyrobami rękodzielników i t. d. Francuzi uskarżają się na brak ich towarów w tych stronach. Anglja, przy pomocy swych poddanych indyjskich, coraz większe ma wpływy w Mecce i Arabji. Panowanie nad Egiptem pomaga Anglji zdobywać powoli nawet serce Islamu. Zazdrośni Francuzi powiadają, że jeżeli pozwolono Anglji rządzić się swobodnie na brzegu afrykań-

skim morza Czerwonego, to za to należy czuwać nad nią po drugim brzegu, gdzie z głębi świątyń rozlega się odgłos donośny, poruszający cały świat muzułmański!

*
*
*

Zawładnięcie Mekką przez Indjan grozi pozatem innem jeszcze niebezpieczeństwem, szerzeniem się zarazy morowej.

Dotychczas opisaliśmy stronę jasną przedmiotu; teraz przedstawia nam się nagle karta ciemna moru i śmierci.

Gdy spełniono raz obrządek, przez Koran przepisany, w samej Mecce, wszyscy pielgrzymi udają się na górę Arafat, leżącą o siedm lub ośm godzin drogi za miastem w stronie północno-wschodniej.

Tłum obozuje tutaj w otwartym polu, pod tysiącami namiotów, przy blasku wielkich ogni, jarzących się noc całą. Modły głośnie do Allacha, śpiewy radosne, którym wtóruje miarowe bicie dłońmi i w bębny; ostre krzyki sprzedających kawę, mruczenie 20,000 wielbłądów, rzenie koni, ryk mułów, które wstrząsają swemi ciężkimi naszyjnikami z cekinów,—oto co słyhać przez całą dobę, spędzoną na Arafacie. To istny jarmark pielgrzymek.

Około godziny trzeciej popołudniu odbywa się kazanie, które trwa do zachodu słońca. Co cztery lub pięć minut kaznodzieja powiewa chorągwią zieloną, czem daje hasło do krzyku: *Labbaika, Allahamma! Labbaika!* (Chwała Allahowi, Bogu wszechmocnemu).

Z Arafatu pielgrzymi przenoszą się do dzikie doliny Muni, albo *Czarki Djabelskiej*. Wyrwę w skale, „wyłom Abrahama“, uczynił sam patrjarcha nożem, zarzynając ofiarę. Tak przynajmniej opowiadają muzułmanie, którzy na uczczenie jej zabijają corocznie przeszło 120,000 owiec, wołów i wielbłądów, odwracając ich głowę w stronę Mekki. Przemienia to całą dolinę w rzeźnię straszliwą.

Od kilku lat jednak władze tureckie przedsiębiorą środki ostrożności. Zbudowano nowe zbiorniki wody do obmywań. Wystawiono szlachtuzy, otynkowane wapnem, oczyszczono samą wioskę Munę i uczyniono ją o wiele zdrowszą. Starają się wreszcie zakopać szybko ofiary zarżnięte, nad

którymi unoszą się sępy jeszcze przed odjazdem pielgrzymów. Po kilku zaś dniach piasek z pustyni, pałacy a ślizki, zasypuje wszelkie ślady nieczystości.

Jeżeli w końcu w Munie srożą się zazwyczaj epidemie, zagrażające często Europie całej, to nie biorą one tutaj początku; zaraza lub cholera przychodzi z Indji.

Trzeba przeto czuwać głównie nad Indjami i poddawać pielgrzymów indyjskich, przybywających do Dżeddy, poważnej kwarantannie. Ale Anglicy nie życzą sobie tego, bo



Czarny kamień Kaaby.

Pielgrzymi muszą dotknąć i całować święty kamień, który w dniu sądu ostatecznego przemówi i wymieni nazwiska sprawiedliwych.

ucierpiałby w tym razie handel! Wolą więc tłumaczyć, że Arabowie rzucają się w Munie na ścierwa zakopane, które zjadają na surowo, i to ma być przyczyną chorób!

* * *

Nie tylko okazałe widowisko tej pielgrzymki powinno zajmować ciekawość naszą. Europejczycy dobrzeby uczynili, zastanawiając się uważnie nad tym przedmiotem. Podczas

bowiem, gdy mocarstwa chrześcijańskie są w ciągłym niepokoju, wrywają sobie kawałami części ziemi, świat muzułmański odпочywa nieruchomo na szczątkach państw upadłych, do których należy: Memfis, Babilon, Palmir, Samarkanda.

Jest to sen tak, zdaje się, głęboki, że się go chętnie uważa jako śmierć, głosząc, iż wielki trup Islamu zapadnie się niezadługo w piaski Pustyni, gdzie się też narodził. Tak jednak nie jest; mahometanizm trwa w swej sile. Zaszczepić się zdołał w Europie, panuje nad połową Azji i większą częścią Afryki, ma za sobą ogromną liczbę wiernych. Islam żąda od nich tylko trzech obowiązków: modlitwy, postów i obmywań; trzech uczuć: pokory, uwielbienia i zaparcia się siebie. Mahometanizm pod postacią tej jedności moralnej skupia straszliwą jedność polityczną, która występuje zwłaszcza wyraźnie w Mecce.

To schodzenie się ogromnych tłumów do miasta tajemniczego w głębi Arabji; skupianie się coroczne tak wielkiej liczby pielgrzymów, jakiej świat nigdzieindziej nie ogląda, mieć może straszliwe dla Europy następstwa. Religja mahometańska od wieków rządzi każdym, czynem w życiu „wiernych“; ma na nich wpływ bezustanny. Trzeba o tem pamiętać stale i nie lekceważyć tego faktu.

Lecz, chociaż trzeba się starać, aby muzułmanie byli przekonani, iż Islam nie może mieć nadziei przekroczenia granic Europy; chociaż trzeba ich uczyć szacunku dla pozostałych wyznań, oraz dla dobrodziejstw cywilizacji, której ludzkość tyle zawdzięcza, należy jednak unikać w stosunku z nimi wszystkiego, co mogłoby oburzyć ich sumienie lub podrażnić uczucie religijne, głębokie i potężne w takich masach ludzi.

Korsarz Triplex.

(Powieść w 2 częściach).

(*Ciąg dalszy*).

Kapitan, zamknięty po drugiej stronie budynku, nie mógł zasnąć przez całą noc. Nasłuchiwał starannie, co się dzieje na dworze. Wiedział, że Tom ma próbować ucieczki i rozumiał dobrze, że, jeżeli zamiar się nie uda, zginie ostatnia nadzieja ratunku. Lecz czas mijał, a nic nie zakłóciło ciszy. Wreszcie zaczął się ruch. Oddział szykował się do drogi.

Kapitan z wzruszeniem zbliżył się do drzwi. Jeżeli Tom spełnił jego rozkaz, jeżeli zdołał umknąć, ucieczka wyjdzie zaraz na jaw. Serce biło mu młotem.

Minęło dziesięć minut. Nic... Więc Sammy nie umknął? Błady, z okiem pałającym, kapitan stał u drzwi i słuchał. Nagle twarz jego zajaśniała radością. Słychać było krzyki zdumienia, gniewu, jakiś ryk wściekły. Poznał głos All-smayne'a.

— Nie żyje! Zabity!—ryczał naczelnik policji.—I konia w stajni niema! Do trzystu djabłów! Czyżby ten przeklęty korsarz uciekł? Dalej, prędzej! Marsz do niego!

Na schodach dały się słyszeć szybkie kroki. Drzwi otworzyły się gwałtownie i cały oddział wpadł do pokoju Triplexa.

Lecz kapitan siedział spokojnie na łóżku. Strażnicy osłupieli.

— No, co?—krzyczał Allsmayne.

— Kapitan jest tu.

— Więc o co idzie? Dawać go tutaj! Zaraz dowiemy się wszystkiego.

Dwaj strażnicy pochwycili kapitana i prawie znieśli go ze schodów. Korsarz stanął przed obliczem Allsmayne'a, który przyglądał się uważnie zwłokom zabitego strażnika. Nareszcie Allsmayne zrozumiał wszystko. Otwarte okno doprowadziło go na domysł. Zajrzał do pokoju—był pusty.

— Aha! — mruknął,—jeden ptaszek wyfrunął. Mniejsza o to! Najgrubsza ryba jest w naszych rękach. Tem łatwiej jednego dopilnować! Tak, kapitanie, — dodał z zjadliwym uśmiechem, zwracając się do kapitana.—Teraz będziemy tak strzedz pana, jak matka nie pilnuje ukochanego dzieciątka. No, czas już, zuchy! — zwrócił się do żołnierzy.—Dzisiaj staniemy u „Trzech Strzał“ i odpoczniemy na pokładzie.

Za chwilę byli już na koniach. Oddział wyjeżdżał przez bramę, żegnany niskimi ukłonami gospodarza, który zrobił ubiegłej nocy świetny interes.

Około godziny czwartej po południu stanęli u „Trzech Strzał.“ Nad brzegiem widać było gromadkę marynarzy-opodal na rzece kołysała się szalupa parowa, na której Allsmayne odpłynął z pancernika. Wobec spóźnionej pory, odział zdecydował się przenocować na miejscu.

Rzeki australskie, obfitujące w wodę podczas pory de, szczowej, w lecie prawie wysychają, co przy wielkiej ilości nielizn i skał, nie pozwala na podróżowanie nocą.

Po wieczery cały oddział udał się na spoczynek. Kapitan zamknięto w kajucie, u której drzwi stanęło dwóch ludzi z nabitemi rewolwerami. Zdaje się jednak, że ten brak szacunku nie martwił kapitana, gdyż zasnął wkrótce snem tak spokojnym, jakby spoczywał między najlepszymi przyjaciółmi. Ciepła, wonna, gwiazdzista noc objęła ziemię. Cisza głęboka zapanowała naokół.

Nagle, o godzinie pierwszej w nocy zagrzmiał wystrzał. Wszyscy zerwali się na nogi. Alarm okazał się próżnym.

Szyldwach twierdził, że widział jakiś ciemny przedmiot, płynący po rzece, gdy jednak towarzysze poczęli żartować z niego, uwierzył sam, że był ofiarą złudzenia. W rzeczywistości jednak miał rację. Ciemny przedmiot — była to łódź, na której przyjechał korsarz. W łodzi znajdowali się majtkowie i Tom Sammy. W przekonaniu, że szyldwach mylił się, spokojnie pokładli się spać. Ze świtem udali się w dalszą drogę.

Na czwartą noc szalupa podpłynęła do pancernika.

Po wciągnięciu szalupy, korsarza osadzono w kajucie, z której drzwi zaopatrzone były w małe okrągłe okienka; przez nie strażnicy obserwować mogli każdy ruch więźnia.

Teraz Allsmayne mógł być już spokojny. Głębie oceanu lepiej strzegły więźnia, aniżeli cała armja strażników.

Dostawszy się do swej kajuty, Allsmayne zasnął tak smacznie, jak dawno nie zdarzało mu się. Teraz miał w ręku tego, kogo mógł wysłać na szubienicę, jako nieprzyjaciela Anglii, chociaż był tylko osobistym jego wrogiem. Ze śmiercią korsarza, zginął jego oskarżyciel, teraz już żadne niebezpieczeństwo nie groziło jego władzy, jego powadze.

Jedna tylko ciemna plama szpeciła ten jasny obraz.— To nadzieja Jenny, ale w chwili optymizmu Allsmayne nie zważał na to. Był przekonany, że żona jego, jak i wszyscy zresztą, schylą głowy przed jego powodzeniem, że zresztą potrafi otoczyć ją ściśle siecią szpiegów, którzy nie dopuszczą do niej Maddy, gdyby nawet rzeczywiście żyła.

Wstał późno. Lekkie kołysanie wskazywało, że kotwica już podniesiona. Zacierał ręce z radości, że nareszcie wiezie do Sidney korsarza, któremu zawdzięczał, że był pośmiewiskiem całego miasta. Zadowolony, uśmiechnięty wyszedł na pokład.

Wesołe głosy przerwały przyjemną jego zadumę. Przed nim stał Armand, a przy nim Oretta i Lozja, uśmiechnięte, ładniutki, w świeżych, eleganckich sukienkach.

— Dzień dobry, sir Allsmayne! — wołał dziennikarz. Przecież nareszcie powróciłeś pan. Jakże się pan czuje po podróży?

— Dziękuję, doskonale! Mam nadzieję, że pan ma się również dobrze... A panie wyglądają jak różyczki...

— Ach, komplement! Myślałem, że to się praktykuje tylko we Francji...

— Nie panie! Australja ma tak piękny klimat, że cześć dla dam może w niej wyśmienicie kwitnąć, zwłaszcza pod palącemi promieniami tak pięknych oczu.

— Coraz lepiej. Ale jakże się udała wyprawa?

Allsmayne wyprostował się dumnie.

— Staralem się o to i byłem pewny powodzenia.

— Więc korsarz Triplex?...

— Jest więźniem potrójnym... Oceanu, załogi i moim...

Wszyscy zamilkli. Uważny obserwator mógłby zauważyć, że na twarzy Armanda i jego towarzyszek nieznac było radości. A gdyby mógł czytać w sercu Lozji, przeczytałby taką myśl:

— Szkoda! Przecież korsarz był protektorem Roberta

Lecz Allsmayne był tak przejęty powodzeniem, że nie myślał nawet obserwować towarzystwa.

— Tak,—mówił,—miałem z nim jednak trochę roboty. Mądra sztuka i dobry gracz. Przegrał partję, ale tego po nim znać nie było. Od chwili, gdym go schwytał, aż do zamknięcia w kajucie, nie mogłem się ani razu na niego poskarżyć.

— Więc jest zamkniętym w kajucie?—zapytał niedbale Lavarede.

— I dobrze zamknięty, — odparł Allsmayne.

— Musi być straszny — zauważyła Oretta.

— Bynajmniej. Jest nawet bardzo przystojny. Oczy ma tak łagodne, że aż zdziwiłem się. To tygrys w owczej skórze.

— Ciekawa rzecz, — odezwała się Oretta. — Chciałabym bardzo zobaczyć tego korsarza.

— Nic łatwiejszego.

— Nie uważa pan mojej prośby za niestosowną?

— Bynajmniej. W drzwiach kajuty jest małe, okrągłe okienko, przez które można tam zajrzeć.

— Więc można go zobaczyć, nie będąc przez niego widzianym? To doskonale. Chodźmy więc! No, Armandzie, Lozjo, pójdziemy?

Allsmayne z grzecznym ukłonem podał rękę młodej kobiecie.

— Pozwoli pani?

— Z przyjemnością.

Zbliżali się już do schodów, prowadzących na dół, gdy do Allsmayne'a podszedł komendant okrętu, prosząc go o kilka minut czasu.

Naczelnik przeprosił „przyjaciół“ i zaproponował im, aby zeszli sami. Panie, nie czekając powtórzenia prośby, zbiegły ze schodów. W korytarzu szły tak spiesznym krokiem, że Armand nie mógł zdążyć za nimi. Teraz już nie śmiały się. Nie zwykła ciekawość, lecz uczucie wielkiej sympatji pociągało ich do korsarza, protektora Roberta.

On to podał rękę nieszczęśliwemu Francuzowi, on uwolnił Niari'ego, świadka niezbędnego do uszczęśliwienia Roberta i Lozji.

Po chwili zwolniły kroku, jakby zmieszane.

— Czy już się paniom odechciało poznać naszego tajemniczego sprzymierzeńca? — zapytał cicho dziennikarz.

Te słowa przerwały wahanie egipcjanki.

Trzy kajuty były obok siebie. Lozja zajrzała do jednej— była pustą. Gdy spojrzała w okienko drugiej kajuty, zobaczyła mężczyznę, stojącego nieruchomo. Postać zdawała się jej znaną. Widziała już gdzieś tę postawę zamyśloną. Westchnęła mimowolnie.

Jakby pod wpływem magnetyzmu, więzień odwrócił się.

Gdy Lozja spojrzała na jego twarz, zachwiała się i przycisnęła rękę do serca.

— Robert! — szepnęła głucho.

— Co pani mówi? — zapytał Lavarede.

Nie mogąc wymówić ani słowa, milcząc, wskazała ręką na okno. Armand rzucił się ku drzwiom, spojrzawszy w okno i ze zdziwieniem wyszeptał:

— Mój kuzyn!

— Co? on—korsarz Triplex?—zapytała Oretta, domyślając się, o co chodzi.

— On sam, — odparł Armand.

— Ależ to być nie może.

— Zaraz się przekonamy.

Decydując się szybko, jak zwykle, Armand wybiegł z korytarza, wyjrzał na schody i, nie widząc nikogo, znowu podbiegł do okna i zapukał.

Więzień drgnął. Podeszedł do okienka, poznał Armandą, zbladł, potem z uśmiechem dał mu znak, aby poczekał.

Wyjął z kieszeni notes, napisał w nim kilka wierszy, wydarł kartkę i podsunął pod drzwi, które na szczęście nie dochodziły szczelnie do podłogi.

Armand schwycił kartkę i czytał chciwie:

„Milczcie. Nikt nie powinien wiedzieć, kto jestem. W Sidney postarajcie się dowiedzieć, w którym więzieniu zostanę osadzony i powiedzcie o tem Jamesowi Pack, sekretarzowi naczelnika policji. Tym sposobem, może uda się nam połączyć.“

Po przeczytaniu, Armand spojrzał pytająco na więźnia, który kilka razy skinął głową, jakby potwierdzając to, co napisał.

Armand odpowiedział także znakiem, że spełni wszystko. Robert uśmiechnął się z zadowoleniem.

Na schodach rozległy się kroki. Skończyła się rozmowa więźnia z przyjaciółmi.

Lecz Lozja podeszła szybko do okienka i dotknęła czołem szyby. Robert zrozumiał jej myśl i przycisnął usta do zimnego szkła.

Był to czysty, cichy pocałunek, wymieniony między więźniem i jego narzeczoną.

W tej samej prawie chwili podeszedł Allsmayne, przepraszając panie za nieobecność, nie przypuszczając, jak była dla wszystkich przyjemną.

Zauważył jednak na twarzach pań jakieś niezadowolenie i mimowoli zapytał:

— Czyżby tak wzruszył panie widok tego wisielca?

Armand pospieszył odpowiedzieć za towarzyszki:

— Zdaje mi się, że patrząc na takiego słynnego bandytę, pomimowoli myśli się, co by było, gdyby się spotkało go na wolności?

Allsmayne roześmiał się wesoło.

— Czyżby taka myśl tak panie mogła wzruszyć?

— Cóż dziwnego? Przecież nie miały sposobności spotykać często takich korsarzy.

— Pewnie, ale mogą być spokojne.

— Ja też tak myślę.

— Triplex nikomu już krzywdy nie robi.

— Byłoby to za trudnem w jego położeniu.

— To położenie zmieni się wkrótce.

— Tak pan myśli?

— Jestem tego pewny. Triplex postawiony będzie przed sąd specjalny, jako oskarżony o zamach na bezpieczeństwo posiadłości angielskich. Ręczę, że za tydzień będzie wisiał, a wtedy przestanie być niebezpieczny.

Lozja nie mogła powstrzymać się od nerwowego wstrząśnienia, słysząc te okrutne słowa.

Allsmayne nie zrozumiał jej ruchu i ciągnął dalej z uśmiechem:

— Wiecie państwo, chciałbym ofiarować pamiątkę tego zdarzenia. Podobno we Francji istnieje przesąd, że postronek wisielca przynosi szczęście. Każę więc zostawić dla was po kilka centymetrów postronka, na którym ten łotr pożegna się ze swą grzeszną duszą.

Zadowolony z siebie, Allsmayne odprowadził towarzystwo na pokład. Wkrótce jednak, pod rozmaitemi pretekstami rozeszli się wszyscy, żegnając naczelnika, a po chwili już zebrali się w kajucie Lozji, która teraz dała folgę rzewnym łzom.

— Nie rozpaczaj pani, panno Lozjo! — powtarzał Armand. — Z listu Roberta widać, że James Pack także jest przeciwko temu nosorożcowi Allsmaynowi. Zobaczysz pani, że wszystko skończy się dobrze...

XI.

Zywy nieboszczyk.

Przejazd od ujścia rzeki do Sidney trwał jedenaście dni, lecz, pomimo starań, Armandowi nie udało się ani razu pomówić z Robertem.

Wprawdzie widywał go codziennie podczas spacerów po pokładzie, na które Allsmayne pozwalał, lecz więzień otoczony był zawsze policjantami. Wzrokiem tylko mógł się porozumieć z przyjaciółmi. Co prawda, spojrzenia były zawsze bardzo wymowne, zwłaszcza gdy były zwrócone na Lozję, ale, pomimo zapewnień poetów, spojrzeniami trudno się rozmówić.

Armand teraz zwrócił całą uwagę na Allsmayne'a. Udając chęć poznania społecznego, sądowego i administracyjnego ustroju Australji, zręcznymi pytaniami zdołał wyciągnąć z naczelnika policji wiadomość, że Robert, jako przestępca polityczny, za zamach przeciwko bezpieczeństwu Anglii, będzie osadzony w więzieniu, przeznaczonem wyłącznie dla tego rodzaju przestępców.

Od komendanta statku dowiedział się, że budynek ten nazywa się więzieniem Ś-go Makarego. Więzienie to było przerobione z dawnej cyfadeli. Ściany, nie mogące się oprzeć sile nabożów melinitowych, były jednak zupełnie wystarczające do zamknięcia w nich więźniów. Cele podziemne z wązkami strzelnicami, wybitymi w niezwyklej grubości murach nie pozwalały nawet myśleć o ucieczce.

Wszystkie te wiadomości nie przyczyniały się bynajmniej do uspokojenia przyjaciół korsarza. Uwolnienie więźnia zdawało się coraz bardziej nieprawdopodobnem.

Po przybyciu do Sidney, Armand był stroskany nie na żarty.

Jak dawniej, stanął z żoną i przyszłą kuzynką w tym samym hotelu „pod stulistną różą“ i natychmiast udał się na ulicę Paramara-Street, aby porozumieć się z Jamesem

Packiem, chociaż nie bardzo wierzył w skuteczność tego widzenia się.

W bramie domu spotkał wychodzącego Jamesa. Wesoły i uśmiechnięty sekretarz Allsmayne'a zdaleka już witał Francuza. Spotkanie to bardzo ucieszyło Armanda, który zachodził już w głowę, jak zobaczyć się z Jamesem, bez wzbudzenia podejrzeń Allsmayne'a.

— Dzień dobry, panie Lavarede!—mówił, podchodząc do dziennikarza.— Jak pan smutnie wygląda! Zbytecznym by było pytać o zdrowie...

— Zdrów jestem zupełnie, a pan?

— Dziękuję panu, czuję się doskonale.

— Ja wprawdzie zdrów jestem fizycznie, — rzekł Armand,—ale mam troski...

— Naprawdę?

— Upewniam pana. Jeżeli pan może poświęcić mi kilka chwil, to opowiem panu moje zmartwienie.

— Jestem do usług pańskich.

— Więc przejdźmy się trochę. Boję się, aby nas nie podsłuchano.

W oczach Jamesa błysnęło coś, jakby lekki uśmiech, nie odpowiedział jednak nic i poszli razem.

Gdy skręcili w boczną, odludną ulicę, Armand przystąpił do spełnienia polecenia brata stryjecznego.

— Mam do pana polecenie, panie Pack,—zaczął niepewnym głosem.

— Polecenie? Od kogo?

— Od korsarza Triplexa.

— Ah! od korsarza Triplexa? Tego, którego mój sprytny szef upolował w górach Breamstone?

— Tego samego.

— Czy pan nie wątpi w jego autentyczność? — zapytał z pewną ironją.

Lavarede spojrział ze zdziwieniem.

— Bądźmy szczerzy, panie Lavarede. Jestem panu, rzecz prosta, bardzo wdzięczny za to, że pan przyjął polecenie, muszę jednak objaśnić pana, że napróżno pan się kłopotał. Wiem już o wszystkim.

— O wszystkim?

— O wszystkim bez wyjątku. Wiem nawet, po co pan fatygował się do mnie.

— Przesadzasz pan...

— Bynajmniej.

— Proszę o dowody.

— Więzienie świętego Makarego.

Armand skłonił się tylko.

— Masz pan słuszność. Chciałem właśnie zakomunikować panu tę nazwę. Więc tym sposobem życzenie więźnia już spełnione.

— Po części. Ale on ma także drugie życzenie.

— Jakie?

— Wydostać się z więzienia.

— Rzeczywiście, tak jest. Ale to chyba rzecz nie łatwa.

— Powiem panu, że pański kuzyn już jest innego zdania...

— Już?... To znaczy, że panu udało się już z nim porozumieć?

— Do tego nawet stopnia, że wiadomy już jest termin, w którym wyjdzie z więzienia. To nastąpi pojutrze. Tymczasem wracaj pan do domu i bądź gotów iść z tym, kto będzie do pana przysłany.

I nie czekając odpowiedzi zdumionego Francuza, James odwrócił się na pięcie i zniknął za rogiem Paramara-Street.

— Nie! — mówił do siebie Lavarede, — nigdy jeszcze w życiu nie spotkałem takiej kombinacji tajemnic. Zresztą, — dodał, machnąwszy ręką, — niema dotąd nic rozpaczliwego. Trzeba iść lepiej do domu. Oretta a jeszcze bardziej Lozja ucieszą się nowinami, które im przyniosę.

W tym samym czasie Robert siadał do powozu w towarzystwie dwóch policjantów. Powóz potoczył się szybko po wązkich ulicach starego miasta, potem po szerokich, równych ulicach nowej dzielnicy i zatrzymał się przed bramą starej cytadeli.

Straż więzienna przyjęła Roberta, za którym natychmiast zamknęła się brama. Poprowadzono go do pokoju, gdzie oczekiwał na więźnia urzędnik z piórem w ręku.

Teraz Robert mógł się przekonać, jak dalece w Australji szanują wolność osobistą każdego.

Zobaczywszy Roberta, urzędnik spojrział na leżącą przed nim kartkę i z grzecznym ukłonem zapytał:

— Pan jesteś korsarz Triplex?

Narzeczony Lozji pochylił głowę.

— Dobrze. W Europie istnieje brzydki zwyczaj dodawać numer do nazwiska aresztanta, lecz my, wolni synowie Australji, uważamy to za zamach przeciwko wolności osobistej. A zatem, co pan wolisz: pozostać przy dawnym nazwisku, czy też przybrać pseudonim?

Robert spojrział na mówiącego zdumiony.

— Jeżeli pan tak szanuje swobodę, to możeby wypuścili mnie ztąd? — zapytał wesoło, co było dość dziwnem w jego położeniu.

Uwaga ta tak rozśmieszyła urzędnika, że aż w oczach jego stanęły łzy.

— Wszystko, byle nie to, — odpowiedział po chwili.

Nie my przecież zamykamy pana tutaj, lecz społeczeństwo. Wśród tych ścian jesteśmy wszechmocni, lecz władza nasza kończy się u wrót więzienia. Ale przekonasz się pan, że i tutaj pozostawiamy więźniom wielką swobodę. Prawdopodobnie pan, panie korsarzu, — dodał uprzejmie, — będziesz chciał zająć lokal jaknajwygodniejszy?

— O ile to możebne.

— Zapewne także żywność więzienna nie będzie dla pana odpowiednią. Czy nie wolałby pan otrzymywać obiady z miasta?

— Uprzedzasz pan moje życzenia.

— Cieszę się, że panu dogodziłem. Muszę dodać, że panu przysługuje prawo żądać wszystkiego, co się panu podobą, ma się rozumieć, za odpowiedniem wynagrodzeniem. Nawet w razie, jeżeli wyrok sądu okaże się panu nie wygodny, możesz pan kazać dać sobie trucizny. Nie naprzykrzam się, ale, w razie potrzeby, apteka więzienna będzie do usług pańskich. Radzę panu udać się tam, gdyż ceny są daleko niższe od cen w aptekach miejskich.

Robert pomimowoli roześmiał się, słysząc propozycję. Wesołość jego zrobiła dobre wrażenie na urzędniku.

— Mówię z panem, jak z nowicjuszem,—mówił z uśmiechem,— a pan zapewne dość ma doświadczenia w takich sprawach. A może pan już ma w kieszeni środek, który uwolnić pana może od szubienicy? Nie potrzebuje pan ukrywać tego,—dodał, widząc ruch przeczący więźnia.—Masz pan do tego prawo. Rewidować pana nie będziemy, ten barbarzyński zwyczaj starego świata nie jest u nas w użyciu. Więc zapisałem już: „Korsarz Triplex—oddzielny pokój—3 szylingi na dobę—obiad z miasta—8 szylingów.“ Czy to nie będzie za drogo?

— Nie, zgadzam się.

— Crosby, — rzekł urzędnik do jednego ze stróżów, — proszę zaprowadzić pana do pokoju № 2 i pamiętać, aby miał wszystko, czego potrzebować może.

Skłonił się uprzejmie więźniowi i wziął się znowu do pisania.

Na znak, dany przez Crosby'ego, Robert wyszedł z pokoju, przeszedł liczne podwórza i ciemne korytarze, aż wreszcie znalazł się w obszernym pokoju, zaopatrzonym w łóżko, szafę, lustro, umywalnię, jednym słowem, umeblowanym bardzo porządnie. W zakratowanym oknie wisiała wzorzysta firanka, na podłodze leżał gruby dywan.

— Nie źle tu,—rzekł fałszywy korsarz.

Twarz stróża rozjaśniła się uśmiechem.

— Och, sir, to najlepszy pokój w całym więzieniu. Gdy pan stanie na krześle, będzie widział całą dolną dzielnicę miasta i port. Śliczny widok, powietrze doskonałe. Szkoda tylko, że nieporozumienia ze sprawiedliwością nie pozwolą panu na dłuższy tutaj pobyt. Ale ja tu gawędzę, zamiast pomyśleć o śniadaniu. Niedaleko stąd jest restauracja, w której dają takie pyszne potrawy, że zapach ich wskrzesiłby umarłego.

I uprzedzająco grzeczny stróż więzienny, odgadując życzenie swego „klijenta“, szybko ułożył menu obiadu, który wystarczyłby dla dziesięciu osób. Zdaje się, że liczył na to, że resztki z obfitego śniadania dostaną się jemu.

Wszystko to nie przeszkadzało mu, aby, wychodząc po śniadanie, zamknąć drzwi starannie. Zgrzyt zamku i ciężkich zasuw przypomniał więźniowi, że wprawdzie myślą tu o zaspokojeniu potrzeb żołądka, lecz nie zważają na naturalną chęć wydostania się z gościnnego miejsca.

Gdy został sam, zmarszczył czoło i zaczął chodzić po pokoju.

— Aby tylko Armand zdążył uprzedzić Jamesa... aby James był obecny w Sydney...—mówił do siebie gorączkowo, — a może go nie ma.. Wtedy nieszczęśliwy ja i—nieszczęśliwa Lozja!

Rzeczywiście, każda zwłoka mogła stać się zgubną dla Roberta. Nie tajono przed nim, że sprawa jego skończy się prędko, a perspektywa być powieszonym i z wysokości szubienicy przesłać ostatnie pożegnanie narzeczonej, przyniotłaby najweselszego nawet człowieka.

Wkrótce powrócił Crosby. Uprzejmy stróż niósł koszyk, pełen talerzy, szklanek i butelek. Nakrył prędko do stołu, rzucając od czasu do czasu na więźnia smutne spojrzenia. Zdawało się, że chciał coś powiedzieć, lecz nie śmiał. Gdy skończył nakrywać, zdecydował się wreszcie.

— Panie korsarzu!—odezwał się nieśmiało.

Robert odwrócił się.

— Jakiś pan na ulicy kazał mi wręczyć panu pakiecik.



Wszystko to nie przeszkadzało mu zamknąć drzwi starannie...

Robert drgnął.

— Dawaj, przyjacielu! — zawołał.

— Sir, oddam ją panu. Ma pan prawo otrzymywać wszystko, co się panu podoba. Jest to małe opieczętowane pudełeczko. Przedtem jednak chciałem przedstawić panu moją prośbę...

— Mów, przyjacielu.

— Widzi pan... Może to jest trucizna, o której mówił dziś nadzorca. — Niech się pan nie spieszy z jej zażyciem... Mam liczną rodzinę, siedmioro dzieci... To, co zarobię od więźniów—to główny mój dochód...

Naiwna prośba rozśmieszyła Roberta. Więc nadzorca mówił prawdę, że więzień korzystać może nawet z praw samobójstwa.

— Podług mego obliczenia, jeżeli przystanę na szubienic, pozostaje mi około tygodnia życia,—rzekł Robert.

— Mniej więcej.

— Ile, przyjacielu, zarobisz przez ten czas?

Stróż pomyślał chwilę.

— Dwa szylingi dziennie. Czy to nie za dużo?

— Ależ nie! Więc razem szesnaście szylingów.

— Tak jest.

Robert sięgnął do kieszeni, wyjął banknot pięćofuntowy i podał go Crosby'emu.

— Oto sto szylingów...

— Niemam reszty, sir...

— Weź, przyjacielu, wszystko i oddaj mi pudełeczko.

Stróż z niskim ukłonem oddał Robertowi opieczętowane pudełeczko, które ten chwycił skwapliwie.

— Niech pan się wstrzyma jeszcze, — mówił szczerze wzruszony Crosby, — może jest jeszcze jaka nadzieja...

Robert dał mu znak, aby wyszedł z pokoju. Chciał jaknajprędzej zostać sam.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za stróżem, rozerwał szybko sznurek, oderwał pieczęć i otworzył pudełko. Spojrzał i osłupiał. Dno pudełeczka było wysłane watą, na której spoczywał mały flakonik z płynem bezbarwnym. Na etykiecie napis: „Cjanek potasu“.

Więzień spojrział na flakon z przerażeniem. Wiedział, że jedna kropla tej strasznej trucizny wystarczy do sprowadzenia śmierci natychmiastowej. Czyżby przyjaciele jego stracili wszelką nadzieję ocalenia i radzili użycie środka, jak przed chwilą nadzorca więzienia?

Wyjął ostrożnie flakonik. Na dnie pudełeczka spostrzegł małeńki zwitek papieru. Znalazł nareszcie wyjaśnienie zagadki. Drżącą ręką rozwinął zwitek.

„Nie obawiaj się i wierz,—czytał Robert,—wypij wszystko do ostatniej kropli. Kartkę spal.“

— To jego charakter, jego! Dobrze! Nie będę obawiał się... Do ciebie, dziwna istoto, należy wola moja, w twoich rękach—los mój... Jestem posłuszny...

Blady z wzruszenia, zapalił zapałkę i zbliżył ją do cienkiego papieru. Gdy papier spłonął, rozdmuchał starannie popiołek, tak, że po chwili nie było już najmniejszego śladu listu.

— No, teraz trzeba przygotować inny list.

Z niezwykłym spokojem podszedł do stołu, wydarł kartkę z notesu i napisał zwykły list samobójcy:

„Umieram z własnej woli. Proszę nie oskarżać nikogo o śmierć moją.“

Położył kartkę naw idocznem miejscu i wziął do ręki fatalny flakonik.

— Czas dać dowód, że nie boję się i wierzę!

Położył się na łóżko. Bolesny uśmiech wykrzywił mu usta.

— W każdym razie, Lozjo, umieram z imieniem twym na ustach!

Wyjął korek. Silny zapach gorzkich migdałów nappełnił pokój. Zamknął oczy, wziął do ust szyjkę flakonu i wypił płyn odrazu.

Dreszcz przebiegł po jego ciele. Chciał wstać, lecz nie mógł i upadł ciężko na poduszki. Flakon wypadł z odrętwiałych palców i z brzękiem potoczył się po podłodze. Wszystko ucichło. Na łóżku leżało nieruchome ciało Roberta. Twarz zsiniała, na ręce wystąpiły ciemne pręgi.

W parę godzin potem Crosby wszedł do pokoju Triplexa. Krzyknął mimowoli, spostrzegłszy nieruchome ciało więźnia. Podbiegł ku niemu, wziął za rękę, ręka była zimna.

— Biedak wybrał truciznę,—mówił ze smutkiem. — Żal mi go. Chociaż to korsarz, ale człowiek szlachetny. I komu on krzywdę zrobił? Chyba tylko policji.. Niema co, gadanie nie powróci mu życia. Trzeba dać znać władzy.

Z przyzwyczajenia zamknął drzwi i poszedł zameldować o wypadku nadzorcy. Nadzorca zawiadomił dyrektora więzienia, barona Dollbessa'a, który natychmiast wysłał z wieścią do Allsmayne'a swego pomocnika Combeya'a.

Pomocnika dyrektora wprowadzono natychmiast do Allsmayne'a, który zajęty był w gabinecie z Jamesem Packiem.

Gdy Combey przedstawił się, Allsmayne powitał go grzecznie.

— Dotychczas, panie Combey, niemiałem przyjemności znać pana osobiście. Cieszę się, że mogę poznać się z panem i podziękować za przyjemność, jakiej doznałem, czytając dzieło pańskie o małpach kuli ziemskiej.

— O, sir, — odparł skromnie Combey. — Wielki uczony wyrzekł dawno, że człowiek pochodzi od małpy. Studjując życie małp, oddaję cześć przodkom. Tym razem jednak, przychodzę nie jako autor, lecz w charakterze pomocnika dyrektora więzienia Śgo Makarego.

— Co się stało?—zapytał żywo Allsmayne.

— Smutny wypadek. Korsarz Triplex...

— Uciekł? — ryknął, zrywając się z krzesła Allsmayne.

— Uciekł od życia,—uspokoił go Combey. — Jest to jedyny sposób ucieczki, możliwy w murach naszego więzienia.

— Więc umarł?

— Tak. Zażył truciznę. Jak pan wie, nie rewidujemy więźniów, pozostawiając im możliwość wyręczenia sprawiedliwości.

Allsmayne nie słuchał. Wielkimi krokami chodził po pokoju, aż nagle zwrócił się do urzędnika.

— Bądź pan łaskaw, panie Combey, pofatygować się ze mną. Pojedziemy razem do więzienia. A pan, panie Pack,

pozostań tutaj. Wróć za trzy kwadransy i będę pana potrzebował.

Wyszedł spiesznie z pokoju i w parę minut powrócił ubrany już do wyjścia.

— Więc pan poczeka na mnie, — powtórzył raz jeszcze Jamesowi.

Schwycił Combey'a za ramię i pociągnął za sobą. Na ulicy zawołał przejeżdżającą dorożkę, wepchnął w nią pomocnika dyrektora z takim impetem, że ten o mało nie wyliciał na drugą stronę i krzyknął:

— Więzienie Ś-go Makarego! Prędko!

Za kwadrans podróży, stanął u wrót więzienia.

Cała służba więzienna wybiegła na spotkanie naczelnika policji.

Allsmayne kazał się zaprowadzić do celi Triplexa, sam namacalnie przekonał się o śmierci nieprzyjaciela, myśląc z radością, że teraz już nie stanie mu na drodze. Radość ta miała taki skutek, że przed odjazdem z więzienia pochwalili panujący w zakładzie porządek i przyrzekł przedstawić cały personel do nagrody.

Wracając do domu, przez całą drogę nucił wesołe aryjki, dorożkarza zaś zadziwił książęcym napiwkami.

Niepokój, jaki męczył go od dwóch miesięcy, zniknął bezpowrotnie. Był teraz szczęśliwy, a w chwilach szczęścia, nawet najgorsi ludzie stają się wspaniałomyślni. I Allsmayne teraz chciał być dla wszystkich przyjemnym. Samobójstwo korsarza było najlepszym wyjściem, jakiego mógł się spodziewać. Tym sposobem uniknął sprawy sądowej, której skutki mogły być dla niego bardzo nieprzyjemne.

Wszystko ułożyło się nadzwyczaj korzystnie dla naczelnika policji. Wrócił wesoły i uśmiechnięty do gabinetu, gdzie oczekiwał go sekretarz.

— Dobrze, że pana tu zatrzymałem! — zawołał wchodząc. — Musimy teraz spieszyć się, aby prędszej wyprawić pogrzeb Triplexowi.

W głosie Allsmayne'a dźwięczała taka serdeczność, jakiej James nigdy u niego nie spostrzegł.

Oko sekretarza strzeliło błyskawicą.

— Więc Triplex umarł rzeczywiście? — zapytał.

— Widziałem trupa na własne oczy. Spozrzegł się, że sprawę przegrał, zażył więc cjanku potasu. Jak te łotry boją się szubienicy! Przecież pozbyliśmy się go!

James skłonił się i wyszedł. Wstąpił najprzód do biura i posłał jednego z urzędników do więzienia, a sam udał się do akademji, aby zawiadomić, że sekcja zbyteczna.

Szedł prędko, a na twarzy jego malowało się takie zadowolenie, że go aż zatrzymał znajomy reporter.

— Co pan tak promieniejesz, panie Pack? Może pan ma jaką nowość dla mnie?

— Jeszcze jaką!

— Co, mów pan, na miłość Boską!

— Tragiczna śmierć korsarza Triplexa. Umarł dziś rano. Ale spieszę się; jeżeli pan chcesz, to szczegóły otrzymasz od zarządu więzienia Ś-go Makarego.

— Dziękuję panu. Pędzę tam.

James popatrzył za nim i poszedł dalej. W akademji spełniwszy polecenie, James nie wrócił do domu, lecz udał się do portu handlowego. Nagle spojrzenie jego padło na trzech majtków, łowiących niewielką siecią ryby. Majtkowie nie zwrócili na niego uwagi. James obejrzał się dokoła i widząc, że nikt na nich nie patrzy, wymówił cicho:

— Jutro wieczorem dziesięciu ludzi do hotelu „pod stulistną różę“. Dziecko jest tam.

— Dobrze, — odparł jeden z majtków, nie przerywając roboty.

Wieczorem sprzedaż uliczna dzienników doszła do rozmiarów niebywałych. We wszystkich pismach wieczornych widniał na pierwszej stronie wielki tytuł:

„Sensacyjne samobójstwo. Otrucie korsarza Triplexa.“

Armand, stosownie do polecenia Jamesa, powrócił do hotelu, opowiedział towarzyszkom spotkanie z Jamesem i nie wychodził już z domu. Wieczorem siedzieli wszyscy troje w sali ogólnej i zabawiali się grą w szachy. W tem na ulicy rozległy się wołania roznosicieli gazet.

Armand zbladł i spojrzął na egipcjanke. Lozja słyszała także wołania i osłupiała z przerażenia.

— Niech pani pójdzie do swego pokoju, — wyrzekł Armand.

— Nie pójdę. Chcę zobaczyć gazetę.

Nie zwracając uwagi na protesty Armanda, wstała z krzesła, i jak automat zeszła po schodach na ulicę. Armand siedł za nią, nie śmiaąc wstrzymać jej. Lozja obejrzała się wokoło, spostrzegła roznosiciela i zawołała go. Nie mówiąc ani słowa, wzięła gazetę, zapłaciła i znów weszła po schodach na górę. Wszedłszy do pokoju swego, przycisnęła guzik lampy elektrycznej, rozłożyła gazetę i przebiegła wzrokiem fatalny artykuł.

— Umarł! — jęknęła boleśnie. Umarł, umarł! Wszystko skończone!

Armand i Oretta milczeli. Jakież mogli znaleźć słowa pociechy!

— Umarł, umarł! — powtarzała Lozja.

Straszne te słowo brzmiało w uszach słuchających, jak jęk konania.

W tem zapukano do drzwi i na progu ukazał się James Pack.

— Spóźniłem się jednak! — wyrzekł cicho.

Lozja zapanowała nad sobą. Utkwiła zapłakane oczy w Jamesa, jakby oczekując od niego zbawienia.

— Darujcie państwo, — mówił James, — spieszyłem się bardzo, ale zatrzymano mnie. Miss Lozjo! Narzeczony pani zmartwychwstanie. Czyż mógłby umrzeć ten, kogo pani pokochała? Nie żądajcie państwo wyjaśnień... Muszę milczeć... Ale jutro przyjdzie tu człowiek, który powie: „Przysłał mnie James Pack,“ idźcie za nim i przekonacie się, że...

— Że?... — chciwie pytała egipcjanka.

— Że, pomimo wszystko, pomimo artykuły w gazetach, pomimo, że teraz leży zimny i nieruchomy, pomimo, że jutro zostanie pochowany, — Robert Lavarede, którego wzięto za korsarza Triplexa, będzie jutro żywy i zdrowy, rzysięgam pani...

— Ależ to samobójstwo? Ta śmierć?...

— To tajemnica tego, kto poświęcił życie, aby naprawić złe, wyrządzone przez innych. Więcej powiedzieć nie mogę. Mogę tylko powtórzyć: nieboszczyk Robert Lavarede jest zdrów.

Ucałował rękę Lozji i skierował się ku wyjściu. We drzwiach zatrzymał się i przycisnął palce do ust.



— Jutro wszystko się wyjaśni...

— Nikomu ani słówka, — rzekł. — Jutro wyjaśni się wszystko.

Skłonił się raz jeszcze i wyszedł.

Armand i obie panie uspokoiły się, lecz nie rozumiały nic.

XII.

W mieście zmarłych.

Nazajutrz wieczorem, w domku stróża cmentarnego odbywała się uczta wspianiała. Stróż przepijał z przyjaciółmi sute wynagrodzenie, które otrzymał przy następujących okolicznościach.

Przed wieczorem przybył na cmentarz orszak pogrzebowy. Chowano tego, co za życia był w oczach policji korsażem Triplexem, a sam uważał się za Roberta Lavarede.

Za karawanem szła straż więzienna, policja, pochód zaś zamykał sam naczelnik policji, sir Tobjasz Allsmayne, w towarzystwie, sekretarza Jamesa Packa.

Wpuszczono trumnę do przygotowanego poprzednio grobu, grabarze zasypali dół niedbale, jak przy tego rodzaju pogrzebach i wszyscy się rozeszli. Przed odejściem jednak, tryumfujący i promieniejący sir Allsmayne, chcąc chociaż w małej części podzielić się z kimkolwiek swem szczęściem, dobył z kieszeni sakiewkę i dał stróżowi cmentarnemu dwie gwineje.

I James Pack, idąc za przykładem szefa, dał mu drugie tyle.

Cztery gwineje! Ładny zarobek dzienny dla stróża cmentarnego.

Więc czcigodny Jeremjasz Loker postanowił godnie uczcić wesolą kolacją niespodziewany dochód.

Małżonka jego, marząca blondynka, obdarzona usposobieniem romantycznym i zarazem zdrowym żołądkiem, zajęła się przygotowaniem wieczerzy, stróż zaś poszedł zaprosić przyjaciół, do których głównie zaliczał ogrodnika cmentarnego i kamieniarza, wyrabiającego pomniki.

Wszyscy ci ludzie, żyjący z łupu śmierci, byli pomimo to weseli i chciwi wesela świata tego. Obfita wieczerza i dostateczna ilość trunków wkrótce doprowadziła wesół humor biesiadników do tego stopnia, że jeden z nich zaczął żartem uciszać wesole towarzystwo, aby hałaśliwym zacho-

waniem się nie przeszkadzali tym, co śpią snem wiecznym na cmentarzu.

Uwaga ta wywołała śmiech ogólny. Gospodarz chciał zatrzeć dowcip gościa.

— Ba!—zawołał.—Jeżeli korsarz Triplex, którego dzisiaj pochowaliśmy, zażąda od nas spokoju, to proponujemy mu szklaneczkę brandy, a wtedy, ręczę wam, zaczniesz śpiewać razem z nami.

— To być może, ale jak my byśmy wtedy zaśpiewali?— zauważył jeden z biesiadników, tchórzliwszego usposobienia.

— Dlaczego?

— Ja tam nie mam ochoty spotkać się z nieboszczykiem.

Grad żartów posypał się na bojaźliwego biesiadnika.

— Gadaj ty komu innemu o nieboszczykach. — wołali jeden przez drugiego. — Pewnie już ci we łbie zaczmerzało! My wiemy dobrze, że się z tamtego świata nie wraca...

Pomimo, że butelki krążyły dalej ochoczo, biesiadnicy nieco spowaźnieli. Rozmowa wzięła obrót ponury. Każdy opowiedział jakąś historję o cudach, o duchach, o żywych nieboszczykach.

Przy rozmowie szklanki wypróżniały się coraz prędzej, aż wreszcie zapas trunków wyczerpał się. Wtedy biesiadnicy zauważyli, że jest już północ, pożegnali więc gościnnego gospodarza i rozeszli się do domów.

Jeremjasz Loker pozostał sam na sam z żoną.

— Położę się, — rzekła romantyczna niewiasta. — Zdaje się, że zjadłam cokolwiek za dużo baraniny... Jakoś mi nie-dobrze.

Małżonek miał zasadę wątpić, aby baranina była przyczyną niedospożyci żony. Widział, że jego towarzyszka, zapewne przez grzeczność, piła razem z gośćmi, nie opuszczając ani jednej kolejki brandy, był jednak na tyle delikatny, że nie uważał za stosowne poruszać tej kwestji.

— Dobrze, aniołku, — odpowiedział tkliwie, — połóż się spać, a ja pójdę obejść, jak zwykle, cmentarz. Nie trzeba zaniedbywać obowiązków.

Chora położyła się, a stróż wziął się do zapalania latar-

ki. Lecz ręce jego drżały tak, że w żaden sposób niemógł dokonać tak prostej czynności.

— Zresztą, po co latarka, kiedy księżyc świeci,—zauważył po próżnych wysiłkach. I tak wszystko zobaczę... Ale brandy — to tęgi trunek... Czy mi się zdaje, że w głowie mi się kręci. Dobrze będzie przejść się po powietrzu.

Zataczając się lekko, podszedł do tablicy, na której zwykle wisiały klucze od wrót i furtek cmentarza.

— Co u diabła! — zawołał. — Jakoś nie widać klucza od furtki № 4.—Gdybym widział dwa, zamiast jednego — no, to się zdarza, zwłaszcza po wypiciu... Ale patrzcie państwo! niema ani jednego!...

Przetarł oczy i spojrzął raz jeszcze na próżny kołek.

— Niema klucza!... Uciekł... Mniejsza o to, nóg niema, daleko nie zajdzie... Pewnie leży gdzie w kącie. Przy takim rozgardjaszu, jak dziś, mógł się łatwo zarzucić. No, trzeba jednak iść...

Otworzył drzwi i wyszedł na dwór.

Noc była wprawdzie księżycowa, lecz po upalnym dniu ziemia parowała tak, że powietrze przesłonięte było mgłą, której światło księżycowe nadawało blaski opalowe.

— Masz tobie! Co za mgła! Niby widno, a nic nie widać...

Mrucząc, szedł aleją cmentarną.

— Albo też, co to za droga! Jakies górki i dolki, przejść nie można...

Droga, na którą oburzał się, była nie tyle winna, co brandy. Trzeba jednak przyznać, że, chociaż ciało szanownego Jeremjasza chwiało się i zataczało, duch pozostał trzeźwym.

— Ślicznie wyglądają w tej mgle pomniki! Zupełnie jak wojsko, którego generałem jestem ja. Ba, gdyby powstałi wszyscy ci, co tu leżą, byłaby ładna armja. Ale nie wstanie żaden!... Głupstwa gadał ten Fok! Wymyślił strachy jakieś, duchy! Ha, ha, ha!

Śmiech pijaka rozległ się pomiędzy pomnikami.

Nagle zatrzymał się i obejrzał dokoła.

— A to co!

Zaczął słuchać, lecz na cmentarzu panowała cisza.

— Wódka huczy we łbie! — myślał głośno. — Ale co u diabła! Cmentarz zrobił się taki wielki! Idę, idę a końca nie widać! Co to za porządki! Pewnie zarząd pozwolił sobie rozszerzyć cmentarz bez mojej wiedzy... Ładne porządki!...

Powietrze rozmarzało stróża. Był coraz bardziej pijany. Zatoczył się tak silnie, że uderzył się ręką o pomnik.

— Ki djabeł! Uderzył mnie, naprawdę! a niby nikogo nie widać... Muszę poprosić o psa, będzie mi raźniej chodzić po cmentarzu...

— No, ale to cuda. Śmiałem się z nauczyciela, który twierdził, że ziemia się obraca. A miał rację. Czuję to dobrze, jak się kręci.

Rzeczywiście zdawało mu się, że ziemia usuwa się z pod nóg. Nagrobki, pomniki, krzyże, płyty, kapliczki—wszystko kręciło się w jedną stronę, niebo i gwiazdy w drugą. Schwycił się ręką za pomnik, aby nie upaść.

Siadł powoli na ziemi, oparty plecami o pomnik. Tak było mu lepiej.

— Teraz kręćcie się sobie, a mnie dobrze siedzieć...

Nagle zamilkł i wytrzeszczył oczy. Usłyszał szelest kroków.

— Doprawdy, chodzi ktoś! Pewnie zablądził tak, jak i ja! Trzeba by go wyprowadzić... Ale, jak on się tu dostał? Czy ja aby napewno jestem na cmentarzu? Ale tak, przecież pod tą oto brzozą pochowaliśmy Triplexa... Zuch korsarz! Wypiłem też dzisiaj za niego...

Rozrzewnił się.

— Biedny korsarz! I po co życie sobie odbierał? Teraz już nawet napić się nie może. Ale śpij spokojnie! Wypiłem porządnie za nas obydwóch. Ale szkoda go, dalibóg, czuję, że mi łzy z oczu płyną...

Otarł pięścią łzy, spływające mu po twarzy.

Pod brzozą ukazały się postacie kilku ludzi. Stróż zaczął się im przyglądać bacznie. Postacie we mgle rysowały się niewyraźnie, widział jednak, że są tam mężczyźni i kobiety.

— Co to za państwo, czego tu chcą? — mrucał stróż zaniepokojony.

Jedna z postaci pochyliła się.

— Kopie... — szepnęła Jeremiasz, — naprawdę kopie!... Chce trupa wydobyć!... Nie, przecież niedarmo biorę pieniądze...

Zrobił wysiłek, chcąc się podnieść, lecz w tej chwili usłyszał jakiś głos:

— Niech się pani nie boi! Nasz Triplex wstanie zaraz, aby ucałować pani rączki...

— Wstanie!—wyszeptał Jeremiasz.

Włosy powstały mu na głowie, nogi zachwiały się i padł znowu na ziemię, uderzając ramieniem o róg pomnika. Jęknął cicho z bólu, schwycił się drugą ręką za stłuczone ramię i z bezmyślnym strachem patrzył na niezwykłą scenę.

Nieznani przybysze kopali dalej. Teraz już kilku ludzi pracowało łopatami. Kobiety, ubrane wykwintnie, patrzyły milcząco na tajemniczą robotę. Jedna z nich była pogrążona w rozpacz, dwie inne, jak się zdawało, pocieszały ją.

Robota szła żywo. Wkrótce łopaty uderzyły o coś twardego.

— Trumna już, — odezwał się ten sam głos. — Dalej, chłopcy w dół, przywiązać sznury.

Ciemne postacie zniknęły w mogile. Przestrach stróża doszedł do ostatnich granic. Zakrył twarz rękoma.

— Wolę nie patrzeć... Umarły wstanie... Ach, gdybym mógł uciec...

Próżne życzenia. Strach i działanie brandy obezwładniły go zupełnie.

Teraz już nie widział nic, ale słyszał wszystko. Słyszał szmer przesuwanych sznurów, uderzenia trumny o ściany grobu, głuchy odgłos trumny, stawionej na ziemi, odkręcanie śrub. Zdejmowano wieko.

— Jaki on błady!—odezwał się głos kobiecy.

— Zaraz odzyska dawną cerę, — odparł głos mężki. — Niech pani będzie spokojna. Dobrze, że aresztantów chowa-

ją w kompletnem ubraniu; nasz przyjaciel mógłby dostać porządnego kataru w tej mgle.

Katar u nieboszczyka! Loker nie mógł się już powstrzymać; opuścił ręce, otworzył oczy i spojrział.

Ten, co mówił, podniósł rękę, w której błysnął przedmiot, podobny do flakonu.

— Oto antydot,—rzekł.—Środek ten natychmiast zniszczy działanie zażytej przez niego trucizny.

Postać pochyliła się nad trumną, rozwarła zęby zmarłego i wlała mu w usta zawartość flakonu.

— Za chwilę wstanie,—odezwał się ten sam głos.

Stróż nie mógł oczu oderwać od trumny. Z ciekawością i przerażeniem czekał na spełnienie zapowiedzianego cudu. Chwila zdawała mu się wiekiem.

W tem w trumnie poruszyło się coś. Jeszcze parę sekund—i naprzód ukazała się głowa nieboszczyka, potem podniósł się i usiadł w trumnie.

— Żyje! Żyje!—zawołało razem kilka głosów.

— Żyję, aby zobaczyć panią i nie rozstawać się już nigdy z tobą, najdroższa! — odezwał się nieboszczyk, podnosząc się i wyciągając ręce ku postaci kobiecej.

— Dziwna rzecz! Duchy, nieboszczycy włączający się po cmentarzu, zachowują się jak para narzeczonych po długiej rozłące.

— Podaj pan rękę narzeczonej i chodźmy ztąd, — odezwał się ten, który zajmował się wszystkim.

— Jakże wyjdziemy ztąd?

— Furtką № 4.

Jeremjasz przypomniał sobie zniknięcie klucza od furtki. Teraz wiedział już, że skradły go duchy:

Nieboszczyk podał rękę narzeczonej i wyszli wszyscy. Czyżby to było wesele duchów? Wkrótce zniknęli we mgle, a stróż padł na ziemię, tracąc przytomność.

.....

Księżyc zbladł już przed świtem, kiedy szanowny Jeremjasz Loker otworzył oczy. Niewiedział nawet, kiedy z omdlenia przeszedł w głęboki sen, po którym wytrzeźwiał zupełnie.

Najprzód zadziwił się, znalazłszy się na ścieżce cmentarnej, lecz po chwili przypomniał sobie zdarzenia poprzednie.

— Niech djabli wezmą! Przespałem tu noc. Dostanę od baby... brr! A to wszystkiemu winna wódka! Nigdy już do ust nie wezmę brandy, wolę dzyn i whisky. Ale co to za zmory dręczyły mnie we śnie? Śniło mi się, że korsarz wstał z grobu...

Roześmiał się na myśl o strachu, jakiego doznał. Ale wesołość krótko trwała. Przypomniał sobie, że trzeba iść do domu.

Leżąc rozmyślał:

— Ale przecież i żona też... zjadła za wiele baraniny. Może jeszcze śpi i nic nie spostrzeże? Trzeba jednak zajrzeć do grobu korsarza. Ten sen mię niepokoi. Chociaż moi goście nie uciekają, lepiej być spokojnym.

Podniósł się powoli, zrobił kilka i kroków i stanął jak wryty.

Zobaczył grób rozkopany i przy nim otwartą próżną trumnę.

Otworzył szeroko usta i schwycił się za głowę. Więc to nie sen był! Więc umarli wstają jednak z grobu i uciekają z cmentarza! Nie wierząc oczom własnym, zajrzał jeszcze do grobu, obejrzał trumnę. Nie było żadnej wątpliwości, nieboszczyk zniknął!

Stał z kwadrans nad pustym grobem, mrużąc pod nosem; nagle szczęśliwa myśl błysnęła mu w głowie.

— Żoneczka moja zawsze mówi, że kobiety więcej mają rozumu od mężczyzn. Trzeba się jej poradzić!

Z twarzą rozjaśnioną pobiegł ku domowi. Wszedł do pokoju—pani Jeremjaszowa spała głęboko.

— Zal mi ją budzić, tak smacznie śpi. Ale, cóż robić, sprawa bardzo ważna. Słuchaj, moje dziecko!

Pani Jeremjaszowa zerwała się z gniewem.

- Po co mię budzisz?
- Widzisz duszko, ważna sprawa.
- Najważniejszy jest mój spokój!
- Ale pozwól...
- Nie pozwolę. Nic nie szanujesz, ty gburze!
- Ale, duszko, korsarz Triplex...
- Mam migrenę!
- Korsarz uciekł...
- Przestań bredzić! Zwarjowałeś?
- Ależ nie!
- Porzuć głupie żarty.
- Ależ, duszko!
- Nie jestem żadną duszką, głupiec jeden! Idź do licha i daj mi spać.
- Jednak...
- Co, jeszcze?!

I marzycielka skoczyła, jak tygrys. Po pokoju rozległ się odgłos policzka.

Loker chciał otworzyć usta, lecz żona nie pozwoliła mu się odezwać.

— Milcz i wynoś się! Wynoś się natychmiast.

Zgodny małżonek wolał ustąpić i wyszedł, zamykając za sobą starannie drzwi przybytku małżeńskiego.

— Dobrze mi poradziła!—mruczał, rozcierając twarz ręką. — Niech djabli wezmą taką radę! Ale, jaki ze mnie głupiec!... Przecież zwykle o zgubach zawiadamia się policję... Zrobię tak i o swojej zgubie zamelduję samemu naczelnikowi... Zdaje się, że sir Allsmayne'a ten nieboszczyk korsarz bardzo obchodził.

Zdecydowawszy się, czcigodny Jeremjasz doprowadził do porządku odzież i buty i udał się na ulicę Paramara-Street.

— Czy zastałem sir Allsmayne'a? — zapytał szwajcara. Cerber zmierzył oczami rannego gościa.

— Dopiero siódma godzina. Trzeba przyjść później.

— Muszę widzieć się z naczelnikiem w tej chwili. Jeżeli mnie pan nie puścisz, będziesz odpowiadał za następstwa.

Ta pewność siebie zaimponowała szwajcarowi. Nie namyślając się dłużej, poszedł zameldować przybysza. Allsmayne wstawał właśnie.

— Dowiedziawszy się, że stróż cmentarza przyszedł w ważnym interesie, sir Tobjasz zaniepokoił się. Czego on może chcieć? Trzeba go jednak przyjąć.

Kazał natychmiast prosić Lokera.

— Z czym przychodzisz tak rano,?—zapytał wchodzącego Jeremjasza. — Jak można przeszkadzać mi o tak niezwykłej porze?

— Jestem przekonany, że pan naczelnik daruje mi...

— O co chodzi?

--- Korsarz Triplex...

Allsmayne drgnął pomimowoli, lecz natychmiast zapomniał nad sobą.

— No, co korsarz Triplex? Wczoraj został pochowany...

— Tak jest, panie naczelniku... Lecz w nocy... uciekł z cmentarza.

— Uciekł?! Człowieku, co mówisz?...

— Tak jest, panie naczelniku! Widziałem na własne oczy...

— Co? Widziałeś sam?

— Tak jest, panie naczelniku! Około północy robiłem obchód cmentarza i byłem obecny przy wskrzeszeniu nieboszczyka.

Allsmayne spojrział uważnie na stróża.

— Czy to nie warjat?—pomyślał.

Stróż, jakby odgadując jego myśli, odparł:

— Jeżeli pan naczelnik zechce pofatygować się na cmentarz, to przekona się, że jestem przy zdrowych zmysłach.

Widząc tę pewność, Allsmayne dokończył ubierania się z gorączkowym pośpiechem i po upływie kwadransa stał ze stróżem nad rozkopanym grobem.

Naczelnik policji nie mógł powstrzymać się od drżenia na widok pustej trumny. Zasypał stróża pytaniami, żądając najdrobniejszych szczegółów zdarzenia, którego był świadkiem.

Więc nieboszczyk ożył... Znów zaczną się cudowne czyny tajemniczego korsarza. Wróg, którego uważał za straconego, pozostał jeszcze groźniejszym, jeszcze niebezpieczniejszym! Nie było wątpliwością, że na ludność zdarzenie to wywrze wrażenie nadzwyczajne i sława korsarza dojdzie do zenitu, Wszyscy w człowieku tym widzieć będą coś nadprzyrodzonego, jakąś siłę, która może w naszych prozaicznych czasach tworzyć cuda legendowe.

Allsmayne był zgnębiony.

Wyszedł z cmentarza ponury, zamyślony, odpowiadając z roztargnieniem na niskie ukłony stróża.

— Co czynić? Co teraz czynić! Jak, gdzie odnaleźć wroga, który jakimś cudownym sposobem wyslizgnął się z jego rąk?

To męczące i groźne pytanie przygniało Allsmayne'a, obezwładniało umysł, ścinało lodem serce.

Na ulicy obudziły go z zadumy głośne wołania roznościcieli gazet.

— Nadzwyczajne wiadomości! Zmartwychwstanie korsarza Triplexa! Wielka nowina! Otruty korsarz Triplex żyje!

Allsmayne kupił pierwszą gazetę, jaka wpadła mu w ręce i na pierwszej stronie ujrzał wielkimi literami wydrukowany artykuł:

„Wczoraj zawiadomiliśmy czytelników o pogrzebie korsarza Triplexa. Naprawdę myśleliśmy, że ten niezwykle człowiek zniknął już na zawsze. Śmierć pozorna była tylko środkiem ucieczki z więzienia. Korsarz poprostu zażył środek usypiający, sprowadzający stan podobny zupełnie do śmierci. Dzisiaj w nocy opuścił trumnę. W niewytłomaczony dotąd sposób otrzymaliśmy w redakcji komunikat mniemanego nieboszczyka, który podajemy tu bez zmiany:

„Nocy dzisiejszej korsarz Triplex, który nie umarł, lecz tylko spał, opuścił cmentarz sidneyski. Wiadomość ta została wysłana jednocześnie do urzędu marynarki i do redakcji gazet europejskich. Niniejszem korsarz Triplex zaprasza na rendez-vous całą eskadrę angielską na Oceanie Spokojnym, której oczekiwać będzie za dwa miesiące od daty dzisiejszej przy wyspie Goldland z archipelagu Coocka. Wtedy

korsarz Triplex uzyska, jak ma nadzieję, karę na Tobjasza Allsmayne'a, który, wskutek niepojętej omyłki, stoi na czele policji Oceanu Spokojnego."

Allsmayne pochylił głowę. Czuł teraz całą swą niemoc wobec potwornej potęgi straszliwego wroga. Kim rzeczywiście był ten korsarz zuchwały, co ryzykował być pochowany żywcem, a teraz wstał z grobu i znowu zaczyna walkę z potężnym naczelnikiem policji?

Rozpacz ogarniała sir Tobjasza.

Czuł chęć nieprzepartą zwierzenia się przed kimkolwiek. Udał się do hotelu „pod stulistną różę,” z zamiarem zasięgnięcia rady od Armanda. Niestety, spotkało go tam rozczarowanie. W kantorze hotelu poinformowano go, że wczoraj wieczorem Lavarede'a odwiedził jakiś oficer marynarki, poczem Francuz, załatwiwszy rachunek hotelowy, wyjechał z towarzyszkami, niewiadomo dokąd.

Zniknięcie Armanda powiększyło niepokój Allsmayne'a.

Udał się dz domu. Pozbawiony mniemanego przyjaciela, za jakiego uważał francuza, chciał zwierzyć się Jamesowi. Wyrzucał sobie nawet, że w ostatnich czasach trzymał sekretarza zbyt daleko od siebie.

Zręczny i energiczny James Pack był dla naczelnika bardzo pożytecznym pomocnikiem.

Lecz i tu spotkał go zawód. James nie przyszedł wcale do biura. Oburzony niewczesnem niedbalstwem, Allsmayne posłał jednego z agentów do mieszkania sekretarza, z oficjalnym rozkazem stawienia się bezzwłocznego w biurze.

Po upływie godziny agent powrócił z wiadomością, że James Pack wyszedł z domu wczoraj wieczorem i dotąd nie powrócił.

Pomimo całej odwagi, jakiej sir Tobjaszowi zaprzeczyć nie można było, był poprostu przerażony. Zniknięcie Lavarede'a i Jamesa, prawie jednocześnie z ucieczką korsarza, pomimowoli nasunęło mu myśl uplanowanego z góry zamiaru. Więc korsarz postanowił pozbawić go ostatniej podpory, na jaką mógł liczyć? Niedarmo był wszechobecnym i zadawał ciosy zawsze pewne. Teraz zaś, będąc na wolności, z pew-

nością nie pozwoli drugi raz tak łatwo dać się schwytać Allsmayne'owi, który przytem pozostał samotny, jak palec.

Nie uległo zresztą wątpliwości, że rząd angielski, bez względu na to, czy uwierzy oskarżeniu korsarza, — poświęci dygnitarza, który stał się dla rządu źródłem tylu kłopotów. Więc ten wróg straszliwy przewidział wszystko, pozbawiając Allsmayne'a pomocników, przyjaciół i nawet przywiązania żony.

Żony... To słowo błysnęło w umyśle Allsmayne'a, jak promień światła wśród nocnej pomroki.

Nie, nie pozostanie sam teraz; pójdzie do Jenny, aby ją błagać o przebaczenie.

Szybkim krokiem udał się do apartamentów żony. Za ledwie wszedł tam, serce jego ścisnęło ciężkie przecucie. Wszędzie panowała cisza, wszystko nosiło ślady opuszczenia.

Przeszedł przez wszystkie pokoje, na chwilę zatrzymał się przed sypialnią i nabrawszy odwagi, otworzył drzwi.

Cicho, pusto. Łóżko było nietknięte.

Jęknął głucho i nabiegłymi krwią oczami spojrzął po pokoju. Wzrok jego padł na list, leżący na stole, zaadresowany:

„Do sir Tobjasza Allsmayne'a.“

Rzucił się na list, rozerwał kopertę i oczami wpił się w skreślone szybkim pismem wyrazy:

„W tej chwili znajduję się przy mojej córce, przy mojej ukochanej Maddy Green. Nie chcę pana oskarżać, lecz w schronieniu mem będę wraz z córką oczekiwać godziny, w której sprawiedliwość dosięgnie winnych“

— Uciekła i ona także! Uciekła!—szeptał Allsmayne.— Córka jej żyje... Korsarz... Nie, piekło sprzysięgło się przeciwko mnie!..!

Zgnębiony, przygnieciony padł na krzesło.

KONIEC CZĘŚCI I-ej.

Ze świata kobiecego.

Pogadanka o modach.

Wobec świąt kwestją najbardziej na dobie są—podarunki gwiazdkowe. Niejedna z pań łamie sobie głowę: co ofiarować dzieciom swoim i cudzym, przyjaciółom, znajomym, wreszcie służącym. Jestto bez wątpienia sęk nielada i szczyrbą w budżecie, jednak zwyczaj domaga się podarków, więc musimy składać je sobie na wzajem. Każdy podarek powinien sprawić zadowolenie trzem osobom: dostawcy, ofiarodawcy i obdarzonemu. Ale czy tak bywa? Zwykle dostawca jest zły, bo mu przerzucają cały sklep, a kupią za parę rubli; ofiarodawca, niezadowolniony, bo czuje, że jego prezent nie sprawi przyjemności; obdarzony — bo nie wie, co zrobić z podarkiem. Chcąc uniknąć tego potrójnego niezadowolnienia, trzeba zastanowić się naprzód: kogo obdarzyć, następnie: czem obdarzyć, dalej: gdzie kupować prezenty, wreszcie: kiedy i jak je kupować? Kogo obdarzyć? przedewszystkiem służbę, podwładnych; prezenta są jakby ich serwitutem, dodatkiem do pensji; dalej dzieci — Gwiazdka, to ich święto, na które cieszą się kilka miesięcy naprzód; listę obdarzonych uzupełniają osoby, z którymi żyjemy blisko i od których spodziewamy się także podarków.

Czem obdarzyć? To rzecz ważna i względna. Sługom należy dawać rzeczy konieczne, a najlepiej gotówkę, bo za pieniądze każdy sobie kupi, co zechce lub co mu potrzeba. Dzieciom, zwłaszcza swoim, kupować zabawki niekosztowne, naprzód dlatego, żeby ich nie przyzwyczajać do zbytku,

a powtóre, że najkosztowniejszą zabawkę prędko zepsują, więc lepiej, żeby zmarnowały niewielką wartość, jak dużą. Dzieciom bogatych znajomych dawajmy zabawki kunsztowne, jeśli ich rodzice obdarzają hojnie nasze dzieci. Zresztą miarodajną w sprawie podarków jest—możność. Nie starajmy



Stanik dla osób tęgich.

się nikogo olśnić, ani zakasować, ofiarujmy to, na co nas stać, bez fałszywej próżności. Która z pań ma więcej czasu, niż pieniędzy, powinna przygotowywać podarki dla przyjaciół na kilka miesięcy naprzód, szyjąc abażury, haftując poduszki, laurfry na stół, robiąc parafki pod lampę, kosze na papiery, wycieraczki do piór, pokrycia na wazony (załączamy dwa wzory). Matki powinny wdrażać starsze siostrzyczki, aby szyły sukienki dla lalek młodszego rodzeństwa (patrz rycinę). Rozłożywszy sobie robotę na czas dłuższy, można sporządzić wiele ładnych rzeczy za bardzo tanie pieniądze: ze skrawków materji, wstążek, taśemek, z kwiatów sztucznych, które się już wysłużyły, i t. d., i t. d. Śmiejemy się z Niemek, które chodzą na wizyty z robótką; nie jest to śmiesznem, lecz godnem naśladowania.

Gdyby w naszych towarzystwach ręce były zajęte robótkami, toby języczki zajmowały się mniej obmową, a kieszenie męzowskie miałyby mniej wydatków, bodaj na prezenty gwiazdkowe.



Pokrycie na wazon (podarki gwiazdkowe).



Kokarda do głowy z egretą dla mężatki.



Toaleta dla starszej damy.

Ale przejdźmy do trzeciego pytania: Gdzie kupować? Wiele pań trzyma się zasady, że tylko tam, gdzie najtaniej; ale taniosc bywa zawodna, a czasem nawet droga. I tak, bierzemy dorozkę, jedziemy za Żelazną Bramę lub na Nalewki, tracimy parę godzin czasu, targujemy się do upadłego, wracamy do domu zmęczone, nieraz zaziębione, oszczędzając pół rubla na 5 rs., a w domu zastajemy męża w złym humorze, bo czekał od godziny na obiad i musi jeść potrawy przydymione; nie dość na tem: oglądamy sprawunki i przy oświe-



Chusteczka à la Marie Antoinette.

tleniu jaśniejszem wychodzi na jaw tandeta, pocieszamy się myślą, że to... prezent i przy-słowiem, że darowanemu konio-wi nie należy w zęby zaglądać. Niech jednak podobny pre- zent nas spotka, umiemy się oburzać na skąpstwo ofiaro- dawców.

Na czwarte pytanie: kie- dy kupować, odpowiem radą praktyczną, zdobytą kosztem własnego doświadczenia, a więc, nie w ostatniej chwili, bo wtedy dostają się nam „wy- biórki“, a przytem w sklepach panuje taki zamęt, że niczego doprosić się nie można, albo- wiem u nas każdy rządzi się zasadą: co masz zjeść, zjedz dzisiaj, co masz zrobić, zrób jutro. Ztąd w czaie świąt, od rana do zamknięcia skle- pów, w magazynach ścisk, jak w kościele, subjecki i panny sklepowe źli na publiczność, że nadużywa ich sił i czasu, obsługują niechętnie, myśląc tylko o tem, żeby jaknajprę- dziej dostać się do domu.

Można tego łatwo uniknąć, kupując wolnym czasem, bez „gwałtu“. Właściciele magazynów powinnyby zamykać je za nadejściem zmroku. Wszak subjecki i panny sklepo- we mają prawo wypocząć przygotowując sobie ubranie na święta.

Przechodzę teraz do ostatniego pytania: Jak kupować?

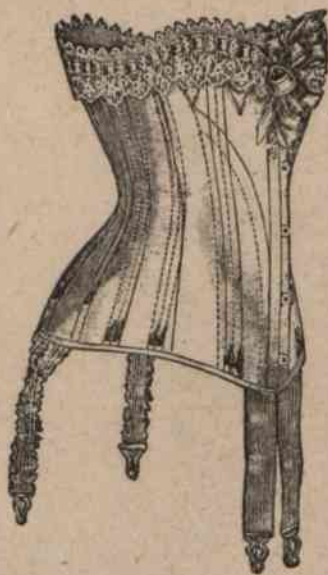
Przed wyruszeniem po sprawunki należy w domu obmyśleć, co chcemy nabyć i za jaką cenę; oszczędza to sporo czasu i ułatwi zadanie.

Tyle o prezentach gwiazdkowych.

Sprawą nie mniej na dobre są suknie balowe: karnawał za pasem, panienki myślą, jak się zabawić, i jak ubrać. Moda przynosi bardzo ładne toalety w tej dziedzinie. Materjały powiewne: krepy wełniane, fulary, bengaliny, gazy gładkie, w paski, w kropki, w kwiaty; krój prosty: spódnice obcisłe na biodrach, coraz szersze ku dołowi, oszyte jedną falbaną kolistą lub paru marszczonemi. Ten fason korzyst-



Gorset z tasiemek jedwabnych dla osób szczupłych.



Nowomodny gorset z prostą bryklą dla osób tęgich.

ny nietylko ze względu na estetykę, ale i na oszczędność. Suknie zeszlóroczne, a nawet kilkoletnie dadzą się łatwo przerobić: stara spódnica wycina się w długie zęby u dołu, pod zębami przyszywa się nowa falbana z gazy lub krepy tego samego koloru, odświeża toaletę i nadaje jej pożądaną obecnie długość; z tej samej krepy wsuwa się bryt z tyłu, tworzący jakby wachlarz długości 20—30 centymetrów. Wycięcie zębów u góry zaznacza się kokardami z czarnej wazkiej aksamitki *à la Louis XV w.* (podobną kokardę z egretą zamieszczamy w rycinie). Wogóle aksamitki czarne są naj-

modniejszym przybraniem sukien jasnych. Waznem bardzo w toalecie balowej jest—wycięcie stanika. O formie tego wycięcia powinna stanowić nie moda, lecz przyrodzone kształty danej osoby: jednej lepiej jest w wycięciu okrągłym, obnażającym ramiona, drugiej—w kwadratowym, innej wreszcie w spiczastem. Własny gust, a jeśli go niema, to rada modniarki niech rozstrzyga tę sprawę. Falbany dokoła gor-



Paltocik dla chłopca od lat 5 - 7.

su już się sprzykrzyły, zastępują je teraz lekkie draperje, zebrane na ramieniu lub też (do sukien jedwabnych), wyłogi z koronki irlandzkiej, albo nakoniec cieszące się wielkiem i zasłużonem powodzeniem gazowe, muślinowe lub koronkową „fiszutki“ à la Marie Antoinette, używane także do toalet pół wyciętych (patrz rycina). Przy „fiszutkach“ — rękaw zbyteczny, przy draperjach daje się malutka bufka. Ładnym fasonem na suknię balową jest spódnica zaplissowana w fałdeczki podłużne, pomiędzy które wszywa się wstawki, podciągnięte aksamitkami. Ten fason wychodzi najl-piej w muślinie; spódniczka plisowana kładzie się na drugą, stanowiącą tło odmiennego koloru. Szarfy bardzo modne, spływają

do dołu, związane w węzeł, bez kokardy. Nowością są rękawiczki bez palców, rodzaj mitynek (patrz rycina), przy czem na wszystkich palcach—pierścienie. Z obowiązku kronikarskiego zaznaczam tę, parwieniuszowską modę, w nadziei, że żadna z moich czytelniczek nie zechce jej naśladować.

Nietylko względy oszczędności, ale i dobry ton wymaga, aby toalety spacerowe i codzienne były jak najskromniejsze: ani za jasne, ani zanadto garniowane, ani cudaczego fasonu. Kobieta, dobrze wychowana, powinna przechodzić po ulicy niepostrzeżenie, zachowując tryumfy do salonu i teatru.

Suknie codzienne robią się z materiałów ostrych, wołochatych. Spódnice, bardzo obciste u góry, rozszerzające się znacznie ku dołowi, garniowane są bądź tylko stębnówką, bądź zastębnowanymi pasami z atlasu, któremi spódnica oszywa się u dołu w zęby, w grecki deseń, w rozmaite arabeski. W ostatnich żurnalach widzimy spódnice oszyte od dołu do kolan coraz węższymi paskami (od 20--do 10 cen-



Nowomodne rękawiczki-mitynki.



Krawat z węzłem.



Rękawiczki z wyszyciem

tymetrów), czarnej materji, zastębnowanej jedwabiem tego samego koloru, co suknie, lub też jedwabiem białym.

Najmodniejszym materiałem na toalety wizytowe i spacerowe są w dalszym ciągu sukienka *drap amazone*, *cachemire satin*, w kolorach ciemnych: szafirowym, automobil (bronzo-rudawy), *Explorateur* (stalowy), *Romanoff* (ciemno-zielony), Niger (brunatny), nikłowy (popielaty) i t. d.

Jeśli kolor sukienki jest bardzo ciemny, to można go ożywić malutkimi wypustkami jaśniejszej barwy, któremi się oszywa stanik i spódnica. Sutsze, złote galony cieszą się wielkiem zapotrzebowaniem. Radzę jednak używać tych

ozdób wstrzemięźliwie, bo inaczej toaleta wygląda zanadto jaskrawo.

Toalety sukienne noszą się powłóczyście, spódnica złożona z trzech części: wążki „futurał“ od pasa do kolan, dalej szeroka wstawka z sutaszu lub z tasiemki, z pod której wychodzi falbana kolista. Zamiast falbany dają się także oszycia z tasiemki szerokiej, trochę przymarszczonej, wyglądającej tak jak falbanki.



Kostjum na ślizgawkę dla 10-letniej dziewczynki 12-letniego chłopca.

Panie mają wybór pomiędzy bolerem a stanikiem angielskim, gładkim, zapiętym na złote guziczki. Noszone są także staniki w rodzaju fraków, z długimi połami z tyłu i wyłogami na piersiach. Ta moda jest bardzo praktyczna, albowiem wymaga, aby frak był odrębnego koloru od spódnicy (przeważnie czarnego), zatem będzie można nosić takie fraki do spódnic już niezbyt modnych i świeżych.

Te z moich czytelniczek, które posiadają stare, wytarte już suknie welwetowe lub aksamitne, usłyszą zapewne z przyjemnością, że można je odświeżyć przy pomocy pasmanterji wełnianych lub galonów; oszywa się nimi spódnice, od dołu do góry w mniejszych lub większych odstępach—wzdłuż dla osób tęgich i małych, w poprzek dla osób chudych i wysokich. Galony i tasiemki mniej kosztują od sprawienia sobie nowej sukni aksamitnej, więc warto ponieść ten wydatek. Można nosić także spódnice, do bluzek jedwabnych jasnych, na koncerty, do teatru, na zebrania wieczorne. Do tego pasek z galonu, lub też ze wstążki tego koloru, co tasiemka.



Suknia balowa jedwabna.



Toaleta balowa dla młodej panienki.

Do toalet sukniennych noszone są szerokie paski z taśmy elastycznej białej, czarnej lub kolorowej, spięte na dużą klamrę stalową.

Co do żakietów, nie ulega wątpliwości, że schodzą z pola; miejsce ich zajmują saki i pół-saki, peleryny $\frac{3}{4}$ długości, bardzo odpowiednie dla pań starszych i otyłych. Żakiety są donaszane. Osobom, które chcą sobie sprawić nowe okrycie, radzę wybrać fason sakowy, gdyż ten nie przedko się przeżyje. Zaleca go wygoda. Stworzony jakby do

naszego klimatu, w którym zima zaznacza się nie mrozem tylko deszczem i błotem, gdzie trzeba wciąż unosić suknie, aby ich nie zaszargać. Długie rotundy, długie paltoty dobre są u nas tylko dla tych pań, które jeżdżą powozami; innym mogą stanąć kością w gardle — przepraszam za to dosadne wyrażenie.

Najmodniejszym fasonem paltotów sakowych są: przybrane trzema pelerynkami, sięgającymi za ledwie do ramion. Tę starą modę z początku wieku wskrzesiła Sara Bernhardt w sztuce Edmunda Rostand pod tytułem „Orlątko“, w której odtwarza rolę mężką księcia Reichstadtu, syna Napoleona I. Ztąd fason nosi nazwę „l'Aiglon“ (Orlątko). Kołnierze Me-



Koszyk na dzienniki i papiery. (Podarek gwiazdkowy).

dicis zawsze są noszone, ale zaczynają pojawiać się coraz częściej stojąco-wykładane, bardzo wysokie. Rękawy okryć, stosując się do rękawów sukien, roszerzają się lejkowato przy rękę i wogóle są szersze, niż dotychczas.

Futra noszone są bardziej na wierzchu, niż pod spodem; mówię tu, naturalnie, o futrach kosztownych, ale na szczęście moda nakazuje mieszać rozmaite ich rodzaje, więc można zużytkować stare okrawki. I tak naprzykład peleryny w tym roku są dłuższe, niż w zeszłym można je zatem dosztukowywać innem futrem: kozy angorskie tworzyć będą

jakby falbanę przy pelerynie z karakuł lub z kasztanków. Jeżeli peleryna jest nietylko za krótka, ale i za szeroka do tegorocznego fasonu, to lepiej ją dosztukować od góry, dając karczek z innego futra.

Można też odświeżyć fason żakietów, wydłużając rękawy mankietem aksamitnym lub futrzanym wyłogiem i obcinając baskinę, która nie powinna być dłuższa, jak na 20 centymetrów. Łatwo uskutecznić te poprawki, a dzięki zmianom, żakiecik stanie się znowu modnym.



Dwie lalki (podarek gwiazdkowy).

Wielkie znaczenie posiadają obecnie rozmaite dodatki, uzupełniające toalety, a więc kołnierze, krawaty, żaboty, paski, ficutki. Dlatego to załączamy ryciny paru takich ozdób. Ta moda jest pożądaną, gdyż nadaje się do rozmaitych zmian, odświeżających toaletę. Jedna i ta sama suknia wygląda inaczej z żabotem, inaczej ze szmizętką, wreszcie inaczej z kołnierzem kolorowym. Taki kołnierz można zrobić

i w domu z ruloników atlasowych, chodzi tylko o gustowne zespolenie barw: ładnie wygląda biały z niebieskim, biały z żółtym, biały z liljowym, czarny z ponsowym i t. d.

Na zakończenie ostatniej w tym roku pogadanki, życzę moim łaskawym czytelniczkom świąt wesołych i wszelkich pomyślności w rozpoczynającym się nowym wieku. Z mojego stanowiska powinnabym życzyć, aby mody zmieniały się jaknajczęściej, ale pragnę właśnie wyrazić życzenie przeciwne... ze względu na kieszeń panów mężów i ojców.

E. Żmijewska.

ROZMAITOŚCI.

— **Powietrze płynne.** Kilka miesięcy temu podaliśmy opis sposobu skraplania powietrza i jego własności w płynie (pt. zeszyt „Miesięcznika“). Machina Lindego, skraplająca powietrze prędko i w dużych ilościach, stanowiła na niedawnej wystawie paryskiej jeden z najciekawszych przedmiotów, który gromadził zawsze tłumy publiczności.

Powietrze płynne, którego tam otrzymano po 8 litrów na godzinę, stanowi ciecz przezroczystą jak woda, koloru słabo niebieskawego, wrzącą i ulatniającą się przy -194°C . (mrozu), pod zwykłym ciśnieniem. Nietylko rtęć (żywe srebro) ale i spirytus najcięższy natychmiast w niem zamarza; papier, guma, kwiaty stają się kruche i rozsypują się. Temperatura krytyczna tego płynu wynosi -140° , ciśnienie krytyczne 39 atmosfer, t. j. że przy 140 stopniach mrozu wystarcza zagęścić powietrze 39 razy, aby je w płyn obrócić.

Własności powyższe poznano już od lat paru; nie umiano atoli przechować powietrza skroplonego przez czas dłuższy, a to jest koniecznym warunkiem jego praktycznego użytku. Nawet w naczyniach stalowych, bardzo mocnych i szczelnych, płyn się ulatniał, przechodząc do stanu gazowego, tak iż pozostawało w naczyniu powietrze zwykle, tylko niezmiernie ścięśnione. Naczynia szklane, otwarte u góry, o ścianach podwójnych, nadały się tu lepiej, ponieważ płyn powietrzny, ulatniając się stopniowo, a nie ogrzewając z zewnątrz, własnem oziębieniem utrzymywał się czas dłuższy.

Dopiero jednak niedawno udało się osiągnąć przechowanie płynnego powietrza przez całe dnie i tygodnie. Na wystawie przechowywano 2—3 litrów powietrza po 15 dni.

Jeszcze jedno, i to poważne zastosowanie skraplania, polega na tem, że azot i tlen, dwa główne składniki powietrza, mają rozmaity punkt wrzenia; azot przy -194° , tlen przy 182°C . Skoro więc powietrze płynne zostanie zamknięte w mocnym naczyniu, najprzód ulotni się azot, a płyn przyjmie barwę błękitną, właściwą tlenowi. W ten sposób można otrzymać płyn, zawierający do 90% tlenu; płyn ten ulotniony, daje „gaz utleniający“, który może we wszystkich prawie zastosowaniach zastąpić tlen zwykły. Służy więc do oddychania dla chorych, do stapiania ciał najtrudniej topliwych (jak platyna), do światła Drummonda w latarniach magicznych i t. p.; kosztuje zaś około 14 kop. za metr sześcienny, gdy tlen, otrzymany chemicznie lub elektrycznie, kosztuje 60 kop. i więcej. W Belgji zastosowano już ten „gaz utleniający“ do fabrykacji karbidu, materiału do acetylenu, który tak wchodzi w użycie powszechne jako wyborny środek oświetlający.

Najnowszem zastosowaniem powietrza płynnego jest użycie takowego do... materaców. Zamiast niehygienicznych materaców, wypchanych włosiem lub trawą, a mieszczących nieraz robactwo i bakterje, możemy mieć materace, wydymane prężnością ulatniającego się powietrza płynnego.

Wstawia się pod łóżko cylinder z powietrzem skroplonem, otwiera się kran, a powietrze wchodzi rurką do materaca i nie przeą go wedle naszego upodobania; można więc posłanie twarde lub miękkie, jak kto lubi. W podróży w ten sposób wygodnie jest i przyjemnie mieć własną pościel; podobnie jak poduszki nadymane, można zabierać z sobą materac złożony, a w hotelu zażądać tylko zbiornika z powietrzem. W krótkich wędrówkach możnaby i ten ostatni wozić z sobą.

— **Zużytkowanie ciepła słonecznego.** Myśl praktycznego spożytkowania ciepła, jakiego nam dostarcza słońce w swych promieniach, oddawna zajmowała głębsze umysły. Obecnie Amerykanin Wiliam Calver z Waszyngtonu, jest jakoby bliski urzeczywistnienia tego wielkiego zadania. Pracuje on od lat 30 nad przyrządem, zbierającym i stosującym ciepło słoneczne do celów techniki. W pracowni Calvera znajdują się zwierciadła oryginalnej budowy. Największe z nich, o powierzchni takiej, jak wszystkie inne razem, składa się 27 rzędów luster mniejszych, po 30 w każdym rzędzie. Główna trudność polegała na takim ustawieniu luster, aby promienie ciepła zbierały się za pomocą wielkiego lustra przez dzień cały.

Długie próby z lustrami wkłesłemi przekonały wynalazcę, że odpowiedniejsze do tego celu są zwykłe zwierciadła płaskie. Cały reflektor, który nosi nazwę *panheliomotoru*, czyli powszechnego motoru słonecznego, składa się tedy z luster płaskich, po-

ruszanych każde z osobna za pomocą ciężarów, tak iż przesuwają się one w miarę pozornego ruchu słońca.

Ilość ciepła, nagromadzonego przez każde lustro pojedyncze, w ciągu dnia, stanowi tyle, ile wydaje 100 funtów węgla; cały zaś reflektor wydaje ilość ciepła, odpowiadającą 40 tonnom węgla (400 korcy); sam więc ten węgiel kosztowałby więcej, niż cały panheliomotor.

Jak silne jest skoncentrowane ciepło słońca, dowodem fakt, że Calver nawet w dzień pochmurny może przy użyciu wszystkich posiadanych lusterek w liczbie 1600 lutować żelazo i miedź. Jeżeli istotnie w każdym czasie i na każdym miejscu można będzie nagromadzić ciepło w tej mierze, wynalazek pomysłowego Amerykanina ogromną ma przed sobą przyszłość.

— **Jedwab z pajęczyny.** Ludzie pragną obrócić wszystko na swoją korzyść; pożytkują tedy pracę zwierząt najrozmaitszych. Któżby jednak przypuścił, że pajęczyna może się przydać na coś, pomijając opatrunek nią skaleczeń (na co się tak oburzają higieniści).

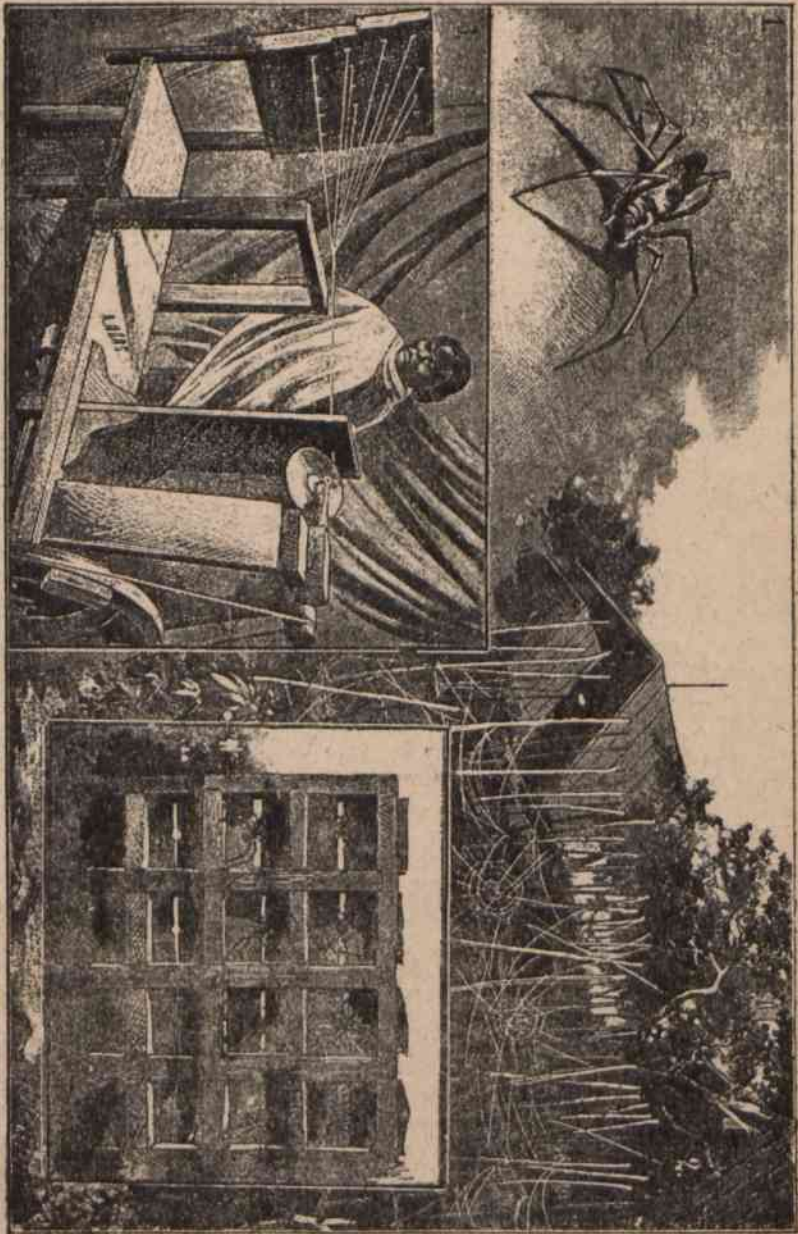
Co do mocy pajęczyny, myli się bardzo znane przysłowie. Wątła jest ona, prawda, ale w tej postaci, w jakiej ją wymiatały z kątów. Jeżeli jednak nić pajęczyny zostanie skręcona ze znacznej liczby włókienek, przewyższa wytrzymałością wszelkie inne. Własność tę zauważono już dawno i starano się prząść nici pajęcze. Zkąd jednak wziąć materiału i to w postaci włókna ciągłego, nie zaś plecionej siatki, jaką powszechnie widzujemy?

Ponieważ pajak wytwarza sam taką nić ciągłą, i splatając ją, wyrabia dopiero swe sieci, najprostszą drogą byłoby pochwycenie tej snującej się sieci, nie dając pajakowi z niej korzystać. Tak też uczyniono. Pierwsze próby datują od roku 1710; użyty jednak gatunek pajaka był tak drobny, że potrzebaby 700,000 takich okazów na funt tkaniny.

Obecnie znaleziono rodzaj pajaków daleko większy i wydajniejszy, na wyspie Madagaskar, zawojowanej niedawno przez Francuzów.

Pajak, zwany *chalebem*, podobny jest do naszego krzyżaka, tylko większy, zwłaszcza jego pleć „piękna“, która nadto odznacza się taką żądzą krwi, że samce padają często ofiarą swych połowic. Pełno tych pajaków po gajach i ogrodach, mianowicie na drzewach *mangowych*; otacza je opieka rządowa.

Czynność otrzymywania jedwabiu z pajęczyny (ilustrowana obok na rysunku) jest dosyć prosta. Pajaki mieszczą się w pudle o 12—24 komórkach, pojedynczo w każdej komórce. Przytrzymują tam pajaka miniaturowe „łuby“, tak, iż nie może się ruszyć z miejsca, pochwycony wpół, jakby był w nieruchomym



gorsecie. Każdy okaz wytwarza przez miesiąc w tych warunkach 3,000 — 4,000 metrów włókna nader delikatnego i jednostajnego, poczem umiera, zapewne z wyczerpania.

Skoro chaleb zacznie wysnuwać pajęczynę, robotnik naciska go lekko palcem, nawija początek nici na palec i łączy ją z motkiem; ztamtąd wyjmuje się już nawinięte na kłębek włókno pajęczę.

Oczywiście, rozumna gospodarka nie prowadzi wyciągania nici aż do śmierci pająka. Skoro ten wyda sporo pajęczyny — a czyni to zawsze i bez oporu, — i zapas jej szczupleje widocznie, „pajęcznicy“, czyli hodowcy pajaków dają im wypoczynek i dobre pożywienie. W ten sposób powstało stopniowo całe „pajęcznictwo“, podobnie jak ongi jedwabnictwo. Pająki mają coś w rodzaju sanatorium, uzdrowiska dla wycieńczonych pracą osobników. Po kilku dniach kuracji odzyskują znowu zdolność wydawania pajęczyny. Znow chaleb zostaje zamknięty w pracowni, pochwycony w „gorset“ i t. d.

Nić pajęcza, otrzymana tą drogą, posiada prześliczną barwę żółtą i wygląd; niepodobna wyobrazić sobie piękniejszego materiału na tkaniny, koloru i połysku czystego złota, nadto nadzwyczajnej cienkości, elastyczności, mocy i miękkości.

Na wystawie paryzkiej można było podziwiać wyroby z nowego tego jedwabiu, zwłaszcza kapy na łóżka. Francuzi ogromnie pokładają nadzieje w tej fabrykacji, która przy dalszym rozwoju zająć może poważne stanowisko na rynku świata.

— **Mowa ptaków.** Bajki i legendy nieraz wspominają o mowie ptaków. Nikt wszakże serjo nie przypuszczał, aby ptaki istotnie miały określony sposób wyrażania myśli, któryby językiem nazwać można. Świat uczonych, zwykle usposobiony krytycznie, okazał się tym razem mniej niedowierzającym od zwykłych śmiertelników.

Ornitolog amerykański, Nilson Wood, który poświęcił długie lata na badanie życia ptactwa, doszedł do wniosku, że ptaki, obok instynktu przyrodzonego, mają zdolność myślenia i uwydatniania pewnych myśli, nie wszystkie oczywiście w jednakowej mierze; za najzdolniejsze uważa ptaki pospolite, jak wrony, kruki, nie zaś miłych śpiewaków naszych pól i lasów.

Któż nie zauważył, że każdy ptak wydaje rozmaite głosy na wyrażenie uczucia radości, gniewu, zazdrości, miłości, bólu, strachu, rozpaczy, niepokoju? Głuszcak np. wydaje 12 do 15 dźwięków odmiennych, zależnie od okoliczności; tyle przynajmniej „wyrazów“ w jego języku może człowiek rozróżnić.

Do najbardziej „rozmownych“ ptaków należą swojskie nasze kury: kogut mniej jest wymowny od swej połowicy. Ostatnia wydaje cały szereg dźwięków, któremi porozumiewa się z kogutem

tem, i takie, które wybornie rozumieją pisklęta. Przysłuchując się tym głosom, każdy zauważy ich rozmaitość. Kura gdacze to półgłosem, równo, spokojnie, to głośno i przenikliwie, stosownie do chwilowego nastroju. Głosy, wyrażające troskę i niecierpliwłość, skoro kura nie może długo odszukać gniazda, różnią się całkowicie od gđakania miłosnego, przywołującego koguta; jeszcze zaś bardziej charakterystyczny jest krzyk przestradchu lub zgrozy, gdy matkę kto spędzi z jaj wysiaduwanich. Chcąc uspić swe pisklęta, kura nuci „kołysankę“, pomrukując głucho i jednostajnie; udawało się sztucznie naśladować te głosy, a kurczęta zasypiały. Przed niebezpieczeństwem kura ostrzega swe potomstwo inaczej zupełnie; inaczej jeszcze daje im poznać, że znalezione pożywienie dla nich się nie nadaje; potrafi ona też odstręczyć głosem obce pisklęta, a zebrać własne, pomimo iż mieszają się z sobą nieraz.

Ptaki śpiewające daleko uboższy mają „język“, po za śpiewem, kilka zaledwie dźwięków odmiennych da się zauważyć. Samice tych ptaków, w ogóle gorzej lub wcale nie śpiewające, wydają głosy dosyć urozmaicone; samiec zaś jednakową piosnką wyraża radość i smutek; tylko ukochanej swej, wysiadującej pisklęta, nuci półgłosem piosnkę inną.

Skrzydłata rzesza posiada nadto rodzaj niemego porozumiewania się z sobą. Samce za spotkaniem najeżają się nieraz, podnoszą skrzydła, ogon, z góry lub z ukosa spoglądają na przeciwnika. Jeżeli ten, machnąwszy skrzydłami i napuszywszy się z początku, wkrótce się uspakaja, stanowi to jakby oznakę poddania się; w razie przeciwnym następuje walka zacięta.

Są to wszystko przykłady oderwane, nie wyświełają nam „mowy“ ptaków, dowodzą jednak, że takowa istnieje w przytoczonym jej znaczeniu.

— **Zmienny los bohaterów.** Bohater „Merrimaca“, któremu poświęcamy obszerny artykuł ilustrowany w zeszycie niniejszym „Miesięcznika“, uległ, jak donoszą świeżo z Ameryki, smutnemu losowi. Porucznik Hobson leży teraz na łożu śmiertelnym w szpitalu w Waszyngtonie. Jak wielu innych bohaterów, doznał i on także niewdzięczności rodaków, a co gorsza i rodaczek, które, jak pisaliśmy, omal go nie udusiły pocałunkami po jego powrocie z Kuby. Natomiast pamięta o nim zwyciężony pod Santjago przeciwnik, szlachetny admirał hiszpański Cervera. Przesłał on do „New-York Journal“ telegram następującej treści: „Zasmucony wieścią o chorobie dzielnego Hobsona, modłę się o jego wyzdrowienie, lub o jego zbawienie, jeśli umrze“. Podobnego losu smutnej niewdzięczności doznał ówczesny admirał floty amerykańskiej Dewey, który wzbudzał niedawno tak żywe zainteresowanie w swych rodakach, a teraz popadł w zapomnienie. Komitet,

zajmujący się wzniesieniem łuku tryumfalnego dla Deweya, zwraca pieniądze, zebrane drogą składek. Potrzeba było półtrzecia miliona na łuk marmurowy, a zebrano tylko jeden milion.

— **Na pożarcie ptaków.** Słyszymy często, że Europejczycy, podbijając ludy dzikie, demoralizują je; że obyczaje tych dzieci natury, surowe lecz proste, a czyste giną w zetknięciu z cywilizacją, rodzi się natomiast obłuda, oszustwo, występki. W artykule wstępnym niniejszego zeszytu poruszyliśmy obszerniej tę sprawę i sądzimy, że nikt chyba za okrucieństwa, popełniane przez wyzyskiwaczy europejskich w Afryce, nie rzuci kamieniem na cały naród angielski, niemiecki lub belgijski, na ich cywilizację.

Murzyni, biorąc ogólnie, zyskują niemało na oświecie. Te stworzenia nieszczęsne, wyzute z praw przez krwiożerczych swych królików, otrzymują wolność, dobytek własny, obyczaje ich łagodnieją i mięknią. Od czasu, jak Anglja opanowała państwo afrykańskie Aszanti, a Francja Dahomej, ustały tortury straszliwe i tłumne ofiary w ludziach. Pod wpływem oświaty ustał i powszechny tam rodzaj egzekucji: wystawianie człowieka na pożarcie ptaków.

Znęcone widokiem i wonią ofiary, którą zawieszono w dużej klatce na drzewie, ptaki drapieżne zlatują się zewsząd — i poczyna się uczta krwawa, trwająca dnie całe, zanim nieszczęsny oślepiiony i poszarpany wyda ostatnie tchnienie. Sam opis tej kaźni krew mrozi w żyłach. Podróżnik francuzki, który przypadkiem natrafił na taką scenę, zemdlął ze zgrozy i przerażenia.

— **Jeszcze jedno państwo europejskie.** Któżby przypuszczał, że pomiędzy wyspami Brytyjskimi istnieje obok Anglji odrębna monarchia? O 6 kilometrów od brzegu zatoki Kardygańskiej leży wyspa Bardsey zwana „ziemią umarłych.“ Należy ona do lorda Newboury, ten wszakże troszczy się jedynie o zachowanie ruiny dawnego opactwa, oraz o pobór podatku. Nazwa „ziemi umarłych“ pochodzi ztąd, że tutaj chowano niegdyś wszystkich zakonników księstwa Walji. Mieszkańców liczy owo państewko 72, po 36 każdej płci: króla obierają zarówno mężczyźni, jak kobiety powyżej lat 18. Obecnie panuje „król“ Jan Wiliam II; ceniąc swą godność, w razach uroczystych kładzie na głowę koronę... cynkową, innej bowiem nie posiada. Obowiązkiem jego jest rozstrzyganie wszelkich kwestji spornych pomiędzy poddanymi, sprawiedliwy podział ryb wyłowionych, baczność, aby nikt nie dostarczał wyspiarzom trunków, oraz pobór podatku dla lorda. Rząd angielski nigdy nie pobierał ztąd żadnych opłat, ani wtrącał się do wewnętrznego zarządu tego państewka, którego istnienie w V wieku już jest historycznie stwierdzone.



Na pożarcie ptaków.

— **Jak traktują Chińczycy swe bóstwa.** Chińczycy przypisują swym bogom te same przymioty i wady, jakie posiadają ludzie, bynajmniej nie uważając ich za istoty wyższe. Nieraz, pragnąc zaskarbić sobie ich względy, obiecują pewną ofiarę pieniężną na świątynię. Wtedy syn nieba zapisuje na tablicy, zawieszanej koło bożka, kwotę 1000 taelów, płaci zaś rzeczywiście tylko 200, licząc na to, że bożek się nie spostrzeże.

W czasie reperacji świątyni zawiązuje bałwanowi oczy, aby go nie raził nieład i ruina.

Często składają Chińczycy dary pieniężne w monecie fałszywej, przypuszczając, że bogowie się nie poznają.

Celem ubłagania bóstwa o odwrócenie zarazy, głodu, lub innych klęsk, uważają za najskuteczniejsze ofiary w ludziach; ale niechaj kto nie myśli, że istotnie krew się przelewa ludzka. Obłudny Chińczyk i tutaj ucieka się do podstępów. Przed bałwanem stawia stół z otworem pośrodku, pod stołem umieszcza ofiarę, która wysuwa głowę przez otwór; w tej niewygodnej pozycji rzekoma ofiara pozostaje czas jakiś, poczem idzie spokojnie do domu, rad, że gniew bóstwa prześlagał.

Kaplan pewien rościł jakąś pretensję do swego bożka i zapozwał go do sądu. Przyniesiono bałwana do sali sądowej, gdzie zapadł wyrok, skazujący go na głęboki pokłon przeproszenia. Ponieważ podsądny tego nie uczynił, wymierzono mu pięćdziesiąt plag bambusowych kijem.

Skoro pieniądze ani modły nie skutkują, Chińczycy uciekają się do grózb i karania bóstwa. Pewnego lata bardzo upalnego, gdy wszelkie błagania o chłód i deszcz były nadaremne, wystawiono bałwana na palące promienie słońca, aby sam doświadczył gorąca.

Tak pisze misjonarz Smith w dziele „Kartki z życia Chińczyków“.

— **Kalendarz chiński** niemałe trudności sprawia Europejczykom, skoro chodzi o zestawienie z naszym kalendarzem. Rok chiński jest księżycowy nie słoneczny, czyli rachuje się od nowiu po wschodzie słońca w znaku Wodnika, liczy zaś 354—355 dni, miesiące zaś chińskie, rozpoczynające się pierwszego dnia nowiu, mają po 29—30 dni. Ażeby lata chińskie zgadzały się z rzeczywistością, dodaje się co dwa lub trzy lata miesiąc przestępny. Ztąd oczywiście oznaczenie dat, ściśle, według kalendarza gregoriańskiego, nie jest możliwe; obecnie błąd dochodzi 4 dni.

Wyjaśnimy to na przykładzie. Misjonarze francuscy, donosząc o zamordowaniu posła niemieckiego Kettelera, podali datę „dnia 20-go miesiąca 5-go“ (le 20 jour de la 5 lune); urzędowe zaś doniesienia o dniu zabójstwa wahały się pomiędzy datą 16 a 20 czerwca. Tymczasem Europa otrzymała to zawiadomienie

już 16 czerwca. Podobne niedokładności istnieją co do innych dat ważniejszych wydarzeń w bieżącej wojnie.

— **Przepowiednie polityczne.** Wiadomo, iż uczony wiedeński Falb, przepowiada corocznie wielkie zmiany atmosferyczne i katastrofy w naturze, głównie trzęsienia ziemi. Londyn nie chce być gorszym od Wiednia; wydaje tedy „Almanach“ z przepowiedniami... politycznemi, wróżąc z gwiazd i planet niebieskich. Autorem tego oryginalnego na dzisiejsze czasy kalendarza jest stary astrolog, opat Moore.

Proroctwa na rok 1900 były następujące: wiele niesnasek narodowych i wojen, zabójstwo jednego monarchy, straszny głód w Indjach. Wszystko to mniej więcej się ziściło.

Z tem większą śmiałością wypuszcza teraz w świat duchowny wróżbita kalendarz polityczny na rok 1901. Oto główne przepowiednie.

Styczeń 1901 r.: silne zaburzenia polityczne we Francji; republika naraża się na niebezpieczeństwo.

Luty i marzec: ważne sprawy na dalekim Wschodzie; powstanie w Indjach.

Maj: Irlandja idzie za przykładem Indji.

Czerwiec: rozdwojenie między królem i jego podstępnyimi doradcami.

Lipiec: okropne katastrofy i nieszczęścia na całej ziemi; nikt nie powinien wtedy podróżować, lecz siedzieć w domu.

Wrzesień: głód w Indjach.

Październik: powstanie derwiszów.

Listopad: Holandja staje w niebezpiecznem położeniu politycznem, tak, iż do załagodzenia sprawy potrzeba wielkich wysiłków dyplomatycznych.

Grudzień: zatargi pomiędzy państwami Europy zachodniej.

W Chinach więc mamy spodziewać się zmian najważniejszych nieprędko jeszcze, aż w lutym i marcu. Czy też astrolog współczesny nie fantazjuje i nie myli się podobnie, jak wszyscy jego poprzednicy?

— **Nazwiska reklamą.** Nazwiska generałów angielskich, bohaterów bieżącej wojny, nadają się pomysłowym kupecom i przedsiębiorcom za pyszną reklamę. Piekarz w Manchester, nazwiskiem Kitchener, zrobił majątek tego roku i zrujnował sąsiednich swych rywalów. W oknach księgarni wystawiono mnóstwo książek, rzekomo pióra Churchilla, słynnego korespondenta z pola bitwy, który w rzeczywistości nie wiedział nawet o istnieniu takich książek. Na szyldach kazał sobie wypisać pewien cyrulik: „Baden-Powell, fryzjer. Popierajcie krewniaka bohatera z Mafekinga!“

Przypomina to i niektóre nasze reklamy: „kupujcie u mnie,

wspierajcie przemysł krajowy!“ A ten „krajowiec“ i jego towary nieraz są pochodzenia wcale nie krajowego.

Imię Kruegera wywiera oczywiście w Anglii wpływ przeciwny. Handlarz skór, który miał nieczęście nosić to nazwisko, musiał zamknąć interes, stracił bowiem całą klientelę. Ktoś w gniewie zawołał: „Krueger, wynoś się!“ I nawymyślanie od „Kruegerów“, zarzut zdrady i niegodziwości, został skazany w sądzie, jak za ciężką obrazę.

Gazety londyńskie nawołują do opamiętania się: „Czas już wielki, abyśmy przestali podobnych niedorzeczności; dość już świętowaliśmy, tryumfowali, wychylili szampana na cześć bohaterów. A bardziej jeszcze warto uśmierzyć dziką nienawiść do tego starca, którego wizerunki nawet u nas popalono“.

— **Okręt zatopiony przez wieloryba.** Kroniki żeglarskie notują często wypadki napadu wieloryba na okręt. Wypadki takie nigdy dawniej nie miały złych następstw dla okrętu. Że nie zawsze jednak tak bywa, okazuje się z opisu, zamieszczonego w gazetach amerykańskich o wypadku, jaki zdarzył się niedawno w pobliżu San-Francisco.

W nocy z d. 19 na 20 czerwca r. b. na okręt „Bonita“, o 85 tonnach pojemności napadł wieloryb, przy samem wejściu do portu. Morze spowite było tak gęstą mgłą, że w odległości kilkudziesięciu metrów niemożna było nic rozpoznać. Załoga „Bonity“ zajęta była wieczera, gdy nagle okręt otrzymał tak silne uderzenie, że wszyscy majtkowie zostali zwaleni z nóg. Rzucono się na pokład, przypuszczając spotkanie się z innym okrętem. Gdy po chwili morze uspokoiło się, spostrzeżono obok okrętu olbrzymiego wieloryba na którego najechał statek.

Rozwścieczony wieloryb zaczął raz poraz uderzać statek ogonem, aż okręt nieszczęsny począł zanurzać się w wodzie. Załoga, upatrzwszy chwilę odpowiednią, spuściła szalupy i na nich znalazła ratunek, opuszczony zaś statek poszedł na dno. A nie był to byle okręcik—gdyż Bonita miała 26½ metra długości, a 7 szerokości.

Awanturniczy wieloryb należał do gatunku największych, t. zw. kalifornijskich, gdyż okazy takie pojawiają się najczęściej w pobliżu San-Francisco i wogóle u brzegów Kalifornji.

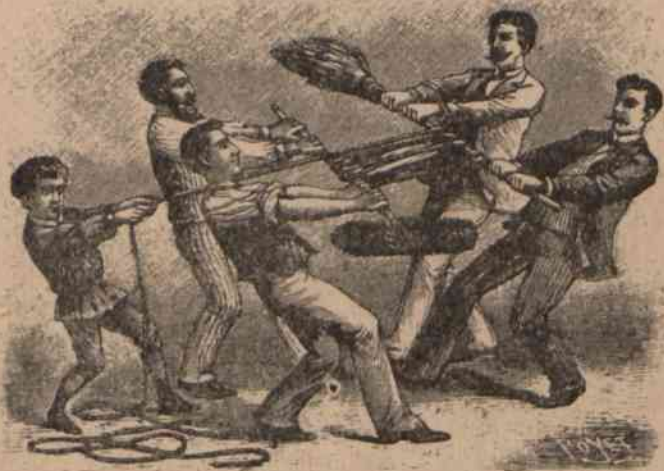
— **Jakim sposobem herbata dostała się do Rosji.** Obecnie, gdy ciągle jest mowa o ojczyźnie herbaty, Chinach, może być wiadomością zajmującą, jak i kiedy dostała się herbata do najbliższego kraju, do Rosji?

Po raz pierwszy herbata pokazała się w Moskwie w r. 1638. Chan „mongolski“ Altyn-Chan, wywdzięczając się carowi Michałowi za otrzymane prezenty, przysłał mu przez powracające po-

selstwo 200 paczek, zawierających po $\frac{3}{4}$ funta herbaty, co wówczas stanowiło wartość około 30 rubli. Poseł narazie niechciał przyjąć dziwnego podarku, niechcąc jednak narażać się potężnemu Chanowi, zawiózł „zille“ do Moskwy.

Zacząto próbować herbaty. Nowy napój zasmakował dworowi i wkrótce rozpowszechnił się wśród bojarów i bliższych dworu magnatów. Dopiero jednak w sto lat później herbata stała się poważnym artykułem handlu. Obecnie do Rosji przywóz herbaty jest następujący: herbaty czarnej 1,103,000 pudów, zielonej 17,000 pud., cegiełkowej 2,157,500 pudów. Cło od herbaty od początku tego handlu wyniosło już miliard rubli. Dochodu rocznego obecnie skarb ma 40 milionów rubli.

— **Dziecko silniejsze od czterech ludzi.** Niechaj dwóch ludzi trzyma poziomo kij mocny (np. od szczotki do zamiatania lub miotły), każdy obiema rękami za jeden koniec; inni dwaj niechaj trzymają podobnie kij drugi, równoległe do pierwszego, w odle-



głości 1—2 kroków. Następnie dziecko przywiązuje do jednego kija koniec sznura i owija ten sznur kilka razy dokoła obu kijów, nie krzyżując go. Ciągnąc za wolny koniec sznura, najslabsze dziecko przysunie obydwie kije do siebie, pomimo, że czterech ludzi stara się wszelkimi siłami je oddalić.

Ażeby zrozumieć ten zagadkowy na pozór objaw siły, zważmy, że sznur przewija się z jednego kija na drugi, jakby dokoła bloków ruchomych, a wiadomo, że każdy z tych bloków pomnaża działanie siły wdwójnasób. Siła więc dziecka zostanie powię-

kszona tyle razy, ile będzie zwojów sznura. Zarazem jednak uważać należy, że ten zysk na sile sprawia stratę na szybkości tyleż razy; jeżeli więc dziecko przemoże czterech dorosłych, musi ściągnąć sznura z kijów daleko więcej na długość, niż przysuniecie kijów wynosi.

Doświadczenie to udaje się łatwo, zwłaszcza na froterowanej posadce, np. w salonie, gdzie ciągnący nie mają silnego oparcia dla nóg; może więc być zajmującą rozrywką towarzyską.

— **Pies i lwy malowane.** Przytączam ciekawy objaw psiej zmyślności, jaki wydarzył się niedawno w Warszawie. Na kiosku przy ulicy Chmielnej naklejano ogłoszenie o przedstawieniach w cyrku; w afiszu znajdował się rysunek, przedstawiający lwy, które tam pokazywano. W tem z bramy pobliskiego domu wybiega duży pies myśliwski i ujrawszy owe lwy, rzuca się z głośnem szczekaniem na afisz, zdzierając go pazurami. Musiano kilka afiszów kolejno naklejać, gdyż pies ciągle rwał się do lwów, dopóki nie nadszedł jęgo pan i nie ukrócił psiej zajadłości.

Roman Gomulicki.

Rady i wskazówki praktyczne.

— **Użycie chlorku.** 1). *Pranie bielizny.* Chcąc wybielić praną bieliznę, należy przedewszystkiem używać roztworu chlorku przecedzonego (przefiltrowanego) w ilości następującej: 1) łyżkę stołową chlorku rozpuścić w filiżance wody i roztwór taki wlać do 100 kwart wody przygotowanej do bielenia; przepłukaną w takiej wodzie bieliznę należy następnie przenieść do innej wody, gdzie na 100 kwart wody wlewa się pół kwarty kwasu solnego. Po przepłukaniu w drugiej wymienionej wodzie trzeba bieliznę wypłukać jeszcze parokrotnie w wodzie czystej. Tak przepłukana bielizna osiągnie wymaganą białość, a przy starannem wypłukaniu nie ulegnie zniszczeniu; chlor bowiem, wydzielany obficie w zetknięciu chlorku wapna (zwanego pospolicie chlorkiem), z kwasem solnym, a niszczący bieliznę, zostaje usunięty. Sposób ten zaleca się dla bielizny bardzo brudnej lub poźółkłej; zwyczajnie lepiej unikać chlorku.

2). *Wyciaganie plam atramentu na papierze.* Plamę atramentową zwilżyć słabym (5%) roztworem kwasu solnego, nad-

miar jego zebrać białą bibułą, a następnie zwilżyć słabym (10%) roztworem chlorku, poczem należy zmyć wodą czystą.

3). *Czyszczenie miedziorytów.* Do poprzedzonego roztworu chlorku dodać kilka kropel kwasu solnego i w ciecz taką zanurzyć przeznaczony do oczyszczenia przedmiot, poczem opłukawszy dokładnie w wodzie czystej, osuszyć pomiędzy bibułą.

4). *Dezynfekcja.* Pragnąc zniszczyć w mieszkaniu szkodliwe zdrowiu miazmaty, np. w pokoju, gdzie stały zwłoki zmarłego, należy nasypać w filiżankę łyżkę stołową chlorku i nalać na to kwasu solnego, aby uniknąć przytem wdychania czystego chloru, należy twarz od filiżanki odwrócić i o ile możności powstrzymać oddychanie. Otwory pokoju, jak okna, drzwi, piece należy poprzednio pozamykać, a części metalowe to jest klamki, drzwiczki od pieca i t. p., pociągnąć tłuszczem, aby zapobiedz rdzewieniu. Po kilku godzinach okna napowrót otworzyć.

— **Jak obchodzić się z owocami przemarzniętymi.** Przedewszystkiem trzeba pamiętać, że zmarznięte owoce tem mniej psują się, im powolniej odbywa się proces marznięcia lub też tajania. Wiele tu znaczy także gatunek i stopień dojrzałości; tak np. owoce niedojrzałe mniej cierpią od mrozu, aniżeli zupełnie dojrzałe; jabłka są wytrzymalsze na zimno, aniżeli gruszki i t. d. Najważniejszą jest rzeczą, aby owoce odmarzały powoli.

Często w takich razach kładą owoce w zimną wodę. Jest to zupełnie mylny sposób, gdyż w zimnej wodzie odmarzanie odbywa się daleko prędzej, aniżeli w zwykłej temperaturze pokojowej, nie mówiąc już o chłodniejszym powietrzu. Najlepiej owoce takie składać w miejscu o temperaturze 3—5 stopni i czekać aż powoli same odmarzną.

Owoce bardzo zmarznięte najlepiej zachowywać w tym samym stanie, aż do chwili użycia, t. j. do gotowania. Trzeba także pamiętać, że bardzo zmarznięte jabłka trzeba kłaść do wody bez odmarzania i zaraz gotować, wtedy trudno je odróżnić od niezmarzniętych i przeważnie zaś, jeżeli da się im odmarznąć i wtedy dopiero gotować, jabłka mieć będą smak nieprzyjemny i trudne będą do ugotowania.

— **Sposób odświeżania wyschłych orzechów.** Wiadomo, że łupina orzechów tureckich nie tamuje parowania wody, znajdującej się w jądrze orzecha i wskutek tego orzechy, leżące długo, wysychają bardzo, o ile, ma się rozumieć, nie psują się zupełnie. Orzechy takie łatwo odświeżyć i powrócić im nawet dawny smak. Wystarczy potrzymać orzechy w wodzie, cokolwiek osłonej, w przeciągu 5—6 dni.

Woda, przenikająca przez łupinę do jądra, rozmiękcza je,

niszczy gorzki smak cienkiej skórki jądra i radaje mu słodkawą i delikatny smak świeżego orzecha.

Zadania.

Kłopot prawny.

Mąż zapisuje testamentem żonie 14,000 rubli, jeżeli powije córkę, córce zaś 7,000 rubli; jeżeli żona powije syna, ten otrzyma 14,000 rubli, a matka 7,000 rb. Zdarzyło się, że spadkobierczyni powiła razem syna i córkę. Jakże podzielić bez krzywdy między matkę i dzieci majątek męża?

O miejsce w sali.

Z nastaniem karnawału ustawiono w sali balowej kwadratową estradę dla orkiestry; zajęła ona jednak tyle miejsca, że musiano ją zmniejszyć. Po skróceniu jednego boku o 1 metr, a drugiego o 2 metry, tancerze zyskali 22 metry kwadr., czyli powierzchnia estrady zmniejszyła się o tyleż. Jakich wymiarów była estrada przedtem i obecnie?

Składanka.

Największa możliwie koperta.

Złożyć kopertę z papieru potrafi każdy. Przy tem użyciu jednak zawsze coś z papieru trzeba obciąć lub założyć, tak iż nie cała wielkość papieru się wyzyskuje.

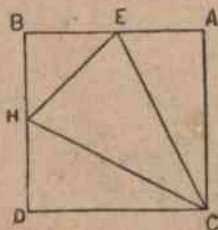
Czyby komu z czytelników nie udało się złożyć arkusza lub ówiatki papieru zwykłego formatu (prostokątnego) tak, aby z niego otrzymać największą możliwie kopertę, której brzegi ściśleby do siebie przystawały (nie zachodziły jeden na drugi).

Rozwiązania.

Zadanie do nagrody w N. II Miesięcznika:

Szukamy różnicy w latach. Gdy byłem w twym wieku, byliśmy obaj młodszy o różnicę lat, naszych. Oczywiście wówczas różnica lat między nami była taka sama, a ponieważ dodatek do ówczesnych lat moich jeszcze jednej różnicy uczynił mi liczbę lat większą 2 razy od twego ówczesnego wieku, zatem ty miałeś wówczas tyle lat, ile wynosi podwojona różnica lat naszych. Stosunek lat naszych był więc $2 : 3$; obecnie jest $3 : 4$; a gdy ty będziesz miał tyle lat co ja teraz, stosunek lat wynosić będzie $4 : 5$. Suma lat naszych wtedy będzie 63, ztąd lata nasze wypadną z podziału 63 w stosunku $4 : 5$; różnica w latach naszych = 63: $(4+5) = 7$, a liczba lat naszych jest $7 \times 3 = 21$ i $7 \times 4 = 28$.

Powyższe rozwiązanie arytmetyczne, nagrodzone jako najkrótsze, a kompletne podała p. H. Sosnkowska z Włodzimierza; inne rozwiązania mniej lub więcej dobre lecz dłuższe, lub mniej zrozumiałe nadesłali: Emanuel Herszlikowicz z Pabianic, Jan Kaliński z Przasnysza, A. Pelczyńska z Kolna, Kazimierz Rakowicz z Białej, Cerkwi, Jan Żurkowski z Katarzyna, Józefa Neyman z Saworzec, A. Żeligowska z Żytomierza, Karolina Donner z Kożonki, H. Małkiewicz z Kliczkowa, Antoni Dominko z Lublina. A. Moskiewicz z Mściławia, Tatarkiewicz z Warszawy, Zygmunt Butl r z Płocka, Olgierd Jodko Aleksander Życzkowski z Gidoli, R. Lechnicki z Łubny, Tadeusz Jaroszyński z Warszawy, Julja P. z Opoczna, Stefan B z Warszawy, M. Andruszys z Łomży, Julian Cybulski z Płocka, Klepacki z Baku; *arytmetycznie i algebraicznie*: St. Trzeciński z Płońska, J. Błociszewski z Radzyna, Julja Dąbrowska z Lublina; *arytmetycznie i graficznie*: L. Gieczewicz z Wilna, St. Bogdański z Kowla. Samych tylko algebraicznych rozwiązań nie uwzględniamy, stosownie do warunków postawionych.

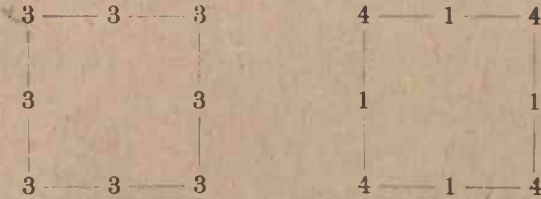


U k ł a d a n k a.

Rozwiązanie nadesłali: Jan Kaliński z Przasnysza, K. Gorczak ze Sławuty, Antoni Dominko z Lublina, A. Moskiewicz z Mściławia, M. Robakiewicz z Kowla, W. Pruszyński z Miropola, Antoni, Józef i Zygmunt, M. Andruszys z Łomży. Bohdan Zaleski z Hrehorówki, Gabrijela Jakas z Opoczna.

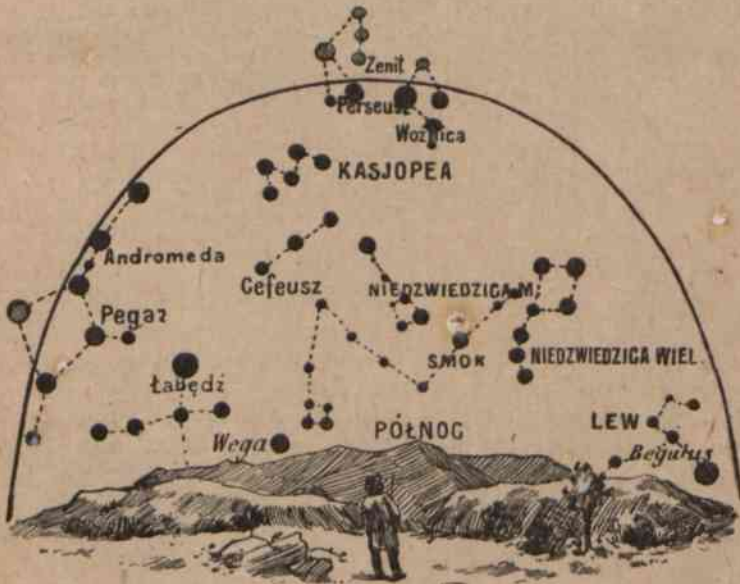
Skuteczna obrona.

Na każdej z narożnych baszt umieszczono po 4, w środkowych po 1 żołnierzu; przedtem było wszędzie po 3.



Rozwiązanie nadesłali: W. Dominko z Lublina, Roman Skrzypiec ze Stąporkowic, K. Gorczak ze Sławuty, Bohdan Zaleski z Hrehorówki, Marja, Halina i Zofja, M. Andruszys z Łomży (4 rozwiązania), Jan Kuliński z Przasnysza (4 rozwiązania), Klepacki z Baku.

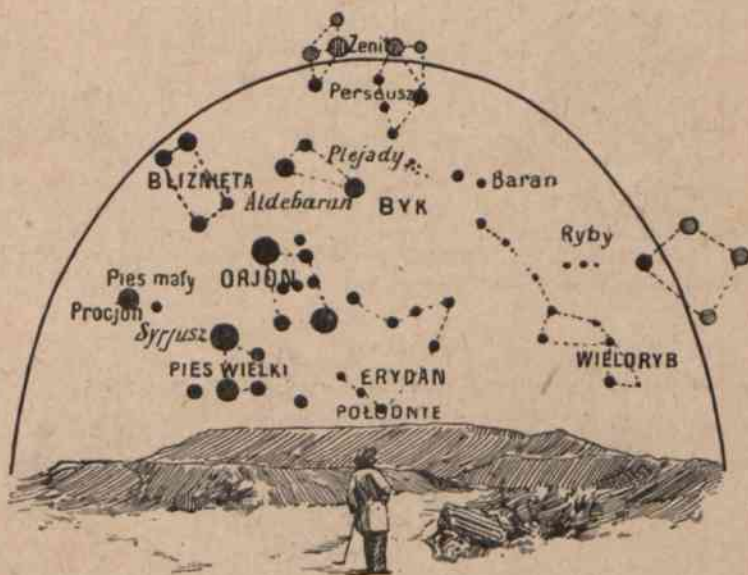
Karta nieba na miesiąc Styczeń.



Widok nieba od strony północnej.

W stronie północnej spostrzegamy u zenitu gwiazdozbiór *Woznicy*, a nieco na lewo *Perseusza*. Niżej trochę widzimy *Ka-*

sjopeę i *Niedźwiedzicę małą* z *gwiazdą biegunową*. Na prawo mamy *Niedźwiedzicę Wielką* i nad samym horyzontem konstelację *Lwa* z *Regulusem*, na lewo zaś, nad horyzontem, *Wagę* z gwiazdozbiorem *Liry*, *Łabędzia*, wyżej nieco *Pegaza* i *Andromede*.

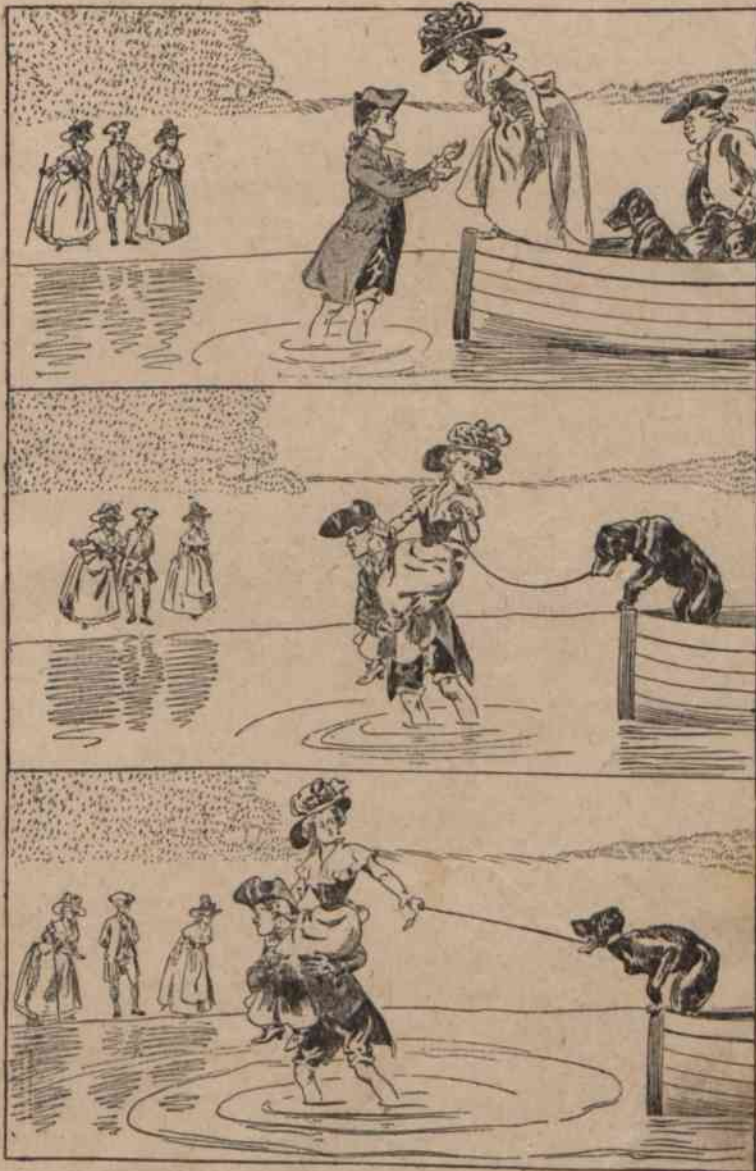


Widok nieba od strony południowej.

Odwróciwszy się na południe, spostrzegamy, kierując wzrok od zenitu ku horyzontowi gwiazdozbiór *Byka*, godny uwagi ze względu na świetną gwiazdę 1-ej wielkości *Aldebarana* i *Plejady*, dalej *Orjona*, i *Erydanę*. Na lewo widzimy *Bliźnięta*, konstelacje *Psa małego* i *wielkiego*, na prawo *Ryby* i *Wieloryba*.

Z planet *Merkury*, zbyt bliski słońca, jest niewidzialny. *Wenus* świeci na południo-wschodzie na początku nocy. *Mars* wschodzący i zachodzący prawie razem ze słońcem, jest niewidzialny. *Jowisz* świeci na wschodzie na schyłku nocy w gwiazdozbiórce *Niedźwiadka*, *Saturn* niewidzialny w pierwszej połowie miesiąca, świeci na początku nocy w konstelacji *Strzelca*.

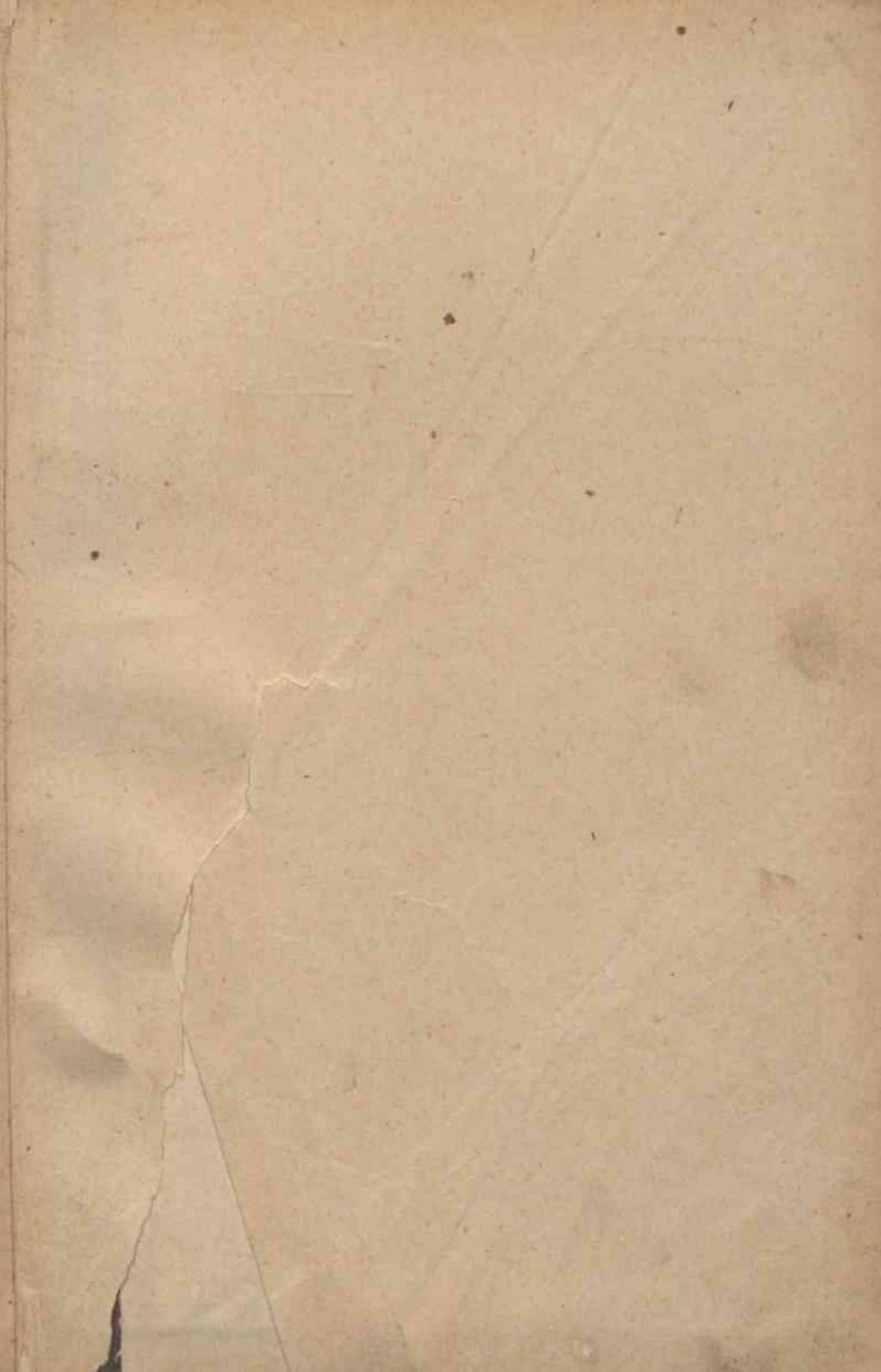


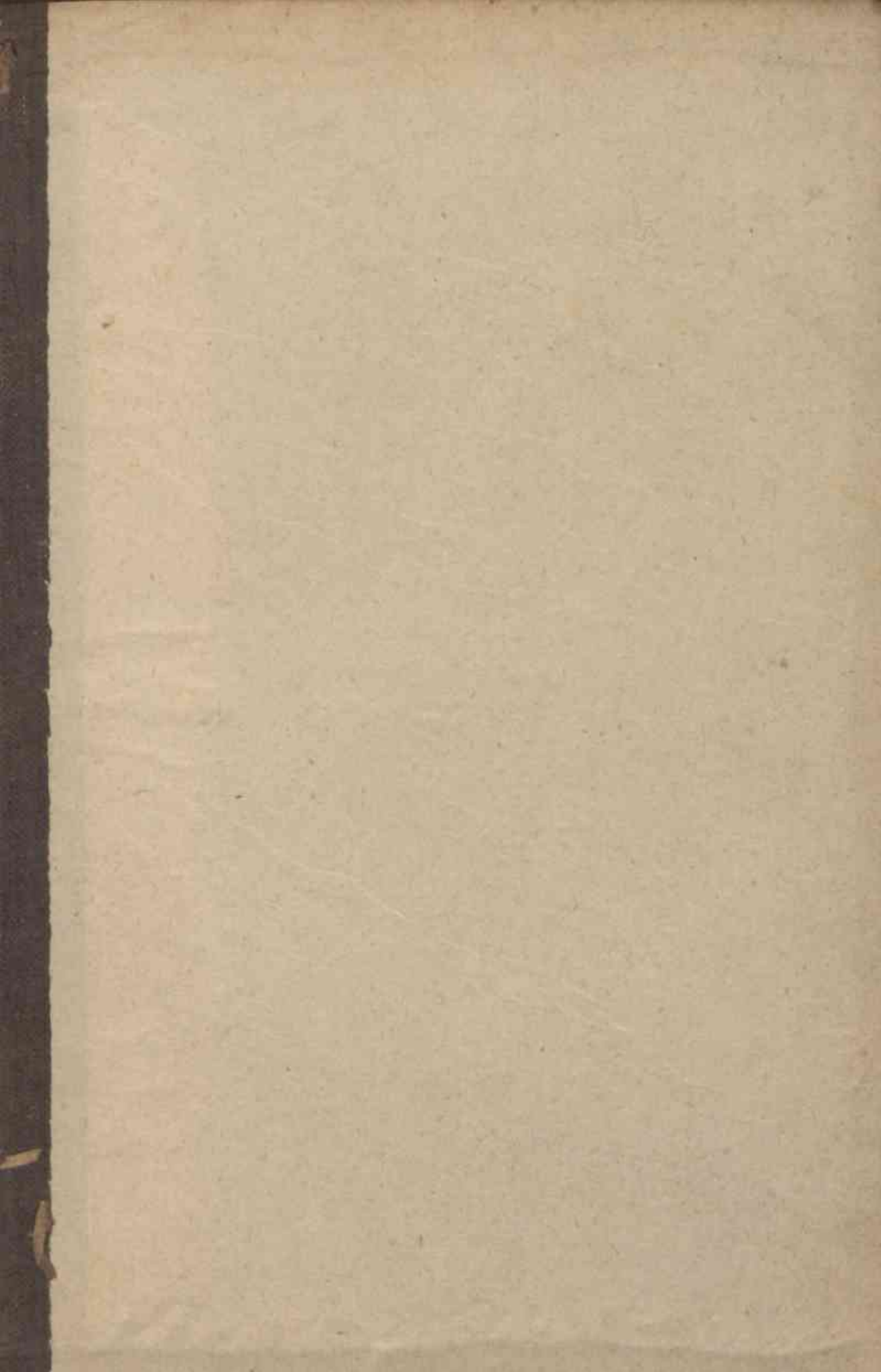


Niefortunna przystuga.



Niefortunna przystuga.





Biblioteka Uniwersyteku
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

Cr. 2922

2922

1902
11/12

CZASOPISMA